

KIEDY PRZEKRĘCILI SIKORSKIEGO?

ŁOSIEWICZ: DLACZEGO CORAZ TRUDNIEJ O MĘŻA

KTO CHCE (ZNOWU!) UKRAŚĆ POLSKIE LASY

DODATEK: JAN PAWEŁ II. ODKRYWAMY PRAWDĘ (O WALCE PAPIEŻA Z PEDOFILIĄ)



MAREK PYZA SPRAWDZA ŻYCIORYS

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 5 (531) 2023
30 stycznia – 5 lutego 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

TYLKO U NAS:

JECHALIŚMY POLSKIM LEOPARDEM!



TO CZOŁG, KTÓRY ZMIENI LOSY TEJ WOJNY – PISZE ANDRZEJ POTOCKI, A MAREK BUDZISZ UJAWNIA STRATEGIĘ ZWYCIĘSTWA ZACHODU

eprasa.pl 9788381838

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!



Kosy na sztorc
– jak żyli i walczyli powstańcy styczniowi z 1863 r.?

Polskie wigilie
– w cieniu tragedii: grudzień 1970 i stan wojenny 1981 r.

Bigbit w PRL-u
– jakie były początki polskiej muzyki rockowej?



Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Polska w Davos. Każda polska ambicja zostanie zaatakowana



Jeszcze kilka lat temu polska obecność w Davos sprowadzała się do gościnnych występów kilku rodzimych polityków na salonach i w debatach organizowanych przez innych. Inni więc decydowali o tematach, agendzie, przekazie. Na tych salonach też oczywiście warto być. Prezydent Duda, premier Morawiecki, wicepremier Sasin i inni politycy rozmawiali z najważniejszymi postaciami współczesnego świata i polityki. Jednak organizowany od 2019 r. Polish House (Polski Dom) znacząco zmienił obraz. Polski przekaz i oferta są prezentowane ofensywnie, na naszych warunkach. W tym roku szczególnie udanie, pod hasłem „Bridge to freedom", czyli „Most do wolności", co nawiązuje do naszej roli w pomocy Ukrainie.

Czytam krytykę, że podobno byliśmy mistrzami własnego podwórka. Albo to gigantyczne nieporozumienie, albo zła wola. Ewentualnie szokująca niewiedza. Wystarczy spojrzeć do programu Polish House: debaty i spotkania na ważne dla Polski tematy, jak energetyka, atom, pomoc Ukrainie i jej odbudowa, sytuacja na Białorusi, przyszłość NATO, cyberbezpieczeństwo, inwestowanie w Polsce. W każdym panelu ważni eksperci i politycy z Polski oraz goście z zagranicy.

W panelu o współpracy polsko-koreańskiej (miałem zaszczyt go prowadzić) obok prezydenta Dudy (wygłosił słowo wstępne) i wicepremiera Sasina uczestniczyli prezesi PGE, ZE PAK, minister handlu Korei i szef KHNP – największego tam przedsiębiorstwa z branży elektrowni jądrowych. Czyli dwie strony wielkiej transakcji reprezentowane na najwyższym szczeblu. Mało?

W panelu dotyczącym wileńskiego szczytu NATO prowadzonym przez dziennikarza „Financial Timesa" Henry'ego Foya spotkali się w ważnej dyskusji (jeszcze do niej wrócę) prezydent Polski i wysocy rangą dyplomaci z Polski (Tomasz Szatkowski), Estonii (Jüri Luik) i Słowacji (Peter Bátor). To ma być „własne podwórko"?

Można by tę listę ciągnąć długo. Polish House rzeczywiście, jak określił to jeden z niemieckich komentatorów, lśnił pewnością siebie, przyciągnął gości, drzwi się nie zamykały. Dominował język angielski, słychać było ukraiński.

Niektóre rzeczy nie wychodzą, jak trzeba, takie jest życie, ale to nam się udało. Te kilka dni Polska wykorzystała perfekcyjnie. Wywarliśmy wpływ na wiele spraw, umocniliśmy wizerunek lidera Europy Środkowej i odważnego współprzywódcy proukraińskiej koalicji. Działamy długofalowo, wreszcie świadomie i mądrze inwestujemy w wizerunek.

Skąd więc ten atak? Z tego samego powodu, dla którego atakuje się wszystko, co w Polsce ambitne: od programów prorodzinnych, które zatrzymały upływ młodej krwi z Polski, przez ambitne zbrojenia, po budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Polska w Davos to kolejny dowód na to, że każda polska ambicja, każda aktywność zostanie zaatakowana. Dlatego piszę te słowa. Źle by się stało, gdyby ludzie, którzy chcą Polski skarlałej, narzucili nieprawdziwą narrację w tej sprawie. Byłoby narodową tragedią, gdyby wygrali i ponownie przejęli władzę nad Polską. We współczesnym świecie, zwłaszcza gdy żyje się między Rosją a Niemcami, cena za brak rozwoju i stanie w miejscu jest wyjątkowo słona. To bieda tutaj i wypychanie młodych – tam. Są takie kraje w Europie: pokorne wobec Berlina, zdemolowane demograficznie, niezdolne do suwerenności. Za to praworządność podobno tam kwitnie, nikt się nie czepia, gdy lokalne sitwy z błogosławieństwem brukselskich przywódców rabują miejscowych. My też szliśmy tą drogą, ale na szczęście w ostatniej chwili zawróciliśmy. I są efekty. Musimy jednak pamiętać, że bez wysiłku obozu propolskiego dorobek ostatnich lat może zostać zniweczony.

Na marginesie: mamy duży polski biznes, także operujący na rynkach międzynarodowych, który mógłby się tam pokazać. Ale jakoś się sam z siebie nie pokazuje. Niemieckie firmy wiedzą, że to ważne. Amerykańskie też. Nasze (niektóre) sądzą, że wystarczy tania siła robocza, by skutecznie rywalizować na świecie. Bardzo się mylą. Dobrze, że spółki z udziałem skarbu państwa umiały także tę lukę uzupełnić. I dobrze, że zobaczyliśmy tych, których to denerwuje.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 97a9d6b8b0

SIECI

spis treści



32 Taktyczny ekstremizm Hołowni
Jan Rokita



35 Z prof. Norbertem Maliszewskim
rozmawia Michał Karnowski



42 Pociąg do podwyżek
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MATRIOSZKA Z CHOBIELINA**
Krzysztof Feusette

9 **TYLKO NA SZTANDARACH**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KORUPCYJNY BAZAR UE**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **CZY SIKORSKI JEST RUSKIM AGENTEM?**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA KS. JAKUBA BARTCZAKA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PATRIOTYZM SPOD TATR**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **MADRYCKIE KŁAMSTWO**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **JECHALIŚMY LEOPARDEM**
Andrzej Rafał Potocki

24 **PODWÓJNE ZWYCIĘSTWO POLSKIEJ DYPLOMACJI**
Marek Budzisz

KRAJ

27 **PRZEKRĘCONY**
Marek Pyza

30 **BUNT ZAPASOWEGO**
Stanisław Janecki

32 **TAKTYCZNY EKSTREMIZM HOŁOWNI**
Jan Rokita

35 **Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

40 **BRUKSELSKI ZAMACH NA POLSKIE LASY**
Marzena Nykiel

42 **POCIĄG DO PODWYŻEK**
Konrad Kołodziejski

45 **OSTATNI ROZDZIAŁ?**
Marcin Wikło

48 **CORAZ TRUDNIEJ O MĘŻA**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

67 **UTOPIA NOWEGO ZIELONEGO ŁADU**
Grzegorz Górny

OPINIE

70 **ZAGROŻENIE I SZANSA**
Bronisław Wildstein

74 **ROSYJSKA CYWILIZACJA UMIERA**
fragment książki Piotra Skwiecińskiego

SIECI KULTURY

85 **ZWYCZAJNY CHŁOPAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

88 **Z ANNĄ CHODAKOWSKĄ**
rozmawia Maciej Walaszczyk

92 **WIELOMORZE**
Robert Tekieli

94 **POLECA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

96 **POWRÓT DO OJCZYZNY**
Katarzyna Łuczak

PODRÓŻE

106 **MOJE SZLAKI: ALICJA MAJEWSKA I WŁODZIMIERZ KORCZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

107 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

108 **NIEMIECKO-ROSYJSKIE ZWIĄZKI**
Wojciech Reszczyński

109 **FABRYKA TRĄDU**
Aleksander Nalaskowski

110 **RODZICE KONTRA GLOBALISTYCZNA HEREZJA**
Jan Pospieszalski

111 **HUMANITARYZM HISTORYKA MŚCISZEWSKIEGO**
Jerzy Jachowicz

111 **DOTYK SOULU**
Adam Ciesielski

112 **PLENEROWE ROZŚWIETLENIA**
Ryszard Makowski

113 **NOCĄ STYCZNIOWĄ, CZYLI JA TO PAMIĘTAM?**
Leszek Długosz

114 **DROGA KURIERA**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 62/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Zielona Kopalnia KGHM w Chile



Sierra Gorda 100% energii z OZE

Sierra Gorda to jedna z pierwszych kopalni na świecie w pełni zasilana energią pochodzącą ze źródeł odnawialnych. Polski koncern KGHM to siódmy na świecie producent miedzi i drugi na świecie producent srebra.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Sygnalista nadaje

Podczas spotkania z mieszkańcami Lublina lider PO ***Donald Tusk*** zapowiedział elementarne pojednanie z przeciwnikami politycznymi. Wstępem do tego procesu ma być jednak „bezwarunkowe rozliczenie, tak jak w RPA po upadku apartheidu". Cóż, to perspektywa więcej niż ponura, bo w Republice Południowej Afryki do dziś leje się krew, a zamiast pojednania nastąpiła jednak zemsta. A poza tym to Tusk rozpętał wojnę polsko-polską i on powinien być rozliczony w pierwszej kolejności. Gdy przegrał po raz pierwszy w 2005 r., zdecydował się podpalić kraj. I dziś już nie umie żyć inaczej. To się zdarza: maski przyrastają do twarzy.

Na spotkaniu w Siedlcach Donald Tusk został zapytany przez pana Janka o to, czy przywróci byłym esbekom wysokie emerytury. Przy okazji poznaliśmy smutny los tej grupy społecznej. „W tej chwili jako oficer, pracujący tu w Siedlcach, mam 0,0 proc. za 10 lat pracy w policji politycznej, a taka policja jest na całym świecie. Nie ma państwa, gdzie nie ma policji politycznej. Ja mam 0,0 proc. [przelicznika emerytury – przyp. red.] za 10 lat [pracy], tak jakbym nie był w ogóle w robocie. A jeszcze założono nam takie kajdany, taki jest przepis w tej ustawie, że czy to generał, czy to oficer, czy dyrektor departamentu, czy to minister, czy wiceminister, nie może więcej zarabiać niż 2160 zł. Więc ja aktualnie po 54 latach pracy, bo mam 72 lata, od 17. roku pracuję, dzisiaj byłem w pracy jeszcze, i proszę uwierzyć, że mam 2160 zł emerytury. Po 54 latach, z dyplomem dwóch magistrów i oficer policji. Czy to jest ta sprawiedliwość społeczna? Jak pan ma zamiar to złagodzić?". Tusk zadeklarował, że krzywdy zostaną naprawione. Symptomatyczne, że na spotkaniach Tuska nikt nie upomina się o sprawiedliwość dla całego pokolenia działaczy Solidarności, którym najpierw zabrano całą dekadę normalnego życia, a później, po przełomie, powiedziano, że są niepotrzebni.

Zaledwie pół roku temu poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek głosił hasło „Mieszkanie prawem, nie towarem" i wzywał państwo do tego, żeby wyszło „naprzeciw oczekiwaniom milionów Polaków, którzy nie mogą sobie pozwolić na swoje mieszkanie". Teraz okazało się, że sam ma pięć mieszkań. Zapytany o tę sprawę odpowiedział, że „pracował i zarobił, to ma". „Część z tych mieszkań jest oczywiście na pół z moim partnerem. Jedno z nich jest po prostu mieszkaniem mojej mamy, które odziedziczyliśmy z moimi siostrami po naszym zmarłym tacie". Kiedyś na bogatą lewicę mówiono, że jest kawiorowa. Wygląda na to, że w Polsce doczekaliśmy się lewicy wielomieszkaniowej.

Tomasz Grodzki nie kryje dumy z większości senackiej, której przewodzi. „Jestem dumny, że przewodzę takiemu Senatowi, bo – jak wiecie – w Sejmie zdarzały się czasami niezbyt eleganckie przejścia z jednej partii do drugiej po to, żeby utrzymywać jakąś większość. Nikt z senatorów demokratycznej większości nie uległ szantażowi, przekupstwu, obietnicom pracy dla rodziny i niebotycznych zarobków. To pokazuje, że są to ludzie nieprzeciętnej klasy". Są grupy, których rzeczywiście nie sposób opuścić, bo cena równa się śmierci, choćby cywilnej. A ze skłonnością do przekupstwa to chyba różnie bywało.

Aktywistka klimatyczna Greta Thunberg została zapytana o to, dlaczego protestuje przeciwko temu, co dzieje się w krajach Zachodu, a nie przeciw temu, co robi Rosja czy Arabia Saudyjska. Odpowiedź młodej Szwedki dobrze pokazuje jej wybiórcze podejście do protestowania. „Nigdy, przenigdy tego nie robiłam" – odpowiedziała aktywistka, sprawiając wrażenie, że nie rozumie pytania. „Czy mogłabyś teraz potępić OPEC?" – nie odpuszczał dziennikarz. Jednak reakcją Thunberg na to pytanie był już tylko śmiech. Niby młodzieńczy, ale zdaniem niektórych bardzo podobny do zawsze krzywego uśmiechu Putina.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Były redaktor naczelny „Newsweeka” w obraźliwy sposób przekręcił nazwisko lidera Polski 2050, proponując hasło: „Kałownia 2023”. Powodem były rytualne już spory wokół jednej listy opozycji, którą forsuje Tusk, a której (słusznie) boją się inni liderzy opozycji. Po fali krytyki ***Tomasz Lis*** odpowiedział: „Jedno wyjaśnienie – nie kpiłem z niczyjego nazwiska, bo nigdy tego nie robię. Chciałem połączyć w jednym słowie Kaczyńskiego i Hołownię, którzy politycznie są coraz bliżej siebie. Kaczłownia i Kahołownia brzmiało słabo. Wiec stanęło na Kałowni. Zero kpin z nazwiska”. Faktycznie, zero kpin, to była jedynie fekalna zabawa słowami. Ale w sumie dobrze, że już nie udają ludzi z wyższych sfer.

Sam ***Hołownia*** zareagował następująco: „Jeżeli prominentny wspieracz PO, od którego Platforma się nie odcięła, nazywa mnie Kałownią zamiast Hołownią, jeżeli wciąż słyszę z ust Borysa Budki i pani Gajewskiej, że jestem liderem w krótkich majteczkach […], to te efekty nie budują zaufania między nami i na pewno nie przysłużą się temu, o co na koniec chodzi – budowie systemu, który pozwoli wygrać z Kaczyńskim. Ode mnie nigdy nie usłyszysz złego słowa ani wobec Donalda Tuska, ani żadnego z liderów ugrupowań politycznych”. Hołownia może wypowiedzieć milion słów, ale jeśli ulegnie Tuskowi i nie pójdzie do wyborów sam, zakończy historię swojego projektu. I rzeczywiście okaże się chłopcem ze łzami w oczach, a nie mężczyzną.

Zapytany o sformułowanie „Kałownia 2023”, użyte przez Lisa, Hołownia zaznaczył, że Lis go nie przeprosił: „Brnął w jakieś mętne tłumaczenia. Dla mnie to jest smutna historia – że człowiek, z którym pracowałem, którego znam i który był jednym z najwybitniejszych dziennikarzy w kraju, zniża się do poziomu wulgarnego i prostackiego hejtera”. Lider Polski 2050 ocenił, że jest to objaw plemiennej walki, której nikt nie kontroluje. Ktoś to jednak kontroluje, ktoś nakręca, w interesie naszych potężnych sąsiadów. A samodegradacja Lisa rzeczywiście jest ciekawą tajemnicą.

Leszek Balcerowicz nie ustaje w krytyce polityki gospodarczej PiS i wskazuje na rzekome rozdawanie pieniędzy i fałszywe dary bez informowania o konsekwencjach takiej polityki. To nawet zabawne, biorąc pod uwagę, że on sam o tragicznych skutkach swojego planu z 1990 r. też nikogo nie poinformował, obiecując szybkie odbicie po kilku miesiącach. Balcerowicz przewiduje także kryzys. „W tym roku z różnych powodów będziemy mieli zapaść gospodarczą. To się musi odbić w sondażach i poparciu dla partii rządzącej. Szczególnie ważne jest, żeby opozycja nie zakładała, że głębsza, zasadnicza krytyka polityki PiS będzie ją kosztowała poparcie. Wręcz przeciwnie” – doradza. To w sumie dobry znak: Balcerowicz wieszczy klęski od chwili, gdy PiS doszło do władzy, i zawsze fundamentalnie się mylił. Jego prognozy trzeba czytać na opak.













Twórca terapii szokowej narzeka także, że wiek emerytalny w Polsce jest jednym z najniższych w Europie. „Trzeba ludziom pokazać: macie do wyboru – utrzymujemy to, co PiS wprowadził, ale w związku z tym będziecie musieli płacić wyższe podatki, albo będziemy mieli nadal bardzo ograniczone inwestycje czy wydatki np. na edukację” – mówił w RMF FM, apelując: „Trzeba przywrócić to, co było poprzednio, […] bo za to jest kilkanaście miliardów złotych co roku i tych kilkunastu miliardów nie ma np., żebyśmy mieli mniejszy deficyt albo nieco większe wydatki na oświatę”. Kilkunastu miliardów nie ma, ale jest za to ponad 200 mld zł z uszczelnienia systemu podatkowego. Poza tym opór przeciwko wydłużaniu okresu pracy w Polsce jest tak duży dlatego, że społeczeństwo wciąż leczy rany po brutalnym eksperymencie, któremu zostało poddane w latach 1990–2000.

Wiceszef MSZ Arkadiusz Mularczyk poinformował, że skrócone wersje raportu o polskich stratach wojennych obiegną wkrótce cały świat. Na ten wpis zareagował Łukasz Porycki, wicemarszałek województwa lubuskiego z PSL. Zareagował w sposób wyjątkowo prymitywny, stwierdzając: „Będzie czym w kominku palić”. Pomijając nasuwające się skojarzenia z najgorszymi zbrodniami niemieckimi, trzeba stwierdzić, że pan wicemarszałek dołączył do grona ludzi, którzy powiedzieli o sobie bardzo wiele, może nawet wszystko, przy użyciu zaledwie trzech słów.

„Homoseksualizm nie jest przestępstwem” – powiedział ***papież Franciszek*** w wywiadzie dla agencji Associated Press. Za grzech uznał fakt, że są biskupi, którzy popierają przepisy penalizujące homoseksualizm i dyskryminujące osoby o takiej orientacji. „Ci biskupi muszą przejść proces nawrócenia” – ocenił papież. Dodał, że potrzebna jest „czułość, którą Bóg ma dla każdego z nas”. Określił jako niesprawiedliwe przepisy, które penalizują homoseksualizm, i zaapelował do biskupów, by przyjmowali osoby LGBT+ w Kościele. Cóż, to jednak odwrócenie problemu. To środowiska LGBT+ chcą przejąć wychowanie naszych dzieci i dążą do pełnej kontroli nad życiem społecznym. Już dawno nie są ofiarami. Poza tym w Piśmie św. pewne sprawy ujęto jednak tak jednoznacznie, że nie da się ich sfałszować, nawet mając pełnię władzy nad światem.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x3, Mateusz Żelnik

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Matrioszka z Chobielina



KRZYSZTOF FEUSETTE

Drodzy chobielinianie, zebrałem was we dworze, gdyż sytuacja robi się gorąca jak krymskie słońce i być może wkrótce będę musiał was opuścić. Płakać nie ma co, gdyż czekają na mnie fundacje i stowarzyszenia, o których się nie śniło europejskim śledczym, ale chciałbym jak każdy dobry pan – czy to we dworze, czy w pałacach – zostawić po sobie wdzięczną pamięć ludu, nawet jeśli ciemnego, a czasem wręcz murzyńskiego. Jak wiecie, stworzyłem tu coś z niczego, z rozsypującego się dworu uczyniłem obiekt westchnień okolicznej ludności, z rudery powstał Chobielin-Dwór. A wraz z nią, jak głosiły od początku tabliczki: strefa zdekomunizowana, której np. w prowadzonym przeze mnie Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie udało się stworzyć, gdyż tam komuniści byli.

Do tego właśnie dworu oficerowie Biura Ochrony Rządu przywozili mi w godzinach pracy pizzę, której smak do dziś pamiętam, bo był smakiem władzy, klasy i bezczelności, bez której w polityce niczego się nie osiągnie. Zabraknie nam tutaj czasu i miejsca, by przypomnieć choćby drobny ułamek, choćby okruch fragmentu moich dyplomatycznych osiągnięć, zwłaszcza tych, które nie umknęły uwadze mediów zagranicznych. Tak było z hołdem berlińskim, w którym wezwałem Niemcy do chwycenia Europy za cugle, a może i za twarz. Byłem jedynym w dziejach polskim ministrem, który jeszcze większą łaskę niż Niemcom – robił Rosjanom. I tę swoją pozycję naprawdę lubiłem. Tylko – z drugiej strony – czy wystarczy nie być rusofobem, by zostać rusofilem? A przecież na mnie mówi się już znacznie gorzej. Doklejają mi „Z" do imienia i wychodzi „Zradek". Dobrze, że nie „Zadek" albo „Zdradek"! Czy już naprawdę nie można widzieć Rosji w NATO, choćby i na przekór całemu światu, poza niebojącymi się iść pod prąd Białorusią, Nikaraguą, Erytreą czy Koreą Północną? Przecież gdyby była w NATO, dawno byśmy wysłali czołgi na Ukrainę. W ramach oczywiście zobowiązań sojuszniczych.

Chcę też przypomnieć, że tylko mnie udało się ściągnąć na spotkanie z polskimi ambasadorami szefa rosyjskiej dyplomacji. Nie dość, że znalazł czas, to jeszcze pochwalił za słuszną koncepcję idei porozumienia. Wtedy wymyśliliśmy, że w 2015 r. urządzimy wielką wspólną fetę. Żeby dawny pociąg przyjaźni, który kursował z PRL do Związku Sowieckiego, teraz śmigał jak rakieta kosmiczna. „Wiesz, co, Siergiej – mówię do niego – róbmy to codziennie!". „Ale co?" – pyta. „No, to zacieśnianie" – mówię, bo o stosunki mi chodziło, międzynarodowe. A jak codziennie, to przez cały rok, i tak powstała wyjątkowa w tej części świata idea Roku Rosji w Polsce i Roku Polski w Rosji. Niestety, potem weszli na Krym. Ale nie ruscy, bo to się tak łatwo oskarżenia miota, tylko zielone ludziki. PiS słał monity o odwołanie imprezy, to im nasze ministerstwo kultury odpowiadało, żeby nie mieszać polityki ze sztuką. Po pół roku odwołaliśmy, bo i tak już nikt nie chciał jechać. Za to zdążyłem załatwić z Siergiejem mały ruch graniczny z Kaliningradem. Ileż się w tej Unii nastękali, że za wcześnie, ile razy ja ich musiałem uspokajać, że to jest świetna sprawa i superpomysł. A dziś się o tym poza Rosją praktycznie nie pamięta. Wszyscy tylko „Nord Stream" i „Nord Stream", a ja swoją opinię wyrażałem wielokrotnie. Cytuję: „Widzimy, iż polityka szantażu moralnego oraz bezwzględna lojalność wobec naszych sojuszników – w tym wypadku Ukrainy – nie zawsze przynosi pozytywne skutki. Być może niekiedy rozsądniej jest postępować zgodnie ze starym powiedzeniem: »Jeśli nie możesz kogoś pokonać, powinieneś się do niego przyłączyć«". Niestety, za wolno to nasze przyłączanie do Rosji szło, więc przyszedł PiS i wszystko zniszczył. Nie wiem, czy ktoś tamten cytat na ukraiński przetłumaczył, ale na wszelki wypadek wolałem pół roku poczekać na zgodę z Brukseli, żeby na Ukrainę pojechać. Oczywiście w grupie i na chwilę.

Obecnie na pewno się nie wybieram, bo mnie Zacharowa tak zareklamowała, że mogą mnie z irańskim dronem pomylić. W końcu słowa też mogą zabijać, a już na pewno takie, które napędzają zbrodniarzy. No, ale powiedziałem, co musiałem: że rząd przez 10 dni rozważał kwestię rozbioru Ukrainy wspólnie z Putinem. Od razu zaznaczam: jakbym sam wiedział, czy jestem tak głupi, cyniczny, czy sprzedajny, toby się ludzie nie zastanawiali, czy to było na trzeźwo. A czy ja wiem? Jaka to ostatecznie różnica, czy się jest pożytecznym dla wroga idiotą, czy mędrcem? Departament Stanu nazwał jeden z moich tweetów rosyjską dezinformacją, Kreml cytuje prawie wszystko jak leci, a Tusk na to: „A czy to takie ważne, co Sikorski mówi?". Na początku trochę się obraziłem, bo i on wie, i ja wiem, kim ja mogłem być. Sekretarzem generalnym NATO, szefem Rady Europejskiej, kandydatem Platformy Obywatelskiej w wyborach prezydenckich (i to dwa razy, ale za pierwszym razem Bronisław kazał mi ochłonąć, a za drugim była ustawka pod Kidawę). Mogłem być nawet szefem partii, gdyby nie Budka.

A teraz to już koń, jaki jest, każdy widzi, i przyjaciel Konia też. Obaj z Romanem żeśmy o tym rozbiorze Ukrainy pisali, bo od dawna na jednym wózku po poboczu jedziemy, to znaczy ja jadę, a Roman ciągnie. Ostatecznie świat dzieli się na ciągniętych i ciągnących. Przy okazji – wielkie podziękowania dla Vincenta Rostowskiego, że jeszcze mocniej wstawił się za mną niż Tusk. W każdym razie nie po to mu córkę bez konkursu przyjmowałem do ministerstwa, żeby teraz miał wypiąć się na starą gwardię. Vincent, jak będziesz w Brukseli, wpadaj na gorbatschowa, to sobie „Kalinkę" pośpiewamy. Przy okazji blender sobie odbierzesz, ten, o którym ci pisałem. Mnie siódmy niepotrzebny, tym bardziej że już nie mam gdzie pralek pomieścić. A jeszcze sedesy jadą.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Tylko na sztandarach

Dziś widać, jak szeroki był kontekst słów Georgette Mosbacher i jak były one celne

Afera korupcyjna w Parlamencie Europejskim zatacza coraz szersze kręgi. Lista łapówkarzy może zawierać nawet 60 nazwisk. Eurodeputowani wybrali już następcę Evy Kaili, byłej wiceprzewodniczącej europarlamentu, która siedzi w belgijskim areszcie, kluczowy podejrzany Pier Antonio Panzeri zeznaje jako „skruszony" w zamian za krótszą odsiadkę, a wszystko wygląda jak fabuła z nędznego filmu akcji. Lobbyści z Kataru i Maroka oraz nie wiadomo skąd jeszcze, setki tysięcy euro w gotówce przerzucane w torbach i walizkach, zegarki, luksusowe wakacje, układy, układziki, powiązania, a wszystko pod przykrywką walki o praworządność. Po przeczytaniu takiego scenariusza żaden rozsądny filmowiec nie wziąłby się za taką produkcję, przeczuwając klapę. Z tym że to wszystko jest prawda.

Warto przypomnieć, że śledczy wpadli na trop afery, szukając powiązań eurodeputowanych z Rosją. Co do tego, że agentura rosyjska w Europie działa, nikt chyba nie ma wątpliwości. Przed wybuchem wojny rosyjskie wpływy i agenci Moskwy mieli się świetnie w różnych płaszczyznach działania. Z Kremla były finansowane liczne NGO i politycy. Jeśli chodzi o te pierwsze, to głośny był choćby skandal ze Stowarzyszeniem Partnerstwo Niemiecko-Rosyjskie w Schwerinie (Meklemburgia-Pomorze Przednie), które otrzymywało fundusze od spółki Nord Stream 2 AG. Sprawę potwierdziła dyrektor zarządzająca stowarzyszenia. Organizacja miała m.in. promować zrozumienie dla Rosji w Niemczech. „Stowarzyszenie otrzymywało od spółki Nord Stream 2 AG dotacje w wysokości 20 tys. euro rocznie" – wyjaśniała Madeleine Block, dyrektor wykonawcza Partnerstwa Niemiecko-Rosyjskiego (DRP). DRP zostało założone w 2018 r. przez byłego premiera landu Erwina Selleringa. W zarządzie stowarzyszenia zasiadali także przedstawiciel spółki Nord Stream 2 oraz były przedstawiciel kraju związkowego Meklemburgia-Pomorze Przednie ds. Rosji.



Jeśli chodzi o polityków, to nikomu nie trzeba też chyba przypominać biznesowej kariery Gerharda Schrödera, największego dziś adwokata Rosji i Władimira Putina, który pod koniec swojego urzędowania na stanowisku kanclerza podpisał z Rosją umowę o budowie Gazociągu Północnego pod dnem Bałtyku, a gdy odszedł z urzędu, dostał angaż w radzie nadzorczej kontrolowanego przez Rosjan konsorcjum odpowiedzialnego za budowę Nord Stream właśnie. W październiku 2016 r. stanął na czele zarządu spółki Nord Stream 2, a po 12 miesiącach zajął intratne stanowisku w zarządzie Rosnieftu – kontrolowanego przez Kreml giganta naftowego.

Była też afera w Austrii, gdzie na ślubie byłej minister spraw zagranicznych tego kraju Karin Kneissl tańcował Władimir Putin. W prezencie ślubnym podarował jej wtedy kolczyki z szafirami warte 50 tys. euro. Po zakończeniu urzędowania pani Karin została w nagrodę nominowana do rady dyrektorów rosyjskiego koncernu Rosnieft.

Ale i to przecież nie wszystko. Polityków broniących interesów Kremla było więcej. Powszechnie jest też znana historia polityków z Austrii – Wolfganga Schüssela czy z Finlandii – Paavo Lipponena. Kupowanie przez Moskwę przychylności w Europie nikogo nie powinno już dziwić.

Dlatego wciąż warto wracać do pytania o źródła nagonki na Polskę w unijnych instytucjach. Jest ona na rękę nie tylko polskiej opozycji, ale przede wszystkim Rosji. A przecież już prawie rok temu na ten trop zwróciła uwagę była ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, mówiąc: „Unia zajmuje się w tej chwili praworządnością w Polsce i debatuje nad sankcjami. Pora powiedzieć to głośno – jeśli chodzi o problemy z praworządnością, spora część z tego, co docierało na Zachód, było efektem rosyjskiej dezinformacji. Zarówno Unia, jak i Ameryka przyjmowały ją bezkrytycznie". Dziś widać, jak szeroki był kontekst tych słów i jak były one celne. Widać też niestety, jak niewiele wspólnego z praworządnością mają instytucje, które to hasło mają wypisane na sztandarach.

Dorota Łosiewicz

Bój o emerytury



Francja zmaga się z kryzysem gospodarczym, inflacją i wysokimi cenami energii. W kraju dominują pesymistyczne nastroje, w sklepach zabrakło chwilowo musztardy, a w aptekach niektórych leków, np. paracetamolu. W szpitalach brakuje lekarzy i pielęgniarzy, a w szkołach nauczycieli. Tymczasem prezydent Emmanuel Macron forsuje kontrowersyjną reformę emerytalną. Według premier Élisabeth Borne, która przedstawiła zarys reformy w parlamencie, wiek emerytalny ma zostać podwyższony stopniowo z obecnie 62 do 64 lat, by zachować równowagę systemu emerytalnego. Przy okazji emerytura minimalna ma zostać podwyższona o 100 euro, do 1200 euro brutto miesięcznie. To jednak nie przekonuje Francuzów. Według najnowszych sondaży od 68 do 72 proc. z nich jest przeciwnych reformie. 19 stycznia ponad 1 mln obywateli (2 mln według związków zawodowych) wyszło na ulicę, by protestować przeciwko zmianom, które Macron próbował przeprowadzić już trzy lata temu, ale zarzucił w obliczu zmasowanych strajków i protestów oraz wybuchu pandemii COVID-19. Tym razem zamierza jednak wytrzymać presję ulicy. W końcu reformę zapowiedział już w trakcie swojej walki o reelekcję w ub.r. „Mówiłem wtedy, że trzeba będzie dłużej pracować i nie zmieniłem zdania" – podkreślił. Związkowcy z kolei zapowiadają, że zgotują mu piekło. Według nich prezydentowi nie chodzi o system emerytalny, tylko o rygor fiskalny. Francuski dług publiczny oscyluje w granicach 113 proc. PKB i zdaniem protestujących Macron chce ich kosztem przeprowadzić reformę finansów publicznych, żeby przypodobać się Brukseli.

Po pandemii i fali protestów żółtych kamizelek zaufanie do rządzących jest niskie. Na grudniowej liście najwybitniejszych francuskich osobistości sondażowni IFOP Macron znalazł się dopiero na 35. miejscu, a Marine Le Pen na 48. Są to jedyni politycy w rankingu. Kolejny dzień strajków ma się odbyć 31 stycznia. Mają strajkować pracownicy sektora energetycznego, transportu publicznego i lotniczego oraz kolei, a także nauczyciele. Znów są przewidziane uliczne protesty. Macron – jak twierdzi dziennik „Le Figaro" – liczy na to, że ludzie się w końcu zmęczą ciągłymi strajkami, które utrudniają im życie. Z kolei główne centrale związkowe liczą, że wymuszą cofnięcie reformy, a mają jeszcze kilka asów w rękawie.

Projekt reformy trafi 6 lutego do parlamentu, gdzie szykuje się nad nim gorąca debata.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

Nowy rząd się chwieje

Binjamin Netanjahu odwołał z funkcji ministra zdrowia i spraw wewnętrznych Arje Deriego, lidera partii Szas – jednego z niewielkich ugrupowań ortodoksyjnych, które od trzech tygodni współtworzą z blokiem Likud koalicję rządzącą Izraelem. Decyzja została podjęta w następstwie orzeczenia Sądu Najwyższego, który uznał, że Deri nie może pełnić funkcji w administracji publicznej w związku z wytoczoną mu sprawą sądową o oszustwa podatkowe, która w ub.r. zakończyła się ugodą. Deri uniknął więzienia i dostał wyrok w zawieszeniu, bo miał obiecać, że przez okres zawieszenia kary nie będzie sprawować funkcji publicznych.

Zdymisjonowanie Deriego może oznaczać, że partia Szas – mająca w 120-miejscowym Knesecie 11 mandatów – wycofa swoje poparcie dla rządu, co grozi upadkiem liczącej 64 głosy koalicji. Decyzja Netanjahu, który sam jest objęty dochodzeniem o korupcję, może być traktowana w charakterze testu, jeśli chodzi o relacje między władzą sądowniczą a pochodzącym z wyboru światem polityki. Liderzy partii Szas argumentowali, że nie zgadzają się na dymisję ich ministra, bo mandat wyborczy ich formacji, na którą swoje głosy oddało 400 tys. osób, jest silniejszy od prawniczej kazuistyki i sądowej ugody. Jednak – jak się wydaje – Netanjahu ugiął się pod presją trwających już od trzech tygodni demonstracji i w obliczu jednoznacznie negatywnego stanowiska państw zaprzyjaźnionych z Izraelem, w tym Stanów Zjednoczonych, podporządkował się stanowisku Sądu Najwyższego.



Nie oznacza to jednak, że trwający od kilku tygodni spór między nowym gabinetem a środowiskiem prawniczym został rozwiązany. Netanjahu nie zrezygnował bowiem z planów reformy wymiaru sprawiedliwości, które prezes izraelskiego Sądu Najwyższego Ester Hajut określiła jako zagrożenie dla demokracji. Chodzi o zmiany trybu powoływania sędziów, w których efekcie proces nominacji sędziowskich znalazłby się pod kontrolą koalicji rządzącej, co wywołuje protesty zarówno opozycji, jak i przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości.

Upór Netanjahu w sprawie ogłoszonych w połowie stycznia planów reformy oznacza więc, że mamy do czynienia raczej z początkiem, a nie z finałem politycznego starcia w Izraelu.

Marek Budzisz

Fot. yakub88/Shutterstock.com

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Brazylia

Lula zrzuca maskę

Zwycięstwo Inácio Luli da Silvy oraz porażka Jaira Bolsonaro w wyborach prezydenckich w Brazylii to nie tylko polityczna zmiana warty oznaczająca zwykłą zamianę rządów prawicowych na lewicowe. To także – prócz represjonowania opozycji (np. aresztowanie byłego ministra sprawiedliwości Andersona Torresa) i prób wykluczenia Bolsonaro z życia politycznego – zmiany dotyczące ochrony naturalnej rodziny i życia poczętego.

Rząd Luli wycofał bowiem Brazylię z międzynarodowego porozumienia przeciw aborcji, znanego jako deklaracja konsensusu genewskiego. Sygnatariusze tego dokumentu zobowiązywali się do promowania na forach międzynarodowych prawnej ochrony życia nienarodzonych oraz odrzucenia aborcji jako metody planowania rodziny. Opowiadali się też za ochroną małżeństwa rozumianego jako związek kobiety i mężczyzny.

Jedną z pierwszych decyzji Joe Bidena jako prezydenta USA było również wycofanie jego kraju z konsensusu genewskiego. Prezydent Lula podążył tą samą drogą, a w uzasadnieniu przedstawionym przez jego rząd czytamy, iż odrzucona deklaracja zawiera ograniczające rozumienie praw seksualnych i reprodukcyjnych oraz koncepcji rodziny.

O kierunku obranym przez nowe władze świadczy też decyzja ministerstwa zdrowia uchylająca rozporządzenie rządu Bolsonaro zobowiązujące służby medyczne do informowania policji o przypadkach aborcji w wyniku gwałtu oraz do przechowywania materiałów mogących pomóc w identyfikacji sprawcy. Nowe przepisy sprawiają, że trudniej będzie ścigać i karać gwałcicieli, a łatwiej przeprowadzać aborcję pod fałszywym pretekstem gwałtu.

Już pierwsze decyzje prezydenta Luli pokazują więc, że jego deklaracje pro-life składane podczas kampanii wyborczej były tylko chwytem marketingowym, służącym zdobyciu poparcia katolików. W efekcie zyskał on sympatię dużej części katolickiego episkopatu. Pod tym względem sytuacja w Brazylii przypomina USA, gdzie również prezydent katolik okazał się propagatorem aborcji, cieszącym się mimo to wsparciem części biskupów.

Grzegorz Górny

Fot. Nelson Antoine/Shutterstock.com



USA

Odszkodowania za niewolnictwo

Miejski Komitet Doradczy ds. Odszkodowań dla Afroamerykanów w San Francisco zaproponował jednorazową wypłatę 5 mln dol. każdemu czarnoskóremu mieszkańcowi miasta uznanemu za kwalifikującego do ubiegania się o odszkodowanie. Komitet zaproponował również umorzenie wszystkich długów związanych z pożyczkami edukacyjnymi, osobistymi, kartami kredytowymi i chwilówkami zaciągniętymi przez gospodarstwa domowe prowadzone przez czarnych. Za ruchem odszkodowawczym stoi m.in. założona w 1987 r. Narodowa Koalicja Czarnych na rzecz Odszkodowań. Demokraci pracują w Izbie Reprezentantów nad specjalną ustawą w tej sprawie.

Podstawą roszczeń jest przekonanie, że czarni w Stanach Zjednoczonych nadal odczuwają skutki niewolnictwa w postaci strukturalnego rasizmu. Powołany w maju 2021 r. Komitet, złożony wyłącznie z przedstawicieli czarnej społeczności, zarzuca miastu systematyczne represje wykluczające jego czarnych mieszkańców, a także ustala szkody wyrządzone im w przeszłości przez władze San Francisco.

Warunkiem uzyskania odszkodowań i umorzenia długów ma być urodzenie się lub przybycie do San Francisco w latach 1940–1996 oraz zamieszkiwanie w nim od co najmniej 13 lat, a także bezpośrednie pokrewieństwo z osobą będącą niewolnikiem przed 1865 r. Raport nie zawiera żadnych szacunków dotyczących całkowitego kosztu reparacji, jednak pobieżne wyliczenia mediów wskazują, że wypłaty mogą wynieść ok. 50 mld dol. Tymczasem tegoroczny budżet San Francisco nie przekracza 15 mld dol.

Pierwszym miastem, które przyjęło miejski plan reparacji dla afroamerykańskiej ludności, było w 2021 r. Evanston w stanie Illinois. Wcześniej, bo pod koniec lat 80., rekompensaty otrzymała społeczność japońska w USA, która wywalczyła po 20 tys. dol. dla ofiar internowań z czasów II wojny światowej. Z kolei przed dwoma laty władze Kalifornii zatwierdziły przyznanie odszkodowań do 25 tys. dol. ofiarom przymusowych sterylizacji. Zwolennicy tzw. ruchu eugenicznego uważali, że sterylizacja ludzi z chorobami psychicznymi i niepełnosprawnościami poprawi rasę ludzką. Prawo eugeniczne w Kalifornii uchylono dopiero w 1979 r.

Żądaniom odszkodowań za niewolnictwo sprzeciwiają się niektórzy czarnoskórzy republikanie. Ich zdaniem takie wypłaty byłyby niezgodne z konstytucją. „Co dalej? Zwrócą Kalifornię Meksykowi?" – szydził znany afroamerykański komentator Larry Elder.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Korupcyjny bazar UE



Jan Pietrzak

Pewnego dnia dowiadujemy się o niewytłumaczalnych dochodach osobnika zwanego „zdradkiem". Wiele osób wyraża zdziwienie, spekuluje na łamach, za jakie konsultacje pobiera się takie wysokie apanaże. Po paru dniach słyszymy wypowiedź tego gościa, pozującego na dyplomatę, która jest kłamliwą insynuacją pod adresem polskiego rządu... I znowu komentatorzy, politycy wydają okrzyki zdumnienia. Jak on tak może mijać się z prawdą? On niczego nie rozumie... Otóż wystarczy połączyć te dwie niby niejasne sytuacje, by zrozumieć właśnie, że o dyplomacji nie ma tu mowy. Ale o usługach jak najbardziej.

Europarlamentarzyści wiedzą o tym doskonale, że Europejska Wspólnota Gospodarcza powstała w 1958 r. w celu swobodnej wymiany usług i towarów. Następcy tamtej pierwszej Unii tak się wyspecjalizowali przez kilka pokoleń, że wymieniają swoje usługi bezpośrednio na gotówkę, najchętniej w workach. Oczywiście przelewy bankowe też wchodzą w rachubę, lecz mają pewien mankament. Zostawiają ślad w sieciach komputerowych. Z kolei tradycyjna torba, walizka, reklamówka... gwarantują błogi spokój, doceniany w branży usługowej. Wiceprzewodnicząca PE, zawzięta socjalistka, trzymała wypłaty w workach po kartoflach – w eleganckim apartamencie na wysokim piętrze. Świadczyła usługi na najwyższym poziomie. Była otoczona całą grupą podobnych specjalistów od informacji lub dezinformacji, pod przykrywką polityków. O Maroku trzeba dobrze na jutro – za jeden worek, o Polsce trzeba jak najgorzej za tydzień – za dwa worki. Interes zwany korupcją kręcił się na eurobazarze jak na Różyckiego.

Napaść Putina na Ukrainę sprawiła, że na tle rosyjskiego barbarzyństwa, mordowanych miast i ludzi mafijne geszefty stały się bardziej drażniące. Można wysnuć wniosek, że to właśnie degrengolada unijnych instytucji jest jednym z powodów morderczej agresji Moskwy. Putin po zblatowaniu wielu niemieckich polityków szedł po swoje. Był przekonany, że „operacja specjalna" to mały pikuś. Jego niemieccy kumple szczerze w to wierzyli, czekając tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu na klęskę Ukrainy. Dopiero obecnie, po roku, zaczynają dostrzegać ogrom swej winy...



Dominik Zdort

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Z szeleszczącego kraju

Na uczelni miałem koleżankę z Portugalii. Skończyła już jakieś studia w swojej ojczyźnie, ale z polskim mężem przyjechała do nas i postanowiła wykształcić się w polszczyźnie. To był mój pierwszy kontakt z nacją znad Atlantyku, wtedy dowiedziałem się, że ich język jest podobny do hiszpańskiego tak jak czeski do polskiego. I ponoć Hiszpanie tak się z niego śmieją jak my z czeszczyzny.

Kiedy po latach dotarłem jako turysta do Portugalii, na ulicach miast tego kraju wciąż mi się zdawało, że ktoś mówi po polsku. Bo Portugalczycy „szeleścili" jak Polacy.

Choć tak naprawdę w Portugalii było przyjemnie z innego powodu: ceny bliskie naszym, tam się nie czułem pariasem jak w innych państwach Unii Europejskiej. No i te wspaniałe grillowane ryby... Marzyło mi się, że sprzedam mieszkanie w Warszawie, kupię klimatyzowany przybytek nad oceanem i będę tam prowadził rajskie, zdalne życie.

Z wyprawy przywiozłem takie właśnie pozytywne wspomnienia: uprzejmi ludzie, przyjazny klimat, umiarkowane ceny, smaczne jedzenie. I kupiony w Fatimie otwieracz do piwa z wizerunkiem Matki Boskiej.

A potem przyjechał Paulo Sousa. Pokładaliśmy w nim nadzieje. Okazał się nijakim trenerem i małym człowiekiem. Szybko uciekł z polskiej reprezentacji do brazylijskiego klubu, który zresztą zaraz go zwolnił.

I Portugalia, tak dobrze mi się turystycznie kojarząca, stała się w moich oczach krajem niepoważnych chłystków typu Sousy. Pewnie nie tylko w moich, lecz także – jak sądzę – w oczach wielu Polaków.

Teraz przyszedł kolejny Portugalczyk Fernando Santos. Znany zarówno jako szkoleniowiec, jak i oszust podatkowy, któremu mylą się państwa, w których grają piłkarze.

Wszystko to będzie jednak bez znaczenia, jeśli nowy trener polskiej reprezentacji wytrwa dłużej i nie będzie forsował metody gry sprzecznej z możliwościami Polaków. Czyli – mówiąc wprost – jeśli będzie kontynuatorem myśli szkoleniowej Czesława Michniewicza, piłki ostrożnej, wyważonej, defensywnej. Bo żeby osiągać wyniki, Polacy nie mogą rzucać się z szablami na czołgi, ale powinni grać solidny obronny futbol.

Michniewicz za swoją taktykę został zwolniony po nagonce niemądrych sportowych komentatorów. Jego następca ma atuty, dzięki którym trudniej będzie go hejtować: większe nazwisko i dokonania. Oraz w telefonicznych billingach brak połączeń z Fryzjerem.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 97a9d6b8b0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy Sikorski jest ruskim agentem?

Czy zwyczajnym idiotą? Naturalnie „zwyczajny" do kolegi Nikodema Dyzmy (razem kończyli Oksford) nie pasuje. Przez lata Sikorski zajmował znaczące państwowe urzędy, był nawet szefem MSZ w rządzie PO i rywalizował o nominację tej partii na stanowisko prezydenta, że o ubieganiu się o funkcję sekretarza NATO czy międzynarodowego reprezentanta UE tylko wspomnę. Dziś jako europoseł za konsultacje dla tajemniczych zleceniodawców otrzymuje setki tysięcy euro rocznie. Zwykły idiota tego nie potrafi. Nawet opętany nienawiścią.

Stwierdzenie Sikorskiego, że rząd PiS wspólnie z Rosją myślał o rozbiorze Ukrainy jest wyjątkowym prezentem dla Moskwy i próbą zepsucia polsko-ukraińskich relacji, które stanowią naszą rację stanu. Dziś są najlepsze w historii w dużej mierze dzięki staraniom obecnych władz.

Główny doradca prezydenta Zełenskiego Ołeksij Arestowycz stwierdził: „Polska faktycznie uratowała Ukrainę. [...] gdyby nie Polska, to nas nie byłoby wśród żywych [...]. Polacy oddali wszystko, co mogli. Mam wrażenie, że oddali więcej, niż zostawili sobie". Podobne cytaty ważnych osobistości Ukrainy i zwykłych jej mieszkańców można by mnożyć.

Czy więc warto zajmować się kolejną insynuacją, na której poparcie autor nie ma najmniejszego uzasadnienia? Niestety, wypowiedzi osób publicznych, nawet groteskowych, a takim jest Dyzma z Chobielina, mają swoje życie. Zwłaszcza jeśli można je zużytkować politycznie. Dowodzi tego moskiewska propaganda, która nadyma „rewelację" Sikorskiego na wszystkie możliwe sposoby.

Nie pierwszy raz. Wcześniej Sikorski dziękował Stanom za wysadzenie Nord Streamu, również dostarczając żeru putinowskiej propagandzie. Dzisiaj jest jej głównym autorytetem. Komu w takich sprawach można wierzyć, jeśli nie szefowi (choćby byłemu) MSZ? Dlatego opowieść o planowanym przez Polskę wspólnie z Moskwą rozbiorze Ukrainy będzie funkcjonowała długo. Wielokrotne powtórzenie nada jej charakter świadectwa. Może mieć znaczenie dla Ukraińców, którzy mają prawo wątpić, czy wiązać się z sojusznikiem w trudniejszym momencie planującym przyłączenie się do wroga. Nic gorszego Sikorski nie mógł wymyśleć. Ale przecież najważniejsze jest, by dorżnąć watahę.

Sekunduje mu były minister finansów PO, a więc znowu ważna persona, Jan Rostowski, który głosi: „Myślę tak samo jak Radosław Sikorski. Wzywam Mateusza Morawieckiego do powiedzenia nam prawdy na ten temat, bo poszlaki są znaczące, że właśnie tak było". Wprawdzie nie ma żadnych poszlak, ale Rostowski wie, że wielokrotnie powtórzone kłamstwo dla wielu stanie się prawdą.

To z tej strategii wyrastają insynuacje Sikorskiego. Ponieważ jest charakterem prostym, posuwa się za daleko i bywa temperowany przez Donalda Tuska, który ze względu na swoje międzynarodowe aspiracje liczy się z pozorami. Niektórzy liderzy PO dystansują się już od Sikorskiego, choć zwykle robią to w specyficzny sposób, jak choćby Borys Budka: „W mojej ocenie od momentu wybuchu wojny na Ukrainie, agresji, napaści rosyjskiej na Ukrainę, rząd premiera Morawieckiego co do zasady zachowywał się poprawnie i myślę, że to był zimny prysznic i wreszcie zaprzestał współpracy z międzynarodówką Putina".

To Berlin umożliwił rosyjską agresję, a i obecnie robi wszystko, by blokować presję na Moskwę. Pod ten układ jest jednak podczepiona PO, a nie PiS. „Międzynarodówką Putina" Budka et consortes nazywa ugrupowania, które kontestują niemiecką dominację w UE, co realnie powstrzymuje jej prorosyjski kurs. Jednak nie o fakty chodzi, ale niszczenie politycznego przeciwnika. To wprawdzie Tusk i Sikorski na wezwanie Berlina łasili się do Putina i degradowali nasze relacje z Ukrainą, ale dziś oskarżają o to konkurentów.

Strategia totalnej opozycji, której istotną część stanowią media i ośrodki opiniotwórcze, polega na odwracaniu znaczeń w oparciu o siłę swoich propagandowych tub. Kwestionowanie demokracji jest nazywane walką o nią. Dziś lider opozycji wzywa do łamania konstytucji i stosowania wobec legalnie wybranych władz środków, jakich używa się do rozliczenia krwawej dyktatury. Sama idea totalnej opozycji to uderzenie w państwo i demokrację. Opozycja ta apeluje o pluralizm, domagając się eliminacji przeciwników politycznych, walczy o tolerancję, żądając sądowego zamknięcia ust inaczej myślącym itd.

Rządy PO to abdykacja państwa na rzecz silniejszych ośrodków zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz kraju, nic dziwnego, że okres ten był ciągiem afer od hazardowej po Amber Gold. Postacie takie jak Stanisław Gawłowski, który z aresztu uciekł do Senatu, czy Sławomir Neumann, instruujący kolegów partyjnych, że dopóki są wierni PO, nic im przed sądami nie grozi, są emblematyczne dla tego ugrupowania. To jednak politycy PO bez żadnego uzasadnienia powtarzają: „PiS kradnie".

Nic dziwnego, że w tej licytacji mąż swojej żony chce wymyślić coś szczególnego. Nie Polska go przecież interesuje, ale Chobielin.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 97a9d6b8b0





Walizka ks. Jakuba Bartczaka

księdza parafii w Sulistrowicach, rapera, autora tekstów

Moje podróże są związane z rekolekcjami, chrześcijańskimi koncertami i z ewangelizacjami. Często jadę z mamą i młodzieżą z mojej parafii w Sulistrowicach pod Wrocławiem. Zabieramy się wtedy moim wiekowym busikiem Volkswagena, choć muszę przyznać, że rolę kierowcy najchętniej powierzam innym. A jeszcze chętniej przemieszczam się bez samochodu, bo wtedy czuję się w pełni wolnym człowiekiem. Zaletą jazdy pociągiem jest możliwość oddania się lekturze Pisma św. Niejednokrotnie w podróż udaję się też pieszo, szlakami z dala od szos i autostrad. To dobry czas do przemyśleń, kontaktu z przyrodą i napotkanymi ludźmi. Takie „pielgrzymki" weryfikują liczbę zabieranych rzeczy do niezbędnego minimum.



PISMO ŚW.

To najważniejsza rzecz, którą z sobą zabieram. Niejednokrotnie daje mi inspiracje. Modlę się też z Pismem św. Ten egzemplarz jubileuszowej Biblii Tysiąclecia otrzymałem w prezencie.



RÓŻANIEC

Jego fenomen polega na wielkiej mocy zawartej w tak niepozornym przedmiocie. Gdziekolwiek bym się znajdował, różaniec pomaga mi w modlitwie. Stale kieruje moje myśli w stronę Pana Boga.



ŚWIĘTE OBRAZKI

Zawsze mam przy sobie obrazek Jana Pawła II oraz z wizerunkiem Jezusa z Całunu Turyńskiego. Jestem z pokolenia JPII i nasz papież zawsze fascynował naszą rodzinę. Podjęcie decyzji o zostaniu księdzem diecezjalnym zawdzięczam właśnie jemu.



SUTANNA

Obowiązkowo. Gdy jest pośpiech i gorąco, to chowam ją do plecaka i wkładam czarną bluzę z kapturem. Przyznaję, że walizka dla sutanny byłaby łaskawsza.



CZAPKA

Czarna pasuje do reszty mojego ubioru. Czapka z daszkiem nawiązuje do mojej artystycznej duszy, raperskiej sceny muzycznej i mojego osiedla. Pozdrawiam moją ekipę!

eprasa.pl 97a9d6b8b0





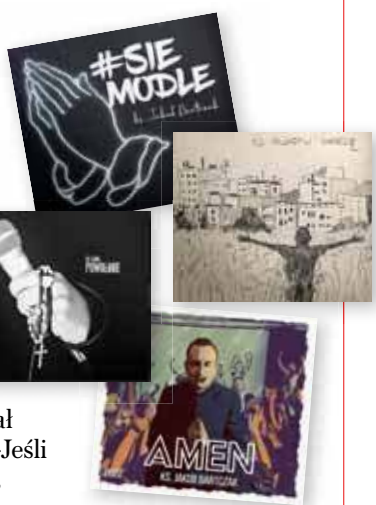


KOMÓRKA

Mój niezbędnik do wynajdywania połączeń autobusowych i kolejowych. Mam na niej także różne aplikacje do tworzenia muzyki. W moim telefonie spotkała się też tradycja z nowoczesnością, bowiem mam tutaj modlitwy brewiarzowe. Jest to duże odciążenie plecaka.

MOJE PŁYTY

Sporo ich rozdałem, przemierzając Polskę wszerz i wzdłuż. „Rapujący ksiądz" brzmi jak jakiś oksymoron, ale jestem najlepszym dowodem, że Bóg ma poczucie humoru i oryginalne sposoby na dotarcie z Ewangelią do młodych ludzi.



SPORTOWE OBUWIE

Dla piechura to najlepszy wybór. Większość księży wkłada klasyczne buty na obcasie, ale daleko na piechotę by nie zaszli.

SANDAŁY

Gdy jest gorąco, podczas pielgrzymek ergonomia i wygoda jest głosem rozsądku.





WODA

„Jezus wstał i zawołał donośnym głosem: »Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło pismo: rzeki wody żywej popłyną z jego wnętrza«. A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego" (J 7,37–39).



KALENDARZ

Spełniający funkcję notatnika. Zapisuję w nim myśli, które są wynikiem biblijnych medytacji. Nieraz za jego pomocą układam raperski tekst do mojej piosenki. No i oczywiście planuję w nim swoje aktywności duszpasterskie.

JABŁKA

Od mojej parafianki – pani Rózi. Nieraz wiozę tę cząstkę Sulistrowic przez całą Polskę. A poza tym jabłka są o niebo lepsze od fast foodów.



SŁUCHAWKI

Muzyka mi towarzyszy stale, także podczas podróży. Oprócz niej słucham nowych bitów, podcastów i świadectw ludzi, którzy spotkali żywego Boga. Te historie są bardzo krzepiące dla serca i jestem przekonany, że poruszają nawet tych, którym jest nie po drodze z wiarą.



LEKTURY

Lubię czytać historie i dzienniki mistyków, którzy odczuli obecność i wolę Boga. Głos Pana w ich przypadku jest głośniejszy i objawia się m.in. przez uzdrowienia, stygmaty, wizje, a także wiele łask wzbudzających zdumienie otoczenia. Większość zapewne słyszała o latającym św. Józefie z Kupertynu, św. Franciszku z Asyżu, o. Czesławie Klimuszce, św o. Pio, św. Łucji, Alicji Lenczewskiej, Annie Katarzynie Emmerich czy żyjącej mistyczce Myrnie Nazzour, ale to tylko garstka osób, których zadziwiające historie ukazują moc i miłość Stwórcy.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

PENDRIVE

Zawsze w kieszonce mam pendrive'a. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać zgrane na nim bity.



Fot. Krzysztof Kaniewski, zdjęcia z archiwum bohatera, Shutterstock

eprasa.pl 97

OGNIEM NA WPROST

Wagnerowiec z Berlina



Kto wynalazł konserwy? Radziecki naukowiec Puszkin, jak głosi stary kawał jeszcze z lat 50. W ogóle dla Moskala to w zasadzie wszystko wymyślili albo Sowieci, albo Rosjanie. Domorośli i nie tylko rosyjscy uczeni cały czas kombinują, jak się zabezpieczyć przed ogniem Ukraińców, bo nawet czołgi nie chronią przed śmiercią lub kalectwem. Do historii zdążyły już przejść dzieła sztuki złomowej „made in Russia", jak wzmacnianie ciężarówek kradzionymi od rolników obciążnikami do traktora czy słynne metalowe klatki na czołgach mające w teorii chronić je przed Javelinami. Teraz do grona naukowców-konstruktorów dołączyli spadochroniarze z 76. Gwardyjskiej Dywizji Desantowo-Szturmowej. Ich pojazdy – bojowe wozy piechoty BMD-2 – przechodzą obecnie największe złomowe modyfikacje. Wozy BMD-2 są bardzo lekkiej konstrukcji przeznaczonej do desantowania z samolotu wraz z załogą wewnątrz. Służą do szybkiego przemieszczania się. Prędkość uzyskano kosztem opancerzenia. Przód pojazdu jest chroniony tylko przez 1,5 cm stal i można ją przebić serią z karabinu maszynowego. W tej sytuacji konstruktorzy-spadochroniarze dospawali arkusze miękkiej blachy, które niewiele wpłynęły na polepszenie ochrony, ale znacznie pogorszyły mobilność tych pojazdów. Lepiej było dopasować odpowiednio wyciętą płytę pancerza np. z wraku BMP-1, ale na to bojcy nie wpadli. Ponieważ fartuch z cienkiego metalu niewiele dał, postanowili nastraszyć Tryzubów i namalowali na nim, czyli na dyndającej z przodu blasze, pysk rekina z zębiskami. Całość robi wrażenie komiczne. Jeśli Ukraińcy padną ze śmiechu, to pomysł przyniesie sukces, ale chyba nie o taki efekt chodziło.

Niemiec w końcu uwolnił Leopardy i całe 14 sztuk ma trafić na front wschodni. Miejmy nadzieję, że czołg ten przyniesie podobny sukces, jaki dały armii niemieckiej 60-tonowe Tygrysy w bitwie o Charków roku Pańskiego 1943. Z kolei w kacapskich wojskach pancernych – totalna klapa. Jak donosi wywiad obronny Ministerstwa Obrony Wielkiej Brytanii, moskiewska armia nie chce na froncie najnowszego czołgu T-14 Armata. Dostarczone ostatnio pojazdy były w takim stanie, że odmawiały posłuszeństwa na polu bitwy. T-14 Armata był konsekwentnie nękany usterkami technicznymi. Już podczas swojego inauguracyjnego wystąpienia w trakcie parady z okazji Dnia Zwycięstwa w Moskwie w 2015 r. prototypowy egzemplarz T-14 zepsuł się na ulicy. W sieci pojawiło się nagranie, na którym widać jego nieudolną próbę holowania. W założeniu miał być to czołg czwartej generacji zdolny do walki z Abramsem. Ale wyszło jak zwykle. Zamiast superczołgu ruski skonstruował niewiele wartą kupę złomu. Z dużej propagandowej chmury siknął niewielki deszczyk.

Kilka dni temu mieszkańcy Kijowa zauważyli gigantyczne stado wron, które przelatywało nad miastem. Do sieci trafiły nagrania wideo. Tysiące czarnych ptaków krążyły nad miastem, a potem część z nich wylądowała na jednym z miejskich stadionów. Ponieważ wśród narodu pojawiły się spekulacje: „Czy to jakiś znak?", powołano ekspertów z kijowskiego zoo. Orzekli oni, że nie ma w tym zjawisku niczego nadzwyczajnego. „Spadł śnieg i ptaki szukają pożywienia" – wytłumaczyli. Ponieważ ruski wie zawsze lepiej, za wyjaśnienie zjawiska wziął się „znany rosyjski ornitolog", czyli pierwszy zastępca ambasadora Rosji przy ONZ Dmitrij Polański. „Kto wie, może to reakcja na sponsorowane przez państwo świętokradztwo, polegające na niszczeniu kościołów i ściganiu księży..." – napisał na Twitterze moskiewski dyplomata. Dołączył przy tym wpis Rosjanki Katii Liczewej, która w 1986 r. jako dziecko była ambasadorem dobrej woli w USA. Jej zdaniem mieszkańcy Kijowa są zaniepokojeni pojawieniem się wron, bo w słowiańskiej tradycji są one posłańcami zła. Jak ktoś się bierze za chrześcijańskie tłumaczenie zjawiska jak Polański, to niech pamięta, że gusła wszelakie i przesądy są niezgodne z prawdami wiary. Ale kto by tam na Kremlu i w tych okolicznościach przejmował się takimi drobiazgami.

Ukraińcy dorwali pod Bachmutem dwóch Niemców, którzy walczyli w Grupie Wagnera. Jeden był z Lipska i miał rosyjskie korzenie, a drugi nazywa się Volker i jest z Berlina. Ten drugi tak tłumaczył decyzję wstąpienia do organizacji przestępczej, za jaką niewątpliwie już niedługo zostaną oficjalnie uznani wagnerowcy. „Dostaję 3 tys. euro miesięcznie. Jako najemnik Wagnera otrzymuję 5 tys. dol. plus dodatki, co daje mu zarobek 7 tys. dol." – tłumaczył w niemieckim dzienniku „Tagesspiegel". Gazeta pisze, że jej rozmówca twierdzi, że „może zarobić dodatkową pensję: jeśli zabije jednego z nas, cudzoziemców, i przedstawi paszport zwłok jako dowód, dostanie wtedy dodatkowe 10 tys. dol.". Do tej pory była kasa, teraz będzie kulka. Chyba że mu Tryzuby odpuszczą – w co wątpię.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Patriotyzm spod Tatr



Marta Kaczyńska-Zielińska

Patriotyzm to szacunek, umiłowanie i oddanie własnej ojczyźnie, gotowość do jej obrony i poświęcenia dla niej. To uczucie determinujące postawę życiową jest oparte na przeświadczeniu istnienia więzi społecznej, solidarności ze swoim narodem oraz wspólnoty kulturowej składającej się z wielu kodów, które zapewniają wzajemne zrozumienie, kształtują światopogląd i zacieśniają międzyludzkie relacje. Poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne cechujące patriotów sprawia, że naród może stanowić wspólnotę tak samo naturalną jak rodzina spojona więzami krwi.

Trzeba podkreślić, że pojęcie patriotyzmu należy odróżniać od szowinizmu opartego na odrzucaniu czy też nacjonalizmu, który bazując na negatywnym nastawieniu, jest z reguły skierowany przeciwko komuś. Podstawą patriotyzmu jest miłość, solidarność, poczucie utożsamienia się ze wspólnotą, jej kulturą i historią.

Polska to kraj o przeszło 1000-letniej historii, która meandrowała przez okresy wielkości aż po upadek i unicestwienie państwowości na długo ponad wiek. Siłą, która sprawiała, że przez wieki polskość nigdy nie zgasła, był właśnie głęboko zakorzeniony patriotyzm i równie mocno ugruntowane poczucie własnej godności niesione potrzebą wolności leżącej w naturze Polaków.

Najważniejszą płaszczyzną, bazą, na której naród może zapewnić sobie wolność i realizować swoje ambicje, jest państwo rozumiane jako demokratyczna instytucja kontrolowana przez obywateli. Państwo – jak mówił śp. prezydent Lech Kaczyński – to jedyna organizacja, przy wszystkich swoich strasznych wadach, poddająca się kontroli demokratycznej, w ramach której [...] ktoś, kto ma 1 mld zł, i ktoś, kto ma 1 zł [...] ma ten sam jeden głos. I to powoduje, że państwo, które nie jest organizacją idealną [...], jest instytucją i tak doskonalszą od tych, które się żadnej kontroli demokratycznej nie poddają, a czasami potrafią doprowadzić świat na skraj olbrzymiego kryzysu". Państwo jest dla obywatela po to, by zapewniać mu możliwości rozwoju, a także po to, żeby go móc skutecznie, a nie jedynie formalnie obronić. Idzie tu o bezpieczeństwo gwarantujące suwerenność wewnętrzną i zewnętrzną. Państwo nie może więc pozostawać jedynie „nocnym stróżem". Musi pozostawać aktywnym regulatorem, podmiotem, dbającym o inwestycje, innowacyjność, badania naukowe.

Prezydent Lech Kaczyński, w pełni doceniając i wspierając ideę europejskiej integracji, konstatował, że niezależnie od wzniosłych wizji i świetlanych planów rzeczywistość Unii Europejskiej jest obecnie rzeczywistością państw narodowych z ich nie zawsze harmonijnymi interesami i tradycjami, a w rywalizacji w międzynarodowych rankingach startuje się zawsze z konkretnego miejsca: regionu, społeczności, tradycji. Żeby dorównać najlepszym, nie trzeba wypierać się własnej tożsamości i wtapiać w zunifikowany, jednorodny obszar produktów i usług, lecz wręcz przeciwnie – warto stawiać na to, co lokalne i wyjątkowe. W jednoczącej się Europie, która nadal pozostaje Europą ojczyzn, i na wspólnym unijnym rynku, gdzie regionalna oryginalność jest w coraz wyższej cenie, powinniśmy umieć się chlubić swoją tożsamością i potrafić zainteresować nią innych.

Taką postawę widać dziś wyraźnie zwłaszcza na Podhalu wśród górali, którzy niezmiennie pielęgnują swoje piękne tradycje, patriotyzm i wiarę. Są w tym naturalni, radośni i pełni godności. Odwiedzając najstarsze zakopiańskie wille nie sposób nie zauważyć, że opisana współczesna wizja patriotyzmu odpowiada jej wielowiekowym dziejom, losom poszczególnych Polaków wpisanych w trudne dzieje naszej państwowości, którzy doskonale rozumieli logikę i sens propaństwowej postawy. Przy okazji 160. rocznicy wybuchu powstania styczniowego budzi szacunek i skłania do pytań o naszą współczesną miłość do ojczyzny, dojrzałej jej pojmowanie, odwagę i konsekwencję młodego Stanisława Witkiewicza. Jako zaledwie 12-letni chłopiec zaangażował się w powstanie styczniowe, by po latach spędzonych na syberyjskiej zsyłce osiąść w Zakopanem i stworzyć unikatowy, piękny styl architektoniczny, którego założeniem było stworzenie nowoczesnego polskiego stylu narodowego.

Panu

Wojciechowi Surmaczowi

Prezesowi Zarządu Polskiej Agencji Prasowej

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

OJCA

składają

zarząd i pracownicy Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Madryckie kłamstwo



Samuel Pereira

„Konsensus wokół spraw rosyjsko-ukraińskich w Polsce jest trwały. Nie ma zasadniczych różnic między najważniejszymi partiami politycznymi w Polsce, jeśli chodzi o kwestie ukraińskie, NATO-wskie [...] i nie warto tego rujnować, bo to jest bezcenne". Trudno się z tymi słowami nie zgodzić. Szkoda tylko, że ich autor, czyli Donald Tusk, broni Radosława Sikorskiego, który ten konsensus w brutalny sposób usiłuje zniszczyć. Robi to, posługując się prymitywnym kłamstwem, którego nawet nie próbuje udowadniać. On po prostu myśli, że polski rząd rozważał rozbiór Ukrainy, więc mówi to w wywiadzie radiowym. Nie on pierwszy zresztą, bo podobne bzdury wypisywali wcześniej Roman Giertych, Siergiej Ławrow, Tomasz Lis i Tomasz Piątek. Mecenas był nawet pierwszy, jeszcze zanim Ławrow publicznie rzucił kłamstwem na temat rozbiorowych planów Polski. Jaki jest skutek całej operacji?

Uderzenie w wiarygodność polskiego rządu, to jasne, osłabienie naszego kraju, który jest kluczowy w przeciwstawieniu się rosyjskiej agresji, a także – i to jest dla Rosji pod kątem społecznym kluczowe – podzielenie narodów Polski i Ukrainy. Biorąc pod uwagę to, jak w kwietniu ub.r. Donald Tusk insynuował, że „być może w Warszawie ktoś projektuje przyszłość na sytuację po upadku Ukrainy" i „możemy się tylko domyślać, na ile polski rząd się zaangażował" w rozbiorowe pomysły Putina – śmiało można stwierdzić, że przewodniczący PO błogosławi tej propagandowej akcji.

Gdy tydzień temu bronił Radosława Sikorskiego, zarzucił Jarosławowi Kaczyńskiemu, że „widział go z politykami, którzy siedzą w kieszeni Putina", bo w styczniu 2022 r. PiS wziął udział w międzynarodowym szczycie europejskich partii konserwatywnych i prawicowych pod hasłem „Obronić Europę". Tusk nie wspomniał jednak, że delegacje biorące udział w tym spotkaniu poparły deklarację potępiającą agresywne działania Rosji, a bliscy mu Niemcy – jak ujawnił były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson – na początku wojny liczyli na szybką wygraną Rosji i powrót do interesów z Putinem. I on uważa, że polityka Niemiec była błogosławieństwem dla Europy.

Autor jest szefem portalu tvp.info

„Io" coraz bliżej Oscara



Film „Io" Jerzego Skolimowskiego otrzymał nominację do Oscara dla najlepszego pełnometrażowego filmu międzynarodowego. O statuetkę w tej kategorii powalczą też „Blisko" Lukasa Dhonta (Belgia), „Na Zachodzie bez zmian" Edwarda Bergera (Niemcy), „Cicha dziewczyna" Colma Bairéada (Irlandia) oraz „Argentyna, 1985" Santiago Mitrego (Argentyna). Laureatów 95. edycji nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej poznamy 12 marca.

Po wybraniu „Io" na polskiego kandydata do oscarowych nominacji Jerzy Skolimowski mówił:

„Jestem bardzo dumny, że mogę reprezentować kinematografię polską swoim filmem. Mam nadzieję, że tym razem będzie inaczej niż w poprzednich próbach, ponieważ ten film jest inny od wszystkich, które zdarzyło mi się nakręcić. Został zrobiony z sercem, zaangażowaniem w słuszną sprawę".

Jaki przekaz ma „Io":

„Naprawdę obchodzi nas los zwierząt i chcieliśmy zabrać głos w imieniu bezbronnych stworzeń, które są w tak makabrycznie wykorzystywane we współczesnym świecie. Odbierając nagrodę w Cannes, podziękowałem swoim osiołkom, wymieniając z imienia wszystkie sześć, które pomogły nam stworzyć tytułowego bohatera".

Pytany o oscarowy potencjał filmu reżyser stwierdził:

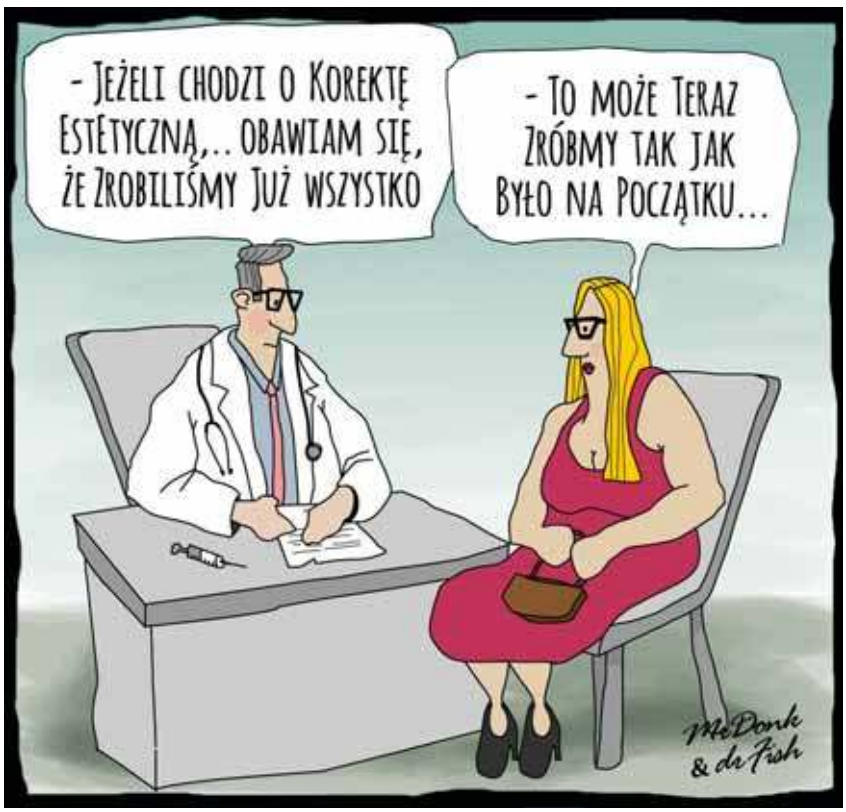
„Wydaje mi się, że jest to na tyle dobry film, że nie będzie bez szans w swojej konkurencji. To kino uniwersalne, a także – powiem nieskromnie – szlachetne. I chociaż szlachetność we współczesnym świecie nie jest szczególnie doceniana, to być może ten wyjątkowy przypadek zaważy na decyzji członków Amerykańskiej Akademii Filmowej".

Opr. Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Michał Englert

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Rysują Mr Donk & dr Fish



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

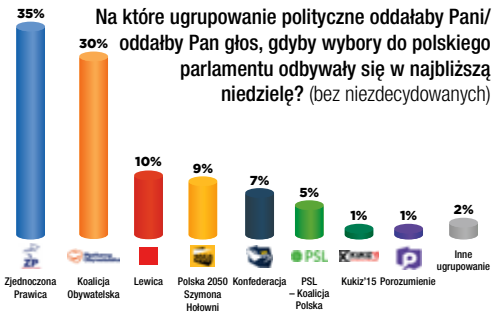
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.SKWARCZYNSKI x2, A. ZBRANIECKI/ EAST NEWS, B. ZAWRZEL/REPORTER, PAP, EAST NEWS x3, SHUTTERSTOCK x5

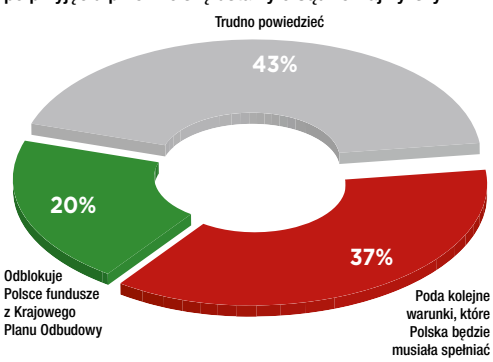
pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

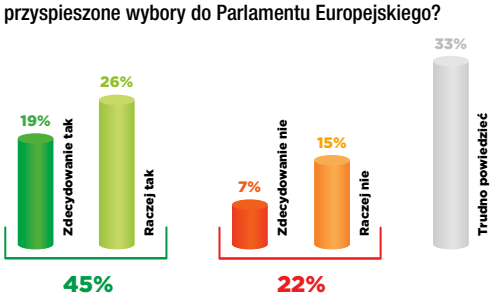
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



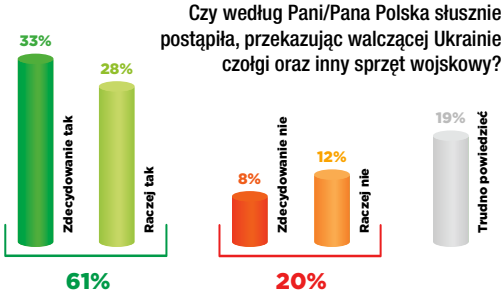
Jak Pani/Pan ocenia – co zrobi Komisja Europejska po przyjęciu przez Polskę ustawy o Sądzie Najwyższym?



Czy Pani/Pana zdaniem w związku z niedawną aferą korupcyjną w Parlamencie Europejskim powinny się odbyć przyspieszone wybory do Parlamentu Europejskiego?



Czy według Pani/Pana Polska słusznie postąpiła, przekazując walczącej Ukrainie czołgi oraz inny sprzęt wojskowy?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1053.

Zakres czasowy badania 20–23 stycznia 2023 r.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Jechaliśmy Leopardem

Z tyłu za mną na pancerzu wieży staje dowódca. Ppor. Bajorek powie mi, jak dowodzić czołgiem. Czas na instruktaż. Wciskam się przez właz i siadam na jego fotelu. Nawet w miarę wygodnie, choć zajmuję w skórzanej kurtce sporo miejsca. Przed sobą mam ekran. Zintegrowano w nim termowizor drugiej generacji, z matrycą skanującą, określany jako TIM. Po lewej w gumowej osłonie wystaje okular peryskopu. Przykładam do niego oko

Wokół cisza. Tylko silnik mruczy na jałowym biegu. Zaciskam podpinkę pod hełmofonem. Oburącz przekładam gogle z czoła na oczy. Przesuwam małą dźwignię przy lewej słuchawce do tyłu. Teraz mam już łączność z całą załogą. Jakość doskonała. Lepiej niż w smartfonie. – Naprzód! – słyszę komendę dowódcy. Stalowy kolos drgnął. Jedynka, dwójka, trójka – rozpędzamy się. Pięciobiegowa półautomatyczna skrzynia (3 biegi do przodu i 2 wsteczne) działa bez zarzutu. 1500 koni mocy silnika MTU MB 873 Ka-501 z turbodoładowaniem robi swoje. Stary Maybach (dziś MTU) do spółki z Daimlerem-Benzem nie stracili dawnej formy. Wyprodukowali jeden z najlepszych, o ile nie najlep-

Zdjęcia Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 97a9d6b8b0

szego diesla z wszystkich czołgowych motorów świata. Nauka z Barbarossy – przejazd od Berlina do Moskwy i z powrotem – nie poszła na marne.

Inżynierowie zza Odry się postarali. Bydlę rwie do przodu po błotnistej drodze. Wjeżdżamy do „piaskownicy". To droga w piachu z dołami głębokości 2–4 m. Na liczniku 30–40 km/h. Na manewrach jeździ się na maksa. Prawie do 70. Wtedy czołg lata, przeskakując górki. Ale nawet przy tej prędkości, którą jedziemy, lunaparkowy rollercoaster to pikuś. Mając świadomość, że pod tobą jest 60 ton stali, zaczynasz się czuć jak bóg terenu. Ryk silnika skutecznie tłumi hełmofon. Kolejny rów. Góra-dół, dół-góra. Podświadomie łapie się za obręcz włazu. Nie potrzeba. Idzie miękko. Mijamy ćwiczącą piechotę. Machają nam. Ech! Zające. „Piechota, ta szara piechota" – w głowie same przelatują słowa starej, żołnierskiej piosenki. – Uwaga, gałęzie! – ostrzega dowódca. Daję nura do włazu ładowniczego, by nie oberwać.

Po chwili wyłażę z powrotem. Widzę, że Leopard tnie pod ostrym kątem w głęboki rów. Albo kierowca nie zauważył, albo kozakuje. Niezły przechył na lewo. Już chcę się chować do włazu, by nie zostać przygniecionym przez 60 ton lecącego na bok żelastwa, ale widzę, że da radę. Wyjazd z dołu. Prawie pionowo do nieba. Teraz przed nami płaska, błotnista droga. Do dechy! Ma przyspieszenie. Poza gałęziami zero ryzyka. Momentami Leopard idzie ślizgiem jak rajdowe auto na szutrze. Ale niestety droga się kończy. Hamujemy. Prawie całe życie jeździłem konno, ale na Lamparcie? To był pierwszy raz.

TROCHĘ HISTORII

W chwili pisania tego tekstu nie wiadomo jeszcze, jaką wersję Leoparda damy Ukraińcom. Odwiedziłem więc 1. Warszawską Brygadę Pancerną im. Tadeusza Kościuszki i tam w 2. batalionie nasi pancerniacy poznali mnie ze stalowym lampartem w wersji 2A5. Odmian Leoparda jest bez liku – jak w licznej rodzinie. Zaczęło się od tzw. jedynki, która powstała w latach 50. XX w. Różniła się od obecnych (Leopard 2) tak bardzo, że nie ma sensu do niej wracać. Ciekawy za to jest pierwszy etap konstrukcji „dwójki". Elementy tego Lamparta powstały w wyniku kooperacji z Amerykanami. Oba państwa, Niemcy i USA, postanowiły w latach 60. zbudować nowoczesny czołg. Projekt nazywał się Main Battle Tank 70 (MTB) i KampfPanzer 70 (KPz 70). Stanowił połączenie inżynierii amerykańskiej z niemiecką. Współpraca – na początku owocna – skończyła się po kilku latach. Dotychczasowi partnerzy pokłócili się, ale mimo to coś zostało. W trakcie prac i użytkowania prototypów KPz 70 na terenie RFN powstał nowoczesny zespół napędowy o mocy 1500 KM oraz hydropneumatyczne zawieszenie kadłuba wozu. Według tej koncepcji zbudowano w fabrykach KraussMaffei i Wegmann układ jezdny obecnego Leoparda, a Amerykanie wykorzystali go w czołgu... Abrams. Można by z dozą pewności zaryzykować twierdzenie, że obecny najnowocześniejszy czołg świata, którym jest Abrams, korzysta z zawieszenia Lamparcika, a także z jego obecnej lufy (produkcja Rheinmetall Rh-120/L55, czyli kaliber 120 mm razy 55 i mamy długość lufy – najlepsze działo czołgowe świata).

> Inżynierowie zza Odry się postarali. Bydlę rwie do przodu po błotnistej drodze. Wjeżdżamy do „piaskownicy". To droga w piachu z dołami głębokości 2–4 m. Na liczniku 30–40 km/h

Armata w egzemplarzu Leoparda 2A5, który stoi przede mną, jest nieco krótsza. To poprzednia wersja produkcji Rheinmetallu. Kaliber ten sam, ale długość 5,28 m (44 razy 120 mm) i nosi oznaczenie Rh-120/L44. Waży, bagatela, razem z mocowaniem prawie 4 tony. W środku nie ma gwintu. Już od jakiegoś czasu we współczesnych czołgach montuje się gładkie lufy. Skuteczny zasięg działa Leoparda 2A5 to 4 km. Pocisk podkalibrowy (takie posyła się w kierunku czołgów przeciwnika) wystrzelony z armaty Rh-120/L44 osiąga prędkość wylotową 1650 m/s, a z odległości 2 km może praktycznie przebić pancerz każdego rosyjskiego czołgu. Najlepsze działo II wojny światowej – słynna niemiecka, bijąca nawet na 10 km, „osiemdziesiątka ósemka" miało prędkość wylotową pocisku połowę mniejszą, strzelając amunicją przeciwpancerną.

DWIE DROGI EWAKUACJI

Nasz Leopard wyjeżdża z garażu. Załoga w składzie: dowódca ppor. Bajorek, działonowy szer. Krawczyk i ładowniczy szer. Pomorski, czeka na zewnątrz. Kierowca st. szer. Szwed – już w garażu wśliznął się do środka, zajmując swoje miejsce za sterami Leoparda. Siedzi pośrodku czołgu. Żeby dostać się do jego fotela, trzeba wejść przez właz dowódcy (po prawej stronie wieży) i zanurzyć się w przejściu pod jego nogami. Najlepiej na plecach lub boczkiem, mijając stanowisko działonowego. Te mieści się jakby na drugim piętrze po prawej stronie kierowcy. Teraz na mnie kolej. Mam zająć miejsce dowódcy. Na „trzecim piętrze" razem z ładowniczym po mojej lewej. Puszczam przodem działonowego. Ten zręcznie wskakuje do prawej dziury w wieży, a ja za nim. Podparty rękoma na okrągłej krawędzi włazu z nogami dyndającymi w powietrzu obserwuję, jak pode mną znika w swoim przejściu działonowy. W razie czego są dwie drogi ewakuacji. Ta, którą weszliśmy, albo dołem przez tzw. właz ewakuacyjny prosto na grunt między gąsienicami pod czołgiem. Bez problemów piętą odsuwam siedzenie dowódcy w położenie poziome. Staję sobie na nim wygodnie. W ten sposób głowa i ramiona pozostają na świeżym powietrzu, a resztę poniżej chroni już stalowy pancerz Lamparta. Obserwuję wchodzącego po mojej lewej ładowniczego.

Z tyłu za mną na pancerzu wieży staje dowódca. Ppor. Bajorek powie mi, jak

eprasa.pl 97a9d6b8b0

dowodzić czołgiem. Czas na instruktaż. Wciskam się przez właz i siadam na jego fotelu. Nawet w miarę wygodnie, choć zajmuję w skórzanej kurtce sporo miejsca. Przed sobą mam ekran. Zintegrowano w nim termowizor drugiej generacji, z matrycą skanującą, określany jako TIM. Po lewej w gumowej osłonie wystaje okular peryskopu. Przykładam do niego oko. Na razie ciemno, bo sam peryskop jest umieszczony w centralnym punkcie na szczycie wieży i zakryto go plastikową osłoną. Niżej po prawej zaciskam dłoń na wolancie dowódcy. To taki joystick, dzięki któremu jestem w stanie obsługiwać całą elektrooptykę znajdującą się w Leopardzie i obracać wieżą.

– W tym wszystkim chodzi o świadomość sytuacyjną dowódcy na polu walki i obserwację – dochodzi do mnie głos porucznika. Wyobrażam sobie, że gdzieś na horyzoncie, 2 km od nas, pojawiają się trzy ruskie T-72. To najpopularniejszy czołg używany na ukraińskich polach bitew. Potencjalny przeciwnik Leoparda. – Jak się do nich dobrać? – pytam dowódcy. – Leopard został stworzony do walki z liczebną przewagą przeciwnika. Mamy przewagę jakościową – odpowiada. – Tu ważna jest rola dowódcy i działonowego oraz jakim sprzętem optoelektronicznym dysponuje ten czołg. Dowódca i działonowy muszą ściśle ze sobą współpracować przy wykrywaniu celów.

Oprócz termowizji TIM, która wyświetla się na ekranie przed nim, dowódca może korzystać z peryskopu dookólnego PERI R17 o polu widzenia 360 st. Działonowy z kolei dysponuje celownikiem głównym EMES-15A2 i kamerą termowizyjną WBG. Dowódca może jednym przełącznikiem przejąć obserwację i uzbrojenie od działonowego. Tym samym przełącznikiem dowódca może tylko naprowadzić działonowego na cel i „oddać mu uzbrojenie", tak by działonowy już tylko pociągnął za spust i zniszczył cel. Optyka działonowego jest dużo bardziej dokładna, a jego wolant i system kierowania ogniem pozwalają na oddanie precyzyjniejszych strzałów. W skrócie: działonowy obserwuje przedpole przez EMES-15A2 lub kamerę WBG, a dowódca przez PERI R17 lub kamerę TIM. Jednocześnie może podglądać to, co przez EMES lub WBG widzi działonowy. Dzięki temu można podzielić obszar obserwacji. Np. oddać optoelektronice działonowego sektor od „godziny dziesiątej do dwunastej", a samemu wziąć „od dwunastej do drugiej". – W walce czołgów chodzi o sekundy. Kto pierwszy zauważy wroga, ten ma znaczącą przewagę – informuje ppor. Bajorek.

> Leopard 2A5 może walczyć z trzema, czterema T-72 naraz i wychodzić z tych pojedynków zwycięsko – mówi ppor. Bajorek



TRZY WAŻNE SEKUNDY

– Cel czołg! – nagle krzyczy działonowy. Jako dowódca według procedur obowiązujących podczas ćwiczeń powinienem potwierdzić odkrycie działonowego słowami: „Potwierdzam, KE ładuj!" lub samo „KE ładuj!". Skrót „KE" oznacza pocisk podkalibrowy, ale wypowiedzenie słowa „podkalibrowy" trwałoby wieczność. Wtedy ładowniczy wprowadza do lufy nabój podkalibrowy i naciska przycisk z napisem „Feuer" (ogień). Oznacza to, że nabój jest już gotowy do wystrzału. W warunkach bojowych ładowniczy nie czekałby na potwierdzenie dowódcy, tylko po usłyszeniu w słuchawkach „Cel czołg!" od razu zacząłby ładować armatę. I tu mamy wyścig z przeciwnikiem, kto szybciej. W rosyjskim T-72 ładuje automat. Na dwa tempa. Pocisk i ładunek miotający. Zajmuje to 8 sekund. – Ile sekund potrzebujesz, żeby załadować „kluchę" (w żargonie czołgistów to nabój)? – porucznik pyta szer. Pomorskiego. – 3 sekundy – pada odpowiedź. „Dobry jest" – pomyślałem. Już mamy 5 sekund przewagi nad Moskalem. W międzyczasie działonowy celuje, a dowódca potwierdza, że jest to nasz cel – przeciwnik – a nie swój lub sojusznik. W Leopardzie wspiera go zintegrowany system kierowania ogniem wraz z przeliczającym dane komputerem. Są to: temperatura ładunku prochowego, temperatura powietrza, kąt przechyłu bocznego czołgu i siła oraz kierunek wiatru, a także położenie nad poziomem morza. Sercem systemu jest elektroniczny, analogowy przelicznik balistyczny.

Działonowemu oddano do dyspozycji celownik-dalmierz EMES-15, główny celownik stosowany w czołgach Leopard 2. Ma dwa tryby widzenia, normalny dayvision i tryb termowizyjny. Dayvision ma powiększenie 12x,

eprasa.pl 97a9d6b8b0



a termowizor ma dwie opcje: 4x lub 12x. Jest doskonały na duże odległości, pozwalając strzelcowi widzieć dalekie cele z dużą szczegółowością. Kamera termowizyjna świetnie sprawdza się w warunkach nocnych, dzięki czemu Lampart jest bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem w każdej chwili. Znalezienie celów bliskiego zasięgu może być jednak trudne, jeśli szyba dayvision (i dalmierza laserowego) jest brudna. Wtedy, naciskając przycisk, włącza się wycieraczkę, która działa, jakby czyściła przednią szybę samochodu. Cel namierzony.

Działonowy ma na swoim wolancie („baranku") pod palcami klawisz jak w joysticku i nim odpala nabój na komendę dowódcy: „Ognia!" lub „Zniszcz!". Tymczasem ruski automat w T-72 dopiero załadował armatę. Teraz musi przyhamować (o ile teren jest płaski) albo stanąć, żeby oddać strzał. Zajmuje to kolejne kilkanaście sekund. Stabilizator moskiewskich armat czołgowych, który umożliwia strzelanie w ruchu, działa bardzo słabo. Jeśli chodzi o stabilizację armaty w tych dwóch rodzinach czołgów (T-72 i Leopard 2), to jest to niebo a ziemia. Żeby go włączyć, rosyjski działonowy musi wykonać pięć czynności, a w Leopardzie wystarczy jedna. Dlatego już zniszczyliśmy dwóch nieprzyjaciół i jeszcze zdążymy złożyć się do trzeciego, gnając cały czas do przodu. Leopard ma też wiele innych zalet. T-72 jest w środku cały obłożony amunicją. Dlatego po trafieniu często następuje eksplozja magazynowanych wszędzie ładunków. Stąd wieże po trafieniu latają na kilka pięter w górę. W Leopardzie 15 z 42 pocisków znajduje się w tylnym magazynie osłoniętym od załogi płytą pancerną (grodzią). Z góry zaś wbudowano cienki pancerz, żeby kierować strumień ewentualnej eksplozji w powietrze, a nie w stronę miejsc, gdzie siedzi załoga. Teraz już po smutnych doświadczeniach na Ukrainie T-72 jeżdżą tylko z tym, co mają w automacie („karuzeli"), czyli 22 pociskami i 22 ładunkami miotającymi. Niewiele. Wystrzeliwuje, ile się da, i ucieka. Leopard jest w zasadzie odporny na strzały z RPG (ręcznego granatnika przeciwpancernego). Czołg ten przewidziany do manewru – uderza i znika. W przypadku prowadzenia ognia ze stanowiska ogniowego wystarczy wystawić na zewnątrz tylko peryskop. Reszta może być schowana. Żeby oddać strzał, trzeba tylko na chwilę wyjechać, by pocisk mógł opuścić lufę. Leopard na wstecznym wyciąga do 31 km/h, a T-72 10 razy mniej. Dlatego jak chce się wycofać, musi zawrócić, odsłaniając tym samym słabszy pancerz z tyłu maszyny.

Może się jednak zdarzyć sytuacja, że padnie nam w czołgu elektronika. Wtedy przechodzimy na sterowanie awaryjne, czyli ręczne. Pod klapą włazu mamy wokół głowy szczeliny obserwacyjne, a ogień prowadzimy, wykorzystując celownik FERO Z18. Jest bardzo niewielki, dobrze zabezpieczony i trudny do trafienia np. z broni ręcznej. Dzięki niemu mamy spokój, że nawet w najgorszym przypadku nie zostaniemy ślepi. Jak niegdyś w bitwie pod Kurskiem, latem 1943 r. Ale i tak powinniśmy być szybsi od co najmniej jednego ruska. Bo jak powiedział „Sieci" były dowódca 10. Brygady Kawalerii Pancernej (to za jego kadencji przezbrojono ją na przełomie wieków z T-91 Twardy na Leopardy 2A4) gen. broni Bogusław Samol: „Czołg ma być dla żołnierza, a nie żołnierz dla czołgu jak u Moskala".

– Leopard 2A5 może walczyć z trzema, czterema T-72 naraz i wychodzić z tych pojedynków zwycięsko – mówi ppor. Bajorek. Podobnie z T-80. – T-80 to co prawda rodzina wywodząca się z linii czołgu T-64, ale u podstaw obydwu konstrukcji leży podobna myśl techniczna. To takie dalsze kuzynostwo, lecz w sumie z jednej rodzinki tak samo upośledzonej – śmieje się oficer. Choć jeszcze nie było przypadku, żeby Leopard walczył z T-72, ale teraz nadchodzi czas debiutu.

Andrzej Rafał Potocki

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Podwójne zwycięstwo polskiej dyplomacji

W dzień swoich 45. urodzin Wołodymyr Zełenski dostał prezent od kanclerza Olafa Scholza, który występując w Bundestagu, powiedział, że Niemcy dostarczą Ukrainie 14 czołgów Leopard 2 i zezwolą innym państwom na ich reeksport. Nie obyło się to bez dyplomatycznych zabiegów Polski



MAREK BUDZISZ

Portal Politico, powołując się na szacunki rządu w Berlinie, pisze, że w efekcie ukraińskie siły zbrojne mogą dostać szybko 80 czołgów, ale liczba ta może okazać się większa, bo w toku niedawnej konferencji w Ramstein 12 państw deklarowało przekazanie nawet 100 Leopardów. Liczba ta może zresztą wzrosnąć, bo ostatecznej decyzji nie podjął jeszcze rząd Kanady, która ma 112 tych czołgów i obecnie, jak informuje portal Ottawa Citizen, w resorcie obrony trwają prace mające dać odpowiedź na pytanie, ile z nich i jak szybko rząd Justina Trudeau może przekazać Kijowowi. Podobne analizy są przeprowadzane w Sztokholmie, a producent Leopardów, niemiecki koncern Rheinmetall, poinformował, że nawet 139 maszyn typu 1 i 2 z własnych zasobów – nie od razu, ale partiami – do końca br. może dostarczyć na Ukrainę.

Szkolenia ukraińskich załóg już się zaczęły w Polsce, wkrótce mają ruszyć w Niemczech. Siemtje Möller, niemiecka wiceminister obrony, napisała w liście do parlamentarzystów, że zajmą one sześć tygodni, co oznacza, iż siły zbrojne Ukrainy pod koniec pierwszego kwartału powinny osiągnąć zdolność posługiwania się Leopardami. Inni eksperci wojskowi są zdania, że doświadczone załogi ukraińskie będą w stanie nawet szybciej przejść cykl szkoleniowy.

CZOŁG JAK MERCEDES

Niemiecka decyzja o wysłaniu Leopardów na Ukrainę ma ogromne konsekwencje zarówno polityczne, jak i przede wszystkim wojskowe dla dalszego biegu wojny, tym bardziej że równolegle Joe Biden postanowił, iż Ameryka wyśle w przyszłości na Ukrainę własne czołgi Abrams. Poświęćmy nieco uwagi kwestii, dlaczego z wojskowego punktu widzenia Leopardy są tak obecnie ważne. Sebastien Roblin, ekspert wojskowy specjalistycznego portalu 19FotyFive, podkreśla zalety tych czołgów. Jest ich przede wszystkim w Europie dużo, w służbie sił zbrojnych naszego kontynentu pozostaje ponad 2 tys. Leopardów różnych modyfikacji. To dlatego eksperci European Council on Foreign Relations, którzy jeszcze we wrześniu sfor-



Fot. Ronny Hartmann/AFP

Kanclerz Scholz zgodził się na przekazanie Leopardów Ukrainie

mułowali ideę europejskiego aliansu na rzecz przekazania czołgów niemieckiej konstrukcji Ukrainie, argumentowali, że wysłanie na wojnę nawet 10 proc. tego potencjału będzie znaczącym wsparciem dla Kijowa, a jednocześnie prawie „nie zostanie zauważone", gdyby brać pod uwagę potencjał obronny Europy.

Zupełnie inaczej w przypadku Leopardów, jeśli porównamy je z innymi zachodnimi czołgami, wygląda kwestia dostaw części zamiennych, napraw, szkolenia czy logistyki. W Polsce i Niemczech centra obsługi już istnieją, a to poważny atut, bo w przypadku sił pancernych problemy z zaopatrzeniem w części zamienne i dowiezieniem smarów oraz innych materiałów eksploatacyjnych są jednym z kluczowych czynników decydujących o ich sprawności, a co za tym idzie – skuteczności w walce. Roblin przypomina, że Leopardy to główna konstrukcja NATO, ich druga wersja została stworzona jeszcze w latach 70. XX w., zaprojektowana, by zatrzymać sowieckie czołgi, takie jakimi dziś walczą Rosjanie. Z tego względu są one dobrze opancerzone, a także niezwykle szybkie, po to by wytrzymując pierwsze uderzenie wroga, móc przejść do kontrataku. To dlatego mają one możliwość – czym nie dysponują rosyjskie konstrukcje – szybkiego, bo w tempie przekraczającym 30 km/h, co jest niemało jak na ważącą 55 ton maszynę, przemieszczania się na biegu wstecznym. Amerykański ekspert pisze, że mogą one pędzić nawet 70 km/h (po drogach) i 56 km/h w terenie. Ale ich podstawową zaletą jest jego zdaniem co innego. Leopardy mogą bez przerwy walczyć 19 motogodzin, podczas gdy czołgi rosyjskie muszą stanąć po 3 do 6 godzinach pracy, a to oznacza, że jeśli przejdą one do kontruderzenia, to będą się posuwać bardzo szybko. Richard Zimmerman, emerytowany amerykański wojskowy, podkreśla, że Leopardy mają zaawansowane systemy celownicze, ale przede wszystkim doskonałe wytłumienie drgań, co ma zasadnicze znaczenie dla celności prowadzonego ognia. „Czułem się, jakbym prowadził mercedesa – powiedział dziennikarzom. – Optyka do celowania przy świetle dziennym okazała się niezwykle wysokiej jakości – znacznie lepsza niż nasza. Bez większego wysiłku byłem w stanie zidentyfikować każdy cel w polu widzenia". Leopardy mają na wyposażeniu również zaawansowane systemy noktowizyjne umożliwiające im walkę w nocy, czym także nie dysponują Rosjanie.

ZDOLNI DO KONTRUDERZENIA

Pojawienie się Leopardów na ukraińskim froncie da stronie ukraińskiej potencjał zarówno niezbędny po to, by skutecznie się bronić i zatrzymać rosyjskie ataki, jak i móc przejść do kontruderzenia. Ostatnie dostawy sprzętu na Ukrainę, zatwierdzone w styczniu przez wspierającą Kijów koalicję, mają taki właśnie charakter. Jurij Butusow, dziennikarz specjalizujący się w sprawach wojskowych, podsumował styczniowe deklaracje władz amerykańskich w kwestii pomocy wojskowej dla Ukrainy. Zwrócił on uwagę, że dwa zatwierdzone (6 i 19 stycznia) przez Pentagon pakiety wsparcia mają łączną wartość 5,7 mld dol. Jak napisał, „w ub.r. szczyt dostaw przypadł na sierpień – w tym miesiącu dostarczono broń wartą 2,3 mld dol.", a gdyby wartości te odnieść do tego, ile Ukraina wydawała na uzbrojenie przed wojną – w 2021 r. było to 800 mln dol. – to mamy obraz nie tylko skali wsparcia, lecz także czegoś więcej. Chodzi o to – na co ukraiński analityk też zwrócił uwagę – że w amerykańskim pakiecie pomocy jest 304 tys. pocisków artyleryjskich różnych kalibrów, 904 pojazdy, w tym transportery opancerzone i pojazdy bojowe, które znakomicie zwiększą mobilność i szybkość przemieszczania się ukraińskich oddziałów. Butusow podkreślił też znaczenie dostaw amunicji precyzyjnej (Excalibur), systemów umożliwiających rażenie celów na większych odległościach, bo szacowanych na 140 km za linią frontu, a także na to, że na Ukrainie pojawią się pojazdy Stryker, które posiadają zautomatyzowane systemy kierowania ogniem i działają w ramach sieciowej struktury dowodzenia. Pojawią się też mobilne systemy przeciwlotnicze Avenger służące do bezpośredniego wsparcia wojska. Jakie należałoby z tego wyciągnąć wnioski? Dostawy te mają skokowo zwiększyć siłę ognia strony ukraińskiej przede wszystkim po to, by niszczyć rosyjską piechotę. Kolejnym elementem, na który warto zwrócić uwagę, to wzrost mobilności, co zapewne ma umożliwić szybkie przemieszczanie się oddziałów armii ukraińskiej.

Amerykański sekretarz obrony w swoim wystąpieniu w Ramstein powiedział, że dzięki nowym dostawom Ukraina będzie mogła atakować. Gen. Ben Hodges, były dowódca amerykańskich sił w Europie, powiedział w wywiadzie dla ukraińskiego portalu NV, że silny potencjał pancerny, w tym czołgi, zdolne do szybkiego przemieszczania się będą potrzebne do tego, by odciąć, a potem zdobyć Krym.

Rosjanie boją się z kolei innego scenariusza. Przywoływany w mediach gen. Jurij Natkaczew mówi, że łącznie państwa NATO przekażą Kijowowi w ramach ostatniego pakietu pomocy 60–70 śmigłowców szturmowych i transportowych, które użyte łącznie z myśliwcami już będącymi w służbie ukraińskiego lotnictwa i tymi F-16, które dotrą, oznacza, iż Ukraina może podjąć próbę zdobycia lokalnej przewagi w powietrzu, a być może w grę wchodzi wysadzenie desantu za rosyjskimi liniami. Moskale zbudowali bowiem w ostatnich miesiącach silnie umocnioną, eszelonowaną linię obrony praktycznie na całej długości frontu, ale w głębi, w pewnej odległości od frontu, ich możliwości są nadal ograniczone. I to w opinii rosyjskiego generała chcą wykorzystać Ukraińcy, którzy myślą o ataku z dwóch stron.

Te oceny mają oczywisty związek ze zmieniającą się na naszych oczach zachodnią teorią zwycięstwa na Ukrainie. Już nie chodzi tylko o to, by Ukraina była się w stanie obronić, ale w obliczu rosyjskiej determinacji i widocznych przygotowań Moskwy do kolejnej, wielkiej ofensywy musi mieć ona zdolność do odparcia uderzenia i przejścia do kontrataku. Dopiero wówczas rosyjskie elity mogą uznać – tak się przyjmuje – że wojny nie wygra się na polu walki, co może spowodować, że zechcą usiąść do poważnych rozmów pokojowych. Jeśli jednak zwycięży dominujące dziś w kremlowskim bunkrze i – szerzej – w rosyjskich elitach władzy przekonanie, iż Rosja po to, by przetrwać jako państwo, musi osiągnąć sukces w tej wojnie, co zapowiada przedłużający się konflikt, to dostawy zachodniego

eprasa.pl 97a9d6b8b0

sprzętu na Ukrainę i tak będą rosły, lepiej więc zacząć wcześniej niż zbyt późno.

POKRZYŻOWAĆ ROSYJSKIE PLANY

Perspektywa przedłużającej się wojny jest na razie odległa, a jak dotąd planiści wojskowi mówią o ryzyku rosyjskiej ofensywy, która – jeśli się powiedzie – zmieni koleje wojny. Phil Karber, prezes Potomac Foundation i wieloletni doradca Pentagonu, obecnie blisko współpracujący z dowództwem ukraińskich sił zbrojnych, jest zdania, że rosyjskie ataki na Bachmut i Sołedar, z którego Moskale wyparli w ostatnich dniach obrońców, mają poważniejsze, strategiczne znaczenie. Powiedział on w wywiadzie dla ukraińskiego portalu Fakty, że „łatwo zrozumieć logikę Rosjan atakujących Bachmut. Jeśli dokonają przełomu w tym rejonie, następne będą Kramatorsk i Słowiańsk, które nie tylko znajdują się w zasięgu ich artylerii, lecz także mogą być potencjalnie okrążone. Potem mogą włamać się na step. To zawsze było moim zdaniem największym zagrożeniem". W opinii Karbera, jeśli Rosjanom udałoby się dokonanie wyłomu i dotarcie do obszarów stepowych, gdzie czołgi mają mniejsze problemy z szybkim przemieszczaniem się, a siły zbrojne Ukrainy nie mają znaczących pozycji obronnych, bo nie ma tam dużej rzeki aż do Zaporoża czy Dniepru, to wówczas rosyjskie uderzenie mogłoby dotrzeć nawet do Połtawy. Dla Putina uwielbiającego historyczne analogie tego rodzaju rozwój wydarzeń uwiarygodniałby to jego porównania do Piotra I, który właśnie pod Połtawą rozbił połączone wojska Karola XII, króla Szwecji, i hetmana Iwana Mazepy, co w konsekwencji umożliwiło Moskwie zajęcie dominującej pozycji w polityce europejskiej na następne dwa stulecia.

Dostarczenie Ukrainie Leopardów może pokrzyżować plany rosyjskiego dowództwa. Jest zatem z wojskowego punktu widzenia znaczącym wydarzeniem, ale nie można nie dostrzegać również wymiaru politycznego tego, co się stało. Szczególnie ważna jest podjęta przez prezydenta Bidena decyzja o przekazaniu Kijowowi czołgów Abrams. Zaplanowane na przyszły rok dostawy 31 maszyn i pojazdów obsługi technicznej odsłaniają w sposób czytelny amerykańskie plany polityczne, jak ukształtować stabilny system pokojowy w naszej części Europy już po wojnie.

Jak napisał David Ignatius, stały komentator „The Washington Post", w tym przypadku chodzi o to, że dostawa Abramsów jest w gruncie rzeczy tożsama z przesądzeniem geostrategicznej przyszłości Ukrainy i – szerzej – całego regionu. W związku z zakupem przez Polskę amerykańskich czołgów przesądza też jedną z istotnych kwestii,

> Już nie chodzi tylko o to, by Ukraina była w stanie się obronić, ale w obliczu widocznych przygotowań Moskwy do kolejnej, wielkiej ofensywy musi mieć ona zdolność do odparcia uderzenia i przejścia do kontrataku

a mianowicie – w oparciu o jaką platformę bojową będzie budowany potencjał sił lądowych na Wschodzie. Kijów nie otrzyma dyplomatycznych i traktatowych gwarancji dla swojego bezpieczeństwa, ale dostanie coś więcej – włączenie do amerykańskiego systemu obrony i bezpieczeństwa w wyniku dostaw sprzętu, szkolenia sił zbrojnych i dostosowywania standardów ukraińskich sił zbrojnych do NATO-wskich wymagań. Nie musi to oznaczać wejścia do samego paktu północnoatlantyckiego, bo temu zapewne na przeszkodzie stoi stanowisko Berlina, przynajmniej w takim kształcie, jak to dotychczas było formułowane. Jego zmiana wymaga czasu i niewykluczone, że będziemy obserwować pozytywny trend, ale zapewne nieprędko. Jednak teraz, czyli w perspektywie zarówno bieżącej, jak i najbliższych lat, trzeba doprowadzić do wojskowego wzmocnienia Ukrainy. Jeżeli Zełenski i członkowie jego ekipy mówią o modelu Izraela Wschodu, to amerykańskie stanowisko w sprawie Abramsów oznacza związanie wojskowe Ukrainy z USA na lata, a być może i na dziesięciolecia.

POLSKI WĄTEK

W całej historii z niemieckimi Leopardami i amerykańskimi Abramsami jest też czytelny polski wątek. Jak napisali po rozmowach z kilkunastoma wyższej rangi urzędnikami Białego Domu i Departamentu Stanu dziennikarze amerykańskiego wydania portalu Politico, europejska koalicja na rzecz wysłania Leopardów była istotnym czynnikiem presji, która wpłynęła na zmianę stanowiska Berlina. Główną rolę odegrały w tym przypadku Polska, a także Francja, bo robocze kontakty między premierem Mateuszem Morawieckim a Emmanuelem Macronem w kwestii tego, co zrobić, by Niemcy odeszli od dotychczasowej polityki, odegrały niemałą rolę. „Morawiecki złamał nawet tabu dyplomatyczne – argumentowali – grożąc wysłaniem na Ukrainę Leopardów bez czekania na zgodę eksportową z Niemiec".

Ale to tylko jeden z czynników, który doprowadził do pożądanej zmiany. Drugim była zgoda Bidena na wysłanie na Ukrainę Abramsów. To z kolei było spowodowane głównie uporem Scholza, który ostrzegał, że Niemcy nie podejmą oczekiwanej decyzji, jeśli Amerykanie nie pójdą w ich ślady. Obiektywnie rzecz biorąc, polski rząd, organizując presję na rzecz wysłania Leopardów, osiągnął podwójny sukces – doprowadził do skokowego wzmocnienia potencjału wojskowego Ukrainy, co przyspiesza być może zakończenie wojny, a na dodatek w efekcie została też podjęta w Waszyngtonie decyzja stabilizująca sytuację w regionie już po tym, jak nastanie pokój. Z perspektywy Warszawy mamy zatem sytuację typu win-win.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Przekręcony

Wiele osób zachodzi w głowę, dlaczego Radosław Sikorski zaczął śpiewać w chórze Putina? Z jakiego powodu sięga po słowa bezcenne dla moskiewskiej propagandy? Co się z nim nagle stało? Odpowiedź jest prosta: nagle nie stało się nic. Swoje poglądy Sikorski zmienił już lata temu. Pytanie powinno brzmieć: czy z własnej woli i zupełnie bezinteresownie?



MAREK PYZA

Z jego całej politycznej kariery najbardziej zapamiętałem 29 października 2010 r. Jako reporter telewizyjnych „Wiadomości" pojechałem wówczas do Łazienek Królewskich, gdzie w pałacu Na Wodzie miała odbyć się konferencja szefów MSZ Polski i Rosji. Zanim jednak wpuszczono nas do budynku, ministrowie odegrali scenkę balkonową. Sikorski wyszedł z Ławrowem, by ten ostatni mógł zapalić papierosa, a kamery sfilmowały ich przyjacielską pogawędkę. Już ten moment wydawał się obrzydliwy. Byliśmy pół roku po katastrofie smoleńskiej, o której sprawstwo należało w pierwszej kolejności podejrzewać Rosję, a kilka dni wcześniej w „Misji specjalnej" zobaczyliśmy, jak rosyjscy żołdacy niszczą wrak tupolewa.

Głównym punktem konferencji okazało się wręczenie dyplomu Barbarze Brylskiej, „zasłużonej dla zbliżenia społeczeństw Polski i Rosji". Aktorka autentycznie wyznała Ławrowowi miłość, zachwycała się jego urodą i stwierdziła, że naprawdę nienawidzi tych, którzy nie kochają Rosjan. Tę żenującą scenę Sikorski oglądał z charakterystycznym szerokim uśmiechem, przy którym jego oczy robią się jeszcze węższe.

Ławrow wyjeżdżał z polskiej stolicy bardzo zadowolony, ale nie tylko z powodu kuriozalnych awansów legendarnej aktorki. Tego samego dnia wydarzyło się bowiem w Warszawie coś jeszcze. Waldemar Pawlak i Igor Sieczin podpisali katastrofalne dla Polski umowy gazowe.

Fot. A. Zbraniecki/East News, PAP, Shutterstock x2

eprasa.pl 97e9d6b8b0

Rosja otrzymała gwarancję, że przez kolejną dekadę sprzeda nam więcej gazu, niż potrzebowaliśmy, otwartą drogę do darmowego tranzytu ropy na Zachód (Polska zrezygnowała z zysków), a Gazpromowi anulowano miliardowy dług wobec PGNiG. Taki to był reset.

W SŁUŻBIE PUTINA

Dziś te sceny wracają, bo Sikorski zdjął maskę i z właściwą sobie dezynwolturą ochoczo jak nigdy wpisuje się w narrację Moskwy. Zachowuje się tak, jak gdyby nie zależało mu już na niczym. Jak gdyby nie musiał się hamować i wstydzić tego, co naprawdę myśli. Albo: jak gdyby musiał z podniesioną głową wypełniać czyjeś rozkazy. Jeszcze do niedawna nikt rozsądny nie postawiłby go w jednym szeregu np. z Grzegorzem Braunem. Czy słusznie?

Jego wypowiedź o pierwszych 10 dniach wojny, w czasie których rząd PiS miał się wahać, w którą stronę pójdzie inwazja, i rozważać uczestnictwo w rozbiorze Ukrainy, jest niedorzeczna, skandaliczna i hańbiąca. Zaczynają go mieć dosyć nawet potencjalni koalicjanci Platformy Obywatelskiej i już dziś wskazują, że nie wyobrażają sobie Sikorskiego w przyszłym rządzie.

Swoją drogą, jeszcze bardziej przerażający niż same wyskoki Sikorskiego jest fakt, że tak wielu partyjnych kolegów go broni. To pokazuje realne zagrożenie, w jakim może znaleźć się Polska, gdy PO wróci do władzy.

Amerykański Departament Stanu nieczęsto określa zachowania polityków w państwach sojuszniczych tak ostro, jak potępił Sikorskiego. „To funkcja rosyjskiej dezinformacji" – padło w Waszyngtonie, gdy Sikorski na Twitterze podziękował USA za rzekome wysadzenie gazociągu na dnie Bałtyku.

Po tym tweecie na Kremlu zapanowała fiesta. Rosyjski ambasador na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ z wydrukowanym wpisem byłego szefa polskiego MSZ grzmiał o akcie terroryzmu wymierzonym w Rosję. Sikorski nie wiedział, że tak się to skończy, że wyświadcza Moskwie wielką przysługę? Jest niespełna rozumu czy tylko udaje, w rzeczywistości precyzyjnie formułując każdy komunikat?

I wreszcie: dlaczego tak długo nie dostrzegaliśmy, komu naprawdę służy (jest wtórną kwestią, czy świadomie)?

Nie można dać się ponieść emocjom i przyklasnąć tym, którzy poszukując przyczyn zachowania naszego bohatera, sięgają do książki jego dawnego partyjnego kolegi Janusza Palikota. Pisał on o Sikorskim tak: „Jest jakiś dziki, czasami sprawia wrażenie, że jest uzależniony od narkotyków, zwyczajnie naćpany". Tu raczej chodzi o coś dużo poważniejszego.

W ostatnich dniach bandyterka rządząca Rosją musiała zrozumieć, że będzie jej niezwykle ciężko wygrać barbarzyńską wojnę na Ukrainie. Przełamany opór Berlina i stworzenie międzynarodowej koalicji pancernej to jasny sygnał: Zachód nie chce zakończenia wojny, lecz chce w niej zwycięstwa Kijowa. Rosja znajduje się pod ścianą. Każdy scenariusz jest dla niej fatalny. Uruchamia więc wszystkie swoje zasoby. Czy można do nich zaliczyć byłego ministra spraw zagranicznych w rządzie Tuska?

PIWOT NA WSCHÓD

Jego kadencja w MSZ to złoty czas dla Moskwy. Putin nie mógł sobie wymarzyć lepszego ambasadora rosyjskiej sprawy na Zachodzie. Sikorski to przecież zdeklarowany antykomunista z licencjatem na prestiżowej brytyjskiej uczelni, żonaty z antyrosyjską laureatką Pulitzera, wiceminister w gabinecie Jana Olszewskiego, minister w rządzie Jarosława Kaczyńskiego – wtedy porównywał Nord Stream do paktu Ribbentrop-Mołotow. Dodatkowo z legendą korespondenta wojennego, który rzekomo miał nawet strzelać do Sowietów w czasie ich inwazji na Afganistan.

> Po 2007 r. polityka Sikorskiego stała się jawnie prorosyjska. Czy było to tylko podążanie w kierunku wyznaczonym przez Berlin, bez którego Sikorski nie mógł marzyć o karierze międzynarodowej? Czy może inicjatywa własna, w ramach której poświęcał interesy państwa dla osobistych korzyści?

Jeśli więc taki człowiek zaczyna wychwalać władze w Moskwie, pokazuje całemu światu, że warto z nimi rozmawiać, fraternizuje się z Ławrowem, rozgrzesza Kreml w sprawie katastrofy smoleńskiej, a nawet zaprasza Rosję do NATO – jest w tym bardziej wiarygodny np. od Gerharda Schrödera.

Gdy w czasie pracy nad filmem „Pan z Chobielina" jego autor Marcin Tulicki zapytał mnie o największy grzech w działalności publicznej Sikorskiego, bez wahania wskazałem na politykę wobec Rosji, jaką prowadził, będąc ministrem spraw zagranicznych.

Właśnie wtedy – w 2007 r. nastąpił piwot w postawie Sikorskiego.

Z dawnego krytyka Rosji nie zostało zupełnie nic. Możemy się tylko domyślać, czym się kierował, zdradzając własne ideały. I niemal wszystko sprowadzi nam się do jednego słowa: ja! Kariera, stanowiska, pieniądze, władza – to go nakręca. Narcyzm połączony z pazernością może dać paskudne rezultaty. I nie zawsze doprowadzić narcyza do upragnionego celu. Nie udało się ani z prezydenturą (przegraną już na etapie prawyborów w Platformie), ani z funkcją sekretarza generalnego NATO (a tak dzielnie zaprzyjaźnione z PO media suflowały w 2009 r. plotkę, jakoby miał być jednym z głównych kandydatów), ani z szefowaniem unijnej dyplomacji.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Zainwestował w to niemało. W efekcie po 2007 r. jego polityka stała się jawnie prorosyjska. Czy było to tylko podążanie w kierunku wyznaczonym przez Berlin, bez którego Sikorski nie mógł marzyć o karierze międzynarodowej? Czy może inicjatywa własna, w ramach której poświęcał interesy państwa dla osobistych korzyści?

MINISTERSTWO SPRAW ROSYJSKICH

Rok 2007, trwają negocjacje z Amerykanami o tarczy antyrakietowej. Tusk z Sikorskim je przeciągają, szef dyplomacji nagle oznajmia: „Z własnej nieprzymuszonej woli zaoferowaliśmy Rosji możliwość wglądu w monitoring przemysłowy i stały dostęp do terenu tarczy antyrakietowej". Ostatecznie projekt upada.

Rok 2008. Dyrektor Departamentu Wschodniego w MSZ Jarosław Bratkiewicz sporządza dokument „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy". Czytamy w nim m.in., że Rosja nie stanowi żadnego zagrożenia militarnego, a Ukraina nie ma żadnych szans na wejście do UE i NATO w perspektywie dekady, więc Polska nie powinna się w to angażować. Sikorski był zachwycony. Dopisał ręcznie: „Bardzo dobry materiał".

W tym samym roku w czasie wizyty w Moskwie Sikorski z Tuskiem usłyszeli od Putina propozycję udziału w rozbiorze Ukrainy. Nikomu jednak o niej nie powiedzieli, nikogo nie ostrzegli. Musiał o tym napisać dopiero kilka lat później serwis Politico, by sprawa ujrzała światło dzienne.

„Potrzebujemy Rosji do rozwiązywania europejskich i globalnych problemów. Dlatego za słuszne uważam przyjęcie jej do NATO". To już słowa Sikorskiego z 2009 r. I dalej: „Jej członkostwo mogłoby przynieść stabilność i bezpieczeństwo regionom, gdzie dotychczas nie było ani jednego, ani drugiego". W tym absurdalnym postulacie nie przeszkadzało mu, że kilka miesięcy wcześniej rosyjskie czołgi wjechały do Gruzji.

Potrafił grać z Kremlem na wyeliminowanie śp. Lecha Kaczyńskiego z uroczystości katyńskich. 15 minut po katastrofie w Smoleńsku suflował rosyjską narrację o błędach załogi samolotu (to Sikorski powiadomił Jarosława Kaczyńskiego o tragedii). Do dziś nie wiemy dlaczego. Z jakiego powodu obarczył winą załogę, podczas gdy na miejscu dopiero zaczęto poszukiwania pasażerów? Jaki miał w tym interes poza zdjęciem podejrzeń ze swoich przyjaciół w Moskwie?

2010 r. to cała seria haniebnych zachowań przed katastrofą i po niej oraz finalizacja umów gazowych. Ale też aroganckie „zastanawiam się, czy prezes jest na proszkach" w komentarzu do przestróg Jarosława Kaczyńskiego o poważnych konsekwencjach politycznych relacji niektórych krajów UE z Rosją podyktowanych względami ekonomicznymi. To też zaproszenie Ławrowa z wykładem na naradę polskich ambasadorów oraz ponowne bajania o Rosji w NATO, tym razem na łamach niemieckiej prasy.

O integracji Kremla z Zachodem jako całkiem możliwym scenariuszu mówił również w swoim exposé szefa MSZ w 2011 r. Później doprowadził do otwarcia małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim, a od Wiktora Janukowycza (putinowskiej marionetki w Kijowie) przyjął order.

Pod koniec 2012 r. w Moskwie deklarował poparcie dla wstąpienia Rosji do OECD (Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) oraz dla zniesienia wiz między Rosją a UE.

W 2013 r. podpisał wspólną deklarację ministrów spraw zagranicznych „Program 2020 w relacjach polsko-rosyjskich", która zawierała wprost cytaty z doktryny polityki zagranicznej Moskwy. Zgodził się więc na bycie w Unii Europejskiej forpocztą rosyjskiej długofalowej strategii (dotyczącej m.in. utworzenia wspólnej Europy bez granic, nieupolitycznienia dyskusji historycznych, czy deprecjonującej znaczenie UE w stosunkach Polski z Rosją, a wzmocnienie roli ONZ, w której Kreml – jak wiemy – ma moc blokującą wszystkie ważne decyzje).

Wreszcie dochodzimy do 2014 r., gdy kamery zarejestrowały kunszt mediatorski Sikorskiego w Kijowie. Ukraińską opozycję, próbującą się wyrwać spod jarzma prorosyjskiego Janukowycza szantażował, by podpisała porozumienie: „Jeśli nie podpiszecie, będziecie mieli stan wyjątkowy, armię i wszyscy będziecie martwi".

Ostatecznie nawet gazociąg Nord Stream mu nie przeszkadzał i krytykował PiS za nieprzyłączenie się do rosyjsko-niemieckiego projektu.

Sporo tego, a zapewniam, że wybrałem tylko niektóre z wielu wydarzeń, które przejdą do wstydliwych kart historii polskiej dyplomacji.

KASA NA BOKU

Gdzie się podział ten antyrosyjski jastrząb? Przekręcił się sam czy został przekręcony? Co go skłoniło do zakulisowego poszukiwania (w rozmowie z Jackiem Krawcem u Sowy i Przyjaciół) możliwości sprzedania rafinerii w Możejkach Rosjanom i do publicznych twierdzeń, że Putin to nie Stalin, bo morduje detalicznie, a nie hurtowo? A może w Moskwie coś na Sikorskiego mają?

Nie można tu niestety wykluczyć niczego.

Niech się Radosław Sikorski nie dziwi, że opinia publiczna po jego ostatnich ekscesach wyjątkowo mocno dopytuje, od kogo i za co bierze po kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie w ramach usług doradczych. Sprawę opisał w grudniu brukselski portal Politico (rok wcześniej w serwisie tym czytaliśmy, że Sikorski spośród wszystkich eurodeputowanych dorabia na boku najwięcej). Europoseł do dziś nie chce wyłożyć kart na stół, za to chętnie grozi dopytującym procesem.

Tylko po co z nim chodzić do sądu? Już co najmniej raz w nim kłamał, gdy w 2017 r. pod przysięgą zaprzeczał, by miał jakąkolwiek wiedzę o przygotowaniach do uroczystości katyńskich w 2010 r. Udowodniliśmy to na łamach „Sieci". Wielokrotnie opisywaliśmy też dokumenty pokazujące, jak gorliwym jest rzecznikiem interesów Rosji.

W tym roku ma kandydować w wyborach parlamentarnych. Niekoniecznie po to, by brać mandat (sporo by na tym stracił finansowo), lecz by pociągnąć listę. Po jego kampanii możemy się spodziewać jednego – donośnego głosu Moskwy w naszych domach.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Bunt zapasowego

Bez Hołowni plan powrotu Tuska do władzy nie ma szans powodzenia, a lider Polski 2050 nie chce odegrać roli tego, który uratował szefa PO



STANISŁAW JANECKI

Gdyby w lipcu 2021 r., kiedy Donald Tusk oficjalnie wrócił do polskiej polityki, zapytać, od kogo będzie zależeć jego przyszłość, polityczna kariera, a nawet jego los, chyba nikt nie postawiłby złamanego grosza, że od polityka, którego wtedy mało kto traktował poważnie. Tymczasem na początku 2023 r. coraz wyraźniej widać, że Tuska może uratować lub kompletnie pogrążyć Szymon Hołownia. I to niezależnie od tego, jak w dłuższej perspektywie będzie sobie radzić partia Hołowni – Polska 2050.

Nic dziwnego, że liderzy i politycy innych opozycyjnych ugrupowań z uwagą śledzili pierwszy kongres partii Polska 2050 (21 stycznia 2023 r. w Łodzi). I nic dziwnego, że po kongresie przewodniczący Hołownia stał się obiektem zmasowanego i wyjątkowo brutalnego ataku ze strony potencjalnych sojuszników i koalicjantów. Sam zresztą o tym na kongresie wspomniał: „Naloty dywanowe robią nam od jakiegoś czasu nasi przyjaciele. […] To my jesteśmy grabarzami wspólnych list, kłamcami, zdrajcami". Powód ataków na Hołownię jest prosty: wywrócił on stolik, który ustawił Tusk. A nawet lider Polski 2050 kpił z najlepszego pomysłu byłego przewodniczącego Rady Europejskiej: „Jedna lista, od półtora roku? Międlona w każdym wywiadzie, w co drugim tekście? Fascynujące! Ale emocje! Ten tego oblał gnojówką na Twitterze". I okazało się, że dla przedsięwzięcia zwanego wspólną listą, a w konsekwencji dla wyniku wyborów jesienią 2023 r. ważniejszy jest ten nieważny Hołownia niż ten okropnie ważny Tusk. I ten nieważny Hołownia może zdecydować o klęsce, a nawet ostatecznym politycznym upadku Tuska.

TUSK MUSI, HOŁOWNIA MOŻE

Najistotniejsza na kongresie Polski 2050 była odpowiedź Hołowni na to, czego Tusk od niego oczekuje, i z tego powodu od miesięcy stawiał mu ultimatum: „Kochany Donaldzie, […] niezależnie od tego, ile razy jeszcze sejmowy, opozycyjny kabaret starszych panów zaśpiewa mi z wyrzutem: szuja – naomamiał, natruł i nabujał, moje zdanie pozostaje niezmienne. Tak, czas decyzji się zbliża, ale my wszyscy jak snajper mamy tylko jeden pocisk, jeden strzał. Decyzję, której nie można już cofnąć, odwołać. My nadal stoimy na stanowisku: na stole powinny być teraz wszystkie listy, wszystkie opcje. Od jednej listy do samodzielnych startów, a decyzja powinna zapaść po dokładnym policzeniu wszystkich wariantów tak, żeby rzecz opierała się nie na naszych płomiennych deklaracjach, intuicjach i serdecznych wskazaniach naszych rozgrzanych umysłów czy ciśnieniu aparatu […], ale na obiektywnej, rzetelnej analizie. Dokładnie tak jak u snajpera, który może oddać tylko jeden strzał. A nie ma sensu, żeby dzisiaj ganiał z granatnikiem albo z innym sprzętem i ostrzeliwał się w czczy sposób dokoła". Ten granatnik to nie tylko aluzja do wybuchu w Komendzie Głównej Policji, ale przede wszystkim do desperacji Tuska, z którą szuka dla siebie ratunku. Nieprzypadkowo lider PO powiedział: „Ja muszę wygrać te wybory". Nie „my", nie „opozycja", tylko „ja". Co oznaczało, że wszyscy mają pracować na sukces Tuska i nie marudzić. On ma bowiem zobowiązania – krajowe i zagraniczne, a po to wrócił do polskiej polityki, żeby z tych zobowiązań się wywiązać.

Hołownia odmówił pracy na sukces Tuska: „My mamy swoją tożsamość. Nie jesteśmy magazynem zapasowych części, zbiorem narządów do przeszczepienia tej czy innej istniejącej już na scenie politycznej organizacji. Nie jesteśmy rezerwuarem dla żadnego z ugrupowań, które do tej pory nie były w stanie odsunąć PiS od władzy. Nie jesteśmy grupą rekonstrukcyjną Donalda Tuska".

Hołownia jednoznacznie oświadczył, że jego partia nie będzie tratwą ratunkową dla PO. Sponsorzy, mentorzy, grupy interesów oraz część mundurowych, którzy Hołownię wypromowali, wspierają i finansują, chcieli, by Polska 2050 była alternatywą dla Platformy, a nie magazynem i zapleczem dla niej. Dla nich PO się zgrała i przestała mieć potencjał samodzielnego wygrywania wyborów. Dlatego w to miejsce miał wskoczyć ktoś nowy, czyli właśnie Hołownia. I on miał ciągnąć za sobą biznesowe zaplecze, które chciało zastąpić to pomagające Platformie. A ono było na tyle zamknięte, że nie zostawiało miejsca dla innych, wywodzących się z innych układów i niemających wcześniej politycznego znaczenia. Dla nowego układu biznesowego, zgłaszającego także chęć posiadania wpływów w zbrojeniówce i wojsku, Tusk jest przekreślony, gdyż przez lata reprezentował konkurencję, która ich nie chciała dopuścić do zamówień i kontraktów. Hołownia oznacza dla nich nowe otwarcie. Powrót Tuska do polskiej polityki w lipcu 2021 r. oznaczał, że miałby wrócić stary układ, na który siły lansujące Hołownię nie miały wpływu. Przyłączenie się Hołowni do tego układu oznaczałoby pełną kontrolę Tuska nad nim i zablokowanie biznesowego zaplecza nowego lidera. Hołownia tak to ujął na kongresie Polski 2050: „Nie wygramy, jeśli obiecamy ludziom powrót do tego, co było. […] Nazywamy się Polska 2050, nie Polska 2015".

eprasa.pl 97a9d6b8b0

ALTERNATYWA DLA TUSKA

Lider Polski 2050 odmówił udziału w wojnie Tuska, bo to nie jego wojna: „Pomszczenie przez lidera dawnych przegranych bitew to nie jest droga do sukcesu". Czyli Polska 2050 nie będzie razem z Tuskiem opętana żądzą zemsty i odwetu. Jak to ujął Hołownia, „pójdziemy do wyborów z tymi, którzy rozumieją […], że Kaczyńskiego obali się, obiecując ludziom dobre jutro, a nie wspólny powrót do wczoraj. […] Na pewno nie czujemy się częścią opozycji, za którą Jarosław Kaczyński będzie mógł dziękować Panu Bogu". Tusk jest passé, a stara opozycja, czyli przede wszystkim Platforma Obywatelska to „cyrk primadonn, kręcących wciąż w tych samych studiach te swoje identyczne dramy, szantażyki, spiski. Tych kosmitów, którzy przylecieli z innej planety, mając swoje kosmiczne problemy, nie dotykając problemów ludzi, których mieli reprezentować".

Tak bezczelnie po stronie opozycji nikt wcześniej nie rzucił Tuskowi rękawicy w twarz. I nie wykpił tłumaczeń, dlaczego coś jest niemożliwe: „Czas już wreszcie skończyć te smętne historie o tym, że on [Jarosław Kaczyński] na pewno sfałszuje wybory. Że przegramy, bo on ma spółki skarbu państwa, bo D'Hondt". Hołownia nic sobie też nie robi z gróźb Tuska, które wypowiadają jego przyboczni: „Za karę za to, jak zagłosowaliśmy, zostaniemy usunięci z paktu senackiego? Naprawdę stara opozycja sądzi, że jak nas się usunie z paktu senackiego, to zwiększa się szanse na wygraną z PiS? Usuniecie nas z paktu senackiego, to nas usuniecie, przyjmiemy to ze spokojem, poradzimy sobie. […] Bez nas PiS od władzy odsunąć się nie da". I to jest istota sprawy.

Hołownia i Polska 2050 były Tuskowi potrzebne, żeby za wszelką cenę wygrać wybory i potwierdzić zagranicznym mocodawcom, że misja, którą mu powierzyli, ma szansę realizacji. Ale Hołownia nie miał odegrać w tym projekcie żadnej samodzielnej roli. Miał zostać zastopowany, tym bardziej że stoi za nim inna grupa w europejskiej polityce (i w europarlamencie) – Renew Europe, która sama potrzebuje wzmocnienia. Dążąc do wspólnej listy, Tusk chciał zachować nie tylko *status quo*, lecz także przewagę i kontrolę nad własnym zapleczem biznesowym, a do tego nad tym, które byłoby dla niego konkurencją. Dla Hołowni i jego sponsorów oraz mentorów nie był to jednak żaden opłacalny układ. Dlatego musiał się zbuntować.

Nieprzypadkowo po kongresie Polski 2050 rozpoczął się atak PO, Tuska i ich mediów na Hołownię, bo zniweczył on plan, w którym miał odegrać rolę tylko „magazynu zapasowych części". Hołownia musiał się zbuntować, bo plan wspólnej listy w praktyce likwidował jego partię i cały polityczno-biznesowy pomysł, który za tym stał. Tusk chciał po prostu ten projekt wysadzić w powietrze, zanim się rozwinął i stał realną konkurencją dla PO i niego samego. Dla różnych grup interesów (w Polsce i za granicą) podporządkowanie sobie Hołowni przez Tuska miało być sygnałem, że nie mają co liczyć w Polsce na alternatywę i powinny wesprzeć Tuska. Nawet nie mając żadnych gwarancji, że coś na tym zyskają. Zaplecze Hołowni trafnie odczytało zamiary Tuska, dlatego złożył on na kongresie polityczną deklarację. Nie oznacza ona definitywnego zerwania wszelkich możliwości współpracy, tylko jeśli miałoby być ono możliwe, Hołownia nie mógłby być chłopcem na posyłki, a byłby alternatywą dla Tuska, także w roli kandydata na premiera. Hołownia i jego Polska 2050 okazują się kluczowe w planach związanych z Tuskiem, dlatego chciano tę nową siłę spacyfikować, a przynajmniej sobie podporządkować. Bez Hołowni plan powrotu Tuska do władzy nie ma szans powodzenia, a lider Polski 2050 nie chce odegrać roli tego, który uratował Tuska, samemu się pogrążając i topiąc przyszłościowy projekt, którym jest jego partia.

> Tak bezczelnie po stronie opozycji, jak zrobił to Hołownia, nikt wcześniej nie rzucił Tuskowi rękawicy w twarz. I nie wykpił tłumaczeń, dlaczego coś jest niemożliwe



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Taktyczny ekstremizm

Wszystkie poczynania lidera Polski 2050 nie są skierowane przeciw PiS, który jest tylko przypadkowym przedmiotem agresji. Chodzi o Tuska, w którego kompetencję polityczną ma zwątpić jakaś część centrolewicowych wyborców



JAN ROKITA

Sławetne sejmowe głosowanie z 13 stycznia nad ustawą o weryfikacji sędziów dało lepszy niż dotąd wgląd w naturę centrolewicowej opozycji.

Rzecz oczywiście nie w tym, czy w ogóle, a jeśli tak, to za pomocą jakiego fortelu Szymon Hołownia oszukał przy tej okazji trzech współliderów centrolewu? Bo też prawdziwej odpowiedzi na tak postawione pytanie – jak zwykle w takich razach bywa – nigdy zapewne nie poznamy. A po prawdzie nie mamy nawet po co jej poznawać, gdyż ma ona znaczenie wyłącznie dla wzajemnych relacji roznamiętnionych polityków, a nie dla opinii publicznej.

Drugorzędne znaczenie ma również pytanie, w jakim stopniu fala awantur i wyzwisk, jakie nieoczekiwanie podzieliły partie opozycyjne, wpłynie na ostateczny kształt tegorocznych list wyborczych. Ta rzecz pozostaje bowiem po 13 stycznia tak samo niejasna, jak była przed tą datą. A „ostateczne" terminy, które Tusk publicznie i w ultymatywnym tonie dawał Hołowni na opowiedzenie się co do legendarnej już jednolitej listy, zostały przez tegoż ostatniego zignorowane. Oczywiście bez żadnych ultymatywnych konsekwencji.

BYT CUDZOŻYWNY

Czy czegoś istotnego dowiedzieliśmy się zatem o opozycyjnym centrolewie w rezultacie głosowań 13 stycznia? Tak. Dowiedzieliśmy się, że obecny wskaźnik anty-PiS-owskiego radykalizmu w poszczególnych czterech partiach centrolewu jest wyłącznie kwestią doraźnej i zmiennej gry taktycznej. Co prawda oswoiliśmy się już z oczywistością, iż wymogi taktycznej rywalizacji między Tuskiem, Hołownią, Kosiniakiem i Czarzastym bezwzględnie dominują zarówno nad ideologią kierowanych przez nich partii, jak i wszelakimi tezami programowymi. Nie ma się zresztą co dziwić, że dla całej tej czwórki kwestią politycznego życia i śmierci jest to, jak w wyniku wyborów ukształtuje się na następne cztery lata ich wzajemny układ sił w nowym Sejmie. Więc ta kwestia absorbuje ich bardziej od wszystkiego innego, nawet od samej perspektywy pokonania albo bycia pokonanym przez PiS. Na tym w końcu polega istota dobrze znanej logiki partyjnej, która prawdziwego politycznego wroga każe zawsze widzieć w pobliżu, czyli tam, gdzie grożą w każdej chwili przepływy elektoratów. A owego wroga nie wolno nawet nazwać wrogiem, gdyż to właśnie może okazać się błędem na miarę prawdziwej politycznej porażki.

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Hołowni

Mimo to można było jednak dotąd mieć wrażenie, że przynajmniej gdy chodzi o anty-PiS-owski radykalizm, to jaka taka hierarchia i skala porównawcza jest mniej więcej stała i nie podlega taktycznym wahaniom. Na tej skali niewątpliwym ultrasem był Tusk, który odkąd zapisał się na powrót do polskiej polityki, wydawał się bez oporów stawiać na powtórkę swojego eksperymentu z lat 2007–2010, nazwanego potem przemysłem pogardy. Ktoś nawet ostatnio nie bez racji zauważył, że polska polityka wyczuwalnie stabilizuje się na krótko, gdy szef Platformy robi sobie wakacje.

Na drugim końcu owej skali sytuowali się liderzy dwóch partii o genezie „ancien régime'u", czyli Czarzasty i Kosiniak. Ten pierwszy jeszcze od czasu afery Rywina traktowany jako oportunista, który mógłby pójść nawet na rządy z PiS, o ile dostałby tylko korzystne warunki. Drugi zaś bez pamięci zaangażowany w budowanie reputacji swojej partii jako jakiegoś mitycznego „nowego centrum", które miałoby zastąpić klasyczny chłopsko-nomenklaturowy image PSL.

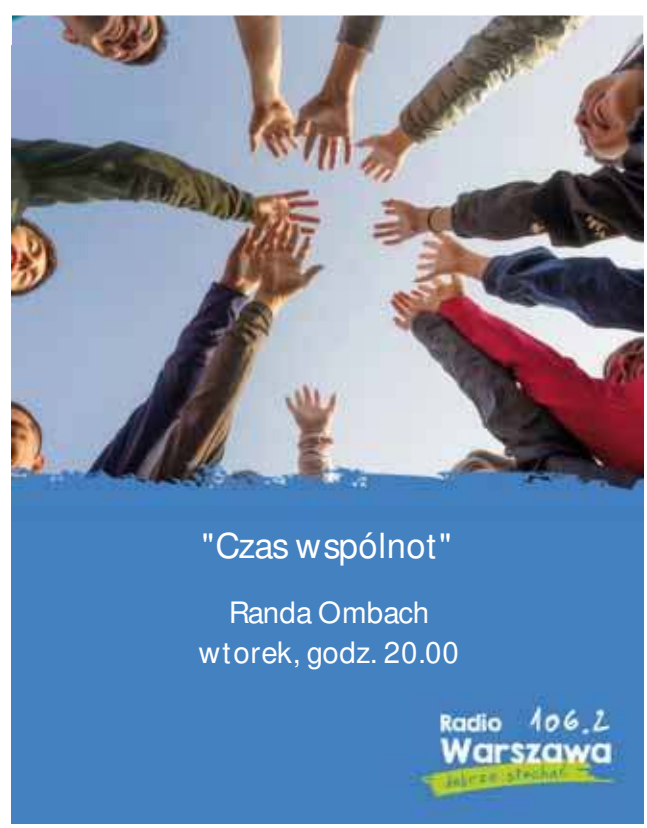
Na tak zbudowanej skali Hołownia miał z premedytacją sytuować swoją nową formację gdzieś pośrodku. Z jednej strony nie chcąc np. iść na ideologiczną antykrucjatę przeciw klerykalnemu PiS, z drugiej – odmawiając „kolaboracji" z rządem na spółkę z Lewicą przy zatwierdzaniu kształtu polskiego KPO. Sam wyznawałem aż do teraz pogląd, iż Hołownia ani by nie chciał, ani by nawet nie potrafił wdać się w licytację z anty-PiS-owskim ekstremizmem Tuska i jego propagandowych akolitów z samej Platformy oraz powiązanych z nią mediów. Choćby z tego oczywistego powodu, że skoro propagandową mantrą Hołowni ma być „zastąpienie starego myślenia nowym", a także „wspólne jutro, a nie powrót do wczoraj", to narzucała się konkluzja, iż wściekły antypisizm jest niczym innym, jak najgłębiej wyrytym i najszerzej społecznie identyfikowanym znakiem rozpoznawczym starego myślenia oraz owego politycznego „wczoraj".

Teraz okazuje się jednak, że taka diagnoza politycznego upozycjonowania Polski 2050 jest błędna. Partia Hołowni nie jest bynajmniej bytem poszukującym względnej równowagi po stronie centrolewu, a o swoim „centrystycznym" nastawieniu i marzeniu o przyszłym pojednaniu Polaków przekonuje tylko ze względu na przyjęty język propagandy. Dla politycznej tożsamości tej formacji nadal bowiem kluczowy pozostaje fakt, iż mimo blisko trzech lat istnienia Polska 2050 pozostaje bytem cudzożywnym, tzn. pasożytującym na elektoracie PO. Nic tu się zmieniło od 2020 r., gdy cały pomysł Hołowni polegał na tym, by wykorzystać nieobecność naturalnego lidera Platformy, którym jest Tusk, do wrogiego przejęcia energii, działaczy i elektoratu PO. Tamta operacja przyniosła naonczas tylko częściowe powodzenie – tzn. z ospałej i znużonej starej Platformy nie udało się wyssać działaczy, ale udało się pozbawić ją resztek energii i sporej liczby elektoratu.

WYZWANIEM JEST TUSK

Od tamtej pory sondaże jednoznacznie pokazywały, że gra o elektorat między Platformą i Polską 2050 jest nieuchronnie grą o sumie zero: jeśli jednemu przybywa, drugiemu musi zacząć ubywać. Hołownia osiągnął sondażowe apogeum późną wiosną 2021 r., czyli niemal natychmiast po rejestracji swojej

REKLAMA



3/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

formacji. Przez moment uważano wtedy, że jego własne przewidywania o marginalizacji starych i rozsiadłych w polskiej polityce antagonistek – PiS i PO – mogą okazać się realne. To charakterystyczne, że podobne zjawisko występowało już wcześniej, kiedy najpierw Palikot, a potem Petru podejmowali analogiczną próbę wzniesienia swojej politycznej budowli, żerując na zasobach Platformy.

Ale już od lata 2021 r., co dość wyraźnie jest skorelowane z powrotem Tuska na funkcję szefa partii, formacja Hołowni rozpoczyna sondażowy zjazd w dół, który trwa aż do dziś dnia. Do wiosny 2022 r., czyli mniej więcej do wybuchu wojny wschodniej, ów zjazd jest szybki i wyrazisty. Potem krzywa sondaży trochę się prostuje, ale trend w dół nie ulega zmianie. Można ów zjazd dokładnie śledzić np. na antyrządowym portalu OKO.press, który opublikował interaktywny wykres tego trendu.

Dalsze trwanie owego trendu w roku wyborczym stanowi egzystencjalne zagrożenie dla partii Hołowni. Tym bardziej że ostatnio doszło do tego wielkie niebezpieczeństwo kompromitacji finansowej, wynikłej z dość naiwnej decyzji o publikacji sprawozdania finansowego za 2021 r., w którym zostały podane we wszystkich rubrykach kwoty „zero". Nic dziwnego, że PKW odrzuciła sprawozdanie, ale PiS nie kryje tego, że chce się w takim razie zabrać za szczegółowe badanie stworzonej przez Hołownię fundacji Polska Od Nowa.

I tak zaczął się rysować bardzo kiepski scenariusz 2023 r. dla Hołowni. Po pierwsze, Tusk powoli, ale krok za krokiem odbierający elektorat skradziony swego czasu Platformie. Po drugie, ciągnące się aż do wyborów publiczne badanie finansów. I po trzecie, wewnętrzna flauta na polskiej scenie politycznej, w tym sensie, że brak na niej jakichkolwiek gwałtownych wstrząsów czy rozruchów (choćby takich jak niegdysiejsze czarne parasolki), które dawałyby nadzieję na jakąś choćby namiastkę politycznej zmiany, podważającej pozycję kartelu PiS-PO, bijącego się z sobą pod osłoną głębokich okopów.

Co jakiś czas Hołownia ogłasza hasła programowe, które mają świadczyć o odwadze jego formacji. Tak właśnie sam twierdził w mowie wygłoszonej na pierwszym łódzkim zjeździe partii. Ale każdy widzi, że owe rzekomo doniosłe programowe batalie, które miałyby dowieść nowości i odwagi, na niewiele się przydają. Bo jak dowcipnie zauważył redaktor Piotr Zaremba, wiadomo co prawda, że jest ich wiele, ale bardzo trudno sobie jakąś przypomnieć. W Łodzi była mowa o domach dziecka, parkach narodowych, elektrowniach przydomowych i czymś tam jeszcze. Te niszowe i słabo rozpoznane przez opinię publiczną projekty nie dają żadnej szansy na powstrzymanie powolnego procesu marginalizacji. Dla partii Hołowni prawdziwym wyzwaniem jest bowiem Tusk. Bo nawet nie sama Platforma ze swoją opasłą strukturą i rozległymi wpływami, których Hołownia już przecież ani nie rozbije, ani nie przejmie.

Jedyną polityczną nadzieją Hołowni jest... jakaś kompromitacja Tuska w oczach centrolewicowego elektoratu. Polska 2050 to przecież nic innego jak próba skopiowania PO, tyle że bez Tuska, jego akolitów, klientów i wpływów. Wiemy już, że kłopot Hołowni tkwi w tym, że swojego jedynego realnego wroga politycznego nie może atakować otwarcie. Zarówno wysiłek Hołowni (który przecież był niegdyś fachowcem właśnie od pozyskiwania fanów), jak i jego spin doktorów koncentruje się więc na tym, by wcisnąć się zręcznie tam, gdzie otwiera się szansa kompromitacji Tuska w oczach jakiegoś segmentu jego potencjalnych wyborców. Dlatego gdy okazało się, że szef PO podjął decyzję o nagłym zejściu z linii konfliktu z PiS wokół ustawy o weryfikacji sędziów, w kręgu Hołowni postanowiono natychmiast mocno wstawić nogę w tak uchylone drzwi. Efekt był zgodny z przewidywaniami: zainteresowanie stronnictwem Hołowni nagle wzmogło się niebotycznie, a Tusk i jego ludzie dostali szału. Niektórzy nie kryli tego, lubując się w obelgach wobec Hołowni, inni mądrzejsi, tak jak sam Tusk, próbowali odnaleźć najbardziej szczery i dziecięcy uśmiech życzliwości na twarzy. Oczywiście z rdzawym nożem za plecami, jak zwykł to barwnie opisywać swego czasu Lew Rywin.

> Istota dobrze znanej logiki partyjnej każe prawdziwego politycznego wroga zawsze widzieć w pobliżu, czyli tam, gdzie grożą w każdej chwili przepływy elektoratów

ZA CIOSEM

Czy to nagłe wejście w buty taktycznego ekstremisty i naczelnego pisożercy opłaci się Hołowni? Niewykluczone, że tak. Rzecz jasna nie z powodu takich czy innych relacji z obozem władzy, bo to dla Polski 2050 nie ma żadnego znaczenia. Ale ze względu na zręczne podważenie wiarogodności Tuska na polu dość istotnym dla twardego anty-PiS-owskiego elektoratu. Hołownia idzie zatem za ciosem: organizuje ad hoc propagandową wyprawę do Brukseli, by choć symbolicznie wejść w buty Tuska jako tego, który wie, jak w Unii sprawnie gnębić PiS. Rzecz jasna wszystkie te poczynania nie są skierowane przeciw PiS, który jest tu tylko przypadkowym przedmiotem agresji. Chodzi o Tuska, w którego kompetencję polityczną ma zwątpić jakaś część centrolewicowych wyborców.

Gdy chodzi o techniki zyskiwania fanów, Hołownia jest na tyle doświadczony, iż jest zapewne całkiem świadom konsekwencji cudożywnej natury formacji, którą stworzył. Wie też dobrze, że choć złapał jedną niezłą okazję do potrząśnięcia przywódczym tronem Tuska na centrolewicy, to ta jedna okazja, nawet nieźle wykorzystana, nie gwarantuje mu jeszcze tego, że wcześniej czy później nie podzieli dobrze znanego losu Palikota czy Petru, którzy tak samo jak on roili sobie o zakwestionowaniu jedynowładztwa Tuska. Nie ma wiele czasu, bo jeśli jakkolwiek ułoży się z PO co do list wyborczych, jego pole manewru ulegnie drastycznemu zawężeniu. Tak czy owak ostatecznym terminem, do którego musi sobie ustawić Tuska, są jesienne wybory. Jeśli tego nie potrafi, to spadnie po nich do roli przystawki. I będzie mógł się już tylko bezsilnie dąsać po utracie politycznego ciężaru, który dziś mimo kiepskich koniunktur ciągle jeszcze udaje mu się zachować.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Niezależnie, w jakiej konfiguracji opozycja będzie startować w wyborach, obóz Zjednoczonej Prawicy ma szansę wygrać

Zdecydują portfel, bezpieczeństwo, wiarygodność

Michał Karnowski rozmawia z prof. Norbertem Maliszewskim, szefem Centrum Analiz Strategicznych, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

Panie profesorze, czy coś się wyborczo już rozstrzygnęło, jak twierdzi część opozycji i jej media?

Norbert Maliszewski: Absolutnie nie. Polacy dopiero zdecydują, a obóz Zjednoczonej Prawicy ma silne atuty po swojej stronie.

Jakie najważniejsze?

Przede wszystkim wiarygodność. Polacy wiedzą, że jeżeli Zjednoczona Prawica coś obiecała, to dotrzymała słowa, zrealizowała zadania. Dotyczy to nie tylko spraw programowych, będących częścią umowy z Polakami, lecz także wyzwań, które pojawiły się w trakcie kadencji.

Ochrona miejsc pracy w pandemii?

Tak, chociaż walka o miejsca pracy była istotna na długo przed pandemią.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 97a9d6b8b0

To rząd Zjednoczonej Prawicy doprowadził do spadku stopy bezrobocia do historycznie najniższych poziomów. Z wysokim bezrobociem Polska borykała się przecież od początków transformacji, żaden wcześniejszy rząd nie potrafił skutecznie walczyć z tym problemem.

Pandemia nie była jedynym wyzwaniem mijającej kadencji. Ostatnio rząd podjął skuteczne działania amortyzujące wzrost cen energii elektrycznej i gazu. Wypracowano mechanizm, który zatrzymał podwyżki, zamroził koszty dla rodzin i firm. Musimy sobie uświadomić, że gdyby nie zdecydowane wsparcie rządu, stawki za energię byłyby ponad dwa razy wyższe, a za gaz prawie trzykrotnie. Podam przykład: statystyczne gospodarstwo domowe płaciłoby rachunek za energię elektryczną za dwa miesiące w wysokości nie 280 zł, ale 670 zł. Dla rodziny ogrzewającej dom gazem średni rachunek nie wynosiłby 1188 zł, lecz 3310 zł. To jest skala wysiłku, który podjęto, by chronić miliony rodzin. Dzięki takim działaniom rządu w portfelach Polaków zostaje co miesiąc kilkaset złotych.

To jest w ogóle zauważane przez Polaków? Będzie miało przełożenie wyborcze?

Wiarygodność i sprawczość to kluczowe sprawy w kampanii. Wyborcy szukają przecież partii, która potrafi rozwiązywać problemy społeczne. Tarcze chroniące przed podwyżkami są ważne dla tych, którym żyje się teraz ciężej. Obiektywnie patrząc, powodem wzrostu cen były szoki gospodarcze po pandemii, a teraz wojna. Rząd nie szuka jednak wymówek, nie unika odpowiedzialności, lecz podejmuje konkretne działania.

Ci wyborcy porzucili Prawo i Sprawiedliwość?

W większości nie, część zaś spośród nich znajduje się w – tak to nazwijmy – poczekalni niezdecydowanych, na kogo głosować. Rozglądają się. I to oni będą adresatem większości programów kampanijnych w 2023 r.

Donald Tusk już zaczął festiwal obietnic, podnosząc nagle sprawy, których w czasie swoich rządów nie podejmował, jak płaca minimalna, ochrona przed skutkami kryzysu gospodarczego, emerytury. Tym ostatnim tematem przekracza wszelkie granice, bo to za jego rządów przepchnięto ustawę o drastycznej podwyżce wieku emerytalnego. Nie tylko w tej sprawie brak wiarygodności jest jego główną słabością i najważniejszym atutem obozu rządzącego.

Obiektywnie patrząc, powodem wzrostu cen były szoki gospodarcze po pandemii, a teraz wojna. Rząd nie szuka jednak wymówek, nie unika odpowiedzialności, lecz podejmuje konkretne działania

Innymi słowy, jak PiS mówi, to robi, a gdy mówi opozycja, to są to tylko słowa?

Tak na to patrzą Polacy. Widać to także w badaniach. Wyborcy wiedzą, że jak coś jest zapowiedziane przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego czy premiera Mateusza Morawieckiego, to będzie zrealizowane.

Czy cynizm prezentowany przez część szeroko rozumianego świata Platformy Obywatelskiej – przypomnę tu choćby wypowiedzi Bogusława Grabowskiego mówiącego, iż Tusk może oszukać wyborców – jest społecznie dostrzegany?

Donald Tusk jest liderem rankingu nieufności i to chyba jest odpowiedź na to pytanie. Polacy zapamiętali mu podniesienie wieku emerytalnego, nieudolne reagowanie na kryzys po 2008 r., podnoszenie VAT, zawłaszczanie pieniędzy z OFE i wiele innych spraw. Właśnie dlatego – mimo obiektywnie trudnej sytuacji spowodowanej wojną, a wcześniej pandemią – partia rządząca pozostaje liderem sondaży. Co więcej, wyborcy, którzy przeszli do grupy niezdecydowanych, do tej poczekalni, nie są skłonni zaufać opozycji. Jednak gdy pojawia się jakiś istotny spór, stają przy Zjednoczonej Prawicy. Tak było choćby w pierwszych dniach po wybuchu wojny, gdzie ten efekt zjednoczenia wokół narodowej flagi jednak wystąpił.

To pokazuje potencjał?

Tak. Sondaże zwykle badają bieżące poparcie dla partii, w tym dla Zjednoczonej Prawicy. I tu zaczynamy odzyskiwać poparcie. Ale gdy dodatkowo zbadamy potencjały, to okazuje się, iż obóz rządzący może zmobilizować wiele grup społecznych, czy to wrażliwych w kwestiach portfela, czy też przejętych sprawami bezpieczeństwa. Temu będzie służyła kampania wyborcza, program przygotowywany na ten czas. Wybory to zawsze wybór między partiami, które z nich lepiej odpowiadają na wyzwania danej sytuacji, obawy Polaków.

Jak by pan profesor nazwał tę przyszłą, wyborczą propozycję Zjednoczonej Prawicy?

Polska silna, bliska ludziom – w mojej opinii te słowa najlepiej oddają ten przekaz. Zjednoczona Prawica jest postrzegana przez Polaków jako gwarant bezpieczeństwa militarnego i energetycznego. Militarnego, bo to poprzednicy likwidowali jednostki wojskowe, m.in. na wschodzie Polski. Obecny obóz rządowy jest bardzo konsekwentny i wiarygodny w obszarze bezpieczeństwa. Decyzją m.in. Jarosława Kaczyńskiego skokowo zwiększają

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Mamy sondaże, takie jak styczniowe badanie CBOS, które pokazują, iż przy przeliczeniu głosów w okręgach, na podstawie wyników w 2019 r., obecnie Zjednoczona Prawica zyskałaby 232 mandaty

się wydatki na zbrojenia, armia jest skutecznie modernizowana i odbudowywana kadrowo. To rządy PO-PSL popełniły kardynalne błędy, które mogły Polskę bardzo wiele kosztować. Wspomnę tylko o uzależnieniu się od surowców energetycznych z Rosji przez podpisywanie kontraktów tak szkodliwych i długookresowych, że Bruksela musiała interweniować. My zaś na odwrót. Dywersyfikujemy dostawy, pochodzą one z różnych źródeł, zapewniliśmy ich bezpieczeństwo, czego symbolem jest Baltic Pipe.

Z tego, co pan mówi, wynika, że będzie się liczył nie tylko portfel i bezpośrednia sytuacja ekonomiczna, lecz także bezpieczeństwo.

Oba tematy są ważne. Podział idzie według tych dwóch linii, ale trzeba mieć w tych obszarach wiarygodność i sprawczość. Przeciwna strona to zresztą wie, dlatego Donald Tusk tak brutalnie próbował przestraszyć Polaków zimą: ciemnościami, chłodem, brakiem węgla. Nic takiego się nie stało, ceny też zostały zamrożone, cała ta jesienna kampania opozycji pracuje dziś więc przeciwko niej.

Zwiększa przekonanie, że to formacja niewiarygodna?

Tak, bo to były tak silne emocje, tak duże obawy, świadomie podsycane, że dzisiaj tym mocniej ludzie czują, iż byli oszukiwani w jakimś sensie przez opozycję, niepotrzebnie straszeni. To nie tylko nieudana akcja propagandowa, lecz także pamięć o przeszłości. Opozycja nie zmierzyła się też dotąd – i już raczej tego nie zrobi – z pytaniem, dlaczego za jej czasów „piniendzy nie było" na programy społeczne. Jak przy tych uwarunkowaniach związanych z wojną mają się pojawić?

Oni twierdzą, że jak wrócą do władzy, to znowu nie będzie. I dowodzą, że cały ten rozwój w czasie ostatnich lat jest na kredyt.

To nieprawda. Za czasów Platformy Obywatelskiej tzw. luka VAT wynosiła 24 proc., a obecnie 4 proc. To jest oszczędność ok. 50 mln zł. Budżet kraju wzrósł za czasów Zjednoczonej Prawicy dwukrotnie. To pokazuje skuteczność i profesjonalizm w kwestiach gospodarczych. Okazało się, kto naprawdę na tym się zna. Dlatego to my jesteśmy gwarantem utrzymania programów społecznych. Proszę pamiętać, że w tym trudnym czasie nie tylko udało się utrzymać dotychczasowe rozwiązania, lecz także wdrożyć nowe obok tarcz chroniących przed skutkami inflacji.

A druga linia podziału?

To kwestia moralności. Dlatego Donald Tusk tak często stara się mówić o złym PiS. Szczególnie zawzięcie opozycja prowadzi swoją kampanię wokół rzekomej prorosyjskości tej formacji, bo przecież rosyjska agresja jest w oczach większości Polaków symbolem zła, wręcz zbrodni. Uznano tam najwyraźniej, że przypięcie tej łatki obozowi rządzącemu zmyje głębokie zbliżenie z Rosją za czasów PO-PSL.

Ten plan się udaje?

Z wyjątkiem grup nastawionych najbardziej opozycyjnie wobec rządu te działania trafiają w próżnię. Spór o stosunek do Rosji był przez lata jedną z najważniejszych osi podziału politycznego i Polacy to pamiętają. Ostrzeżenie i działania śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, premiera Jarosława Kaczyńskiego były przez opinię publiczną bardzo przeżywane. Nawet ostra kampania, której próbuje opozycja, nie jest w stanie tego zmienić. Wszyscy przecież wiedzą, że nikt nie nazywał braci Kaczyńskich „naszymi ludźmi w Moskwie". Pisano tak o Tusku. Powiększa to jeszcze poczucie, że opozycja to ludzie niewiarygodni, w tym przypadku postępujący też amoralnie.

Wszystkie te działania opozycji, w tym i skandale wywoływane przez jej polityków, ostatnio Radosława Sikorskiego, czy wpisy internetowe Donalda Tuska, nie skutkują zwiększeniem powagi. A jednak w to brną. Dlaczego?

Za tym stoi słuszna diagnoza, że mamy ciężkie czasy i wielu

Jeśli pan pyta o czynniki, które mogą wpłynąć na wynik wyborów, to ja bym raczej wskazał na brak zamknięcia tematu pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Efektem tego będzie mobilizacja wyborców opozycji, która potrzebuje takich stymulatorów, emocji

eprasa.pl 97a9d6b8b0

wyborcom żyje się trudniej. Ale opozycja nie umie dostrzec, że rząd jednak działa, chroni Polaków. Nie rozumie, że ten trudny czas odświeża wagę takich pojęć, jak: suwerenność, niepodległość, bezpieczeństwo, silna armia, i na tym polu dorobek opozycji jest co najmniej kontrowersyjny. Główne zagrożenie przychodzi oczywiście z Rosji, ale przecież pytania o rolę Niemiec też są dla Polaków ważne. O rolę w okresie przedwojennym, o niechęć zdecydowanego zaangażowania się w obronę Ukrainy teraz. Dociera też nie tylko do Polaków, lecz także wszystkich Europejczyków, jak często Niemcy kierują się swoim egoizmem gospodarczym.

Na tym tle koncepcja Tuska i Sikorskiego, by oprzeć bezpieczeństwo Polski o Niemcy, brzmi dziś egzotycznie.

To jest problem opozycji, która nie umie wypracować tu spójnego języka. Gdy taka krytyka Niemiec się objawia, zwykle milczy.

Chętnie za to mówi o tym, jak podzieli owoce zwycięstwa wyborczego. Gdy czytam prasę opozycyjną, to uderza, że to jedyne, co ich zajmuje: kto, co weźmie z tego tortu. Jaki jest dziś naprawdę poziom poparcia dla obozu rządzącego i opozycyjnego?

Wśród wyborców zdecydowanych, jak będą głosować, poparcie dla Zjednoczonej Prawicy wynosi obecnie 36–38 proc. Ale pamiętajmy, że duża część z tych niezdecydowanych to wyborcy, którzy dawniej ten obóz popierali, a potem stanęli z boku. Preferencji jednak nie zmienili i w momencie konieczności dokonania jednoznacznego wyboru mogą stanąć przy obozie rządzącym. Mamy też sondaże, takie jak styczniowe badanie CBOS, które pokazują, iż przy przeliczeniu głosów w okręgach, na podstawie wyników w 2019 r., obecnie Zjednoczona Prawica zyskałaby 232 mandaty.

Teraz, w tym trudnym czasie?

Tak. Jak zatem widać, perspektywa kolejnego samodzielnego zwycięstwa jest całkowicie realna. Opozycja też to wie, dlatego próbuje zbijać pewność siebie, demobilizując wyborców, nawet przy najlepszych dla PiS wynikach sondaży podkreślając, że nie daje to większości. A to tak nie wygląda. Przede wszystkim wynik wyborczy będzie lepszy, bo są wyborcy, których można zaktywizować. Kampania też sprzyja liderom, partie mniejsze zwykle w jej trakcie tracą. Lepsze niż obecnie są

> Tusk brutalnie próbował przestraszyć Polaków zimą: ciemnościami, chłodem, brakiem węgla. Nic takiego się nie stało, ceny też zostały zamrożone, cała ta jesienna kampania opozycji pracuje dziś więc przeciwko niej

też perspektywy gospodarcze, poprawiają się nastroje konsumenckie, mamy dodatni bilans aktywnych podmiotów gospodarczych, historycznie niskie bezrobocie. To też będzie miało wpływ na poziom poparcia dla partii rządzącej.

Tematy obyczajowe mogą rozgrzać wyborców?

Takie próby pewnie będą. Z wszystkich badań wynika jednak, że najważniejsze są kwestie dotyczące portfela i bezpieczeństwa. Obóz rządzący będzie trzymał się obietnicy silnej Polski bliskiej ludziom. Jeśli pan pyta o inne czynniki, które mogą wpłynąć na wynik wyborów, to ja bym raczej wskazał na brak zamknięcia tematu pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. I nawet nie chodzi o wyborców Zjednoczonej Prawicy – oni rozumieją prawdziwe przyczyny tych blokad, trudności. Podstawowym efektem będzie mobilizacja wyborców opozycji, która potrzebuje takich stymulatorów, emocji. Nie ma programu, więc musi sięgać po takie spoiwa. I konstrukcja, w której opozycja obiecuje, że jeśli dojdzie do władzy, to takie środki uzyska, taką rolę będzie odgrywała. Co oczywiście jest amoralne, interes kraju powinien być nadrzędny.

Opozycja na tym tle nieco się poprztykała. Szymon Hołownia, którego kilku posłów zagłosowało przeciw ustawie o Sądzie Najwyższym – co ma być jednym z elementów odblokowujących KPO – zyska na swojej postawie czy straci?

Oceniam, że wyborcy go ukarzą. Już wspomniane badanie CBOS pokazuje spadek poparcia dla tej formacji, a Szymon Hołownia traci zaufanie. Polacy chcą rozwiązania tej sprawy, chcą kompromisu.

Opozycja w pana ocenie pójdzie razem czy osobno?

Niezależnie, w jakiej konfiguracji opozycja będzie startować w wyborach, obóz Zjednoczonej Prawicy ma szansę wygrać. Każdy wybór opozycji ma zalety i wady, wymaga nieco odmiennych działań. Wspólnym mianownikiem będzie podkreślanie, jak wielką stawkę te wybory będą zawierać: suwerenność, bezpieczeństwo, dobrobyt, sprawiedliwość. Także ochrona fundamentów naszego rozwoju gospodarczego w postaci własnej waluty. Wprowadzenie euro w Chorwacji wywołało falę drastycznych podwyżek cen. Kontekst zewnętrzny, czyli niepewne czasy, rosnąca presja Brukseli, zagrożenia objawione przez wojnę na Ukrainie będą uwypuklały wszystkie te kwestie. Wiarygodność Zjednoczonej Prawicy jest zaś w tych obszarach wysoka, a opozycji wyjątkowo niska.

Autopromocja

eprasa.pl 97a9d6b8b0

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Brukselski zamach na polskie lasy

Polskie lasy stanowią blisko 30 proc. powierzchni kraju i należą do najlepiej zarządzanych na świecie. Nie dziwią więc kolejne próby zawłaszczenia tych dóbr przez instytucje zewnętrzne. Dziwi jednak uparte wspieranie tych pomysłów przez polityków Platformy Obywatelskiej. Tym razem poparli oni skrajnie niebezpieczny dla Polski projekt wprowadzenia zmian w traktatach, mający przenieść leśnictwo z kompetencji krajowych do kompetencji wspólnych całej UE. Oznaczałoby to, że prawo do decydowania o blisko 1/3 powierzchni Polski przejęłaby Bruksela



MARZENA NYKIEL

Nie ma już obszaru, który byłby wolny od apetytów unijnych biurokratów. W dyktowaniu Polsce własnych rozwiązań już dawno przekroczyli granice traktatowych kompetencji. Teraz próbują otworzyć drogę do przejęcia pełnej kontroli nad polskimi lasami. Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności Parlamentu Europejskiego (ENVI) wydała pozytywną opinię o zmianie traktatów, które przeniosą leśnictwo z kompetencji krajowych do wspólnych UE. Za takim rozwiązaniem głosowała Ewa Kopacz i Bartosz Arłukowicz z PO oraz Adam Jarubas z PSL. Sprzeciw wyraziły eurodeputowane PiS: Anna Zalewska i Joanna Kopcińska.

Rozwiązanie poparte przez europosłów opozycji jest dla Polski ogromnie niebezpieczne. „To marsz po federalizację Unii i zamach na polskie leśnictwo" – podkreśla Anna Zalewska, wskazując, że cała brukselska polityka klimatyczna to jedynie pretekst. Celem jest stworzenie jednego unijnego rządu, który będzie decydował o życiu obywateli wszystkich krajów.

ZDECYDOWANA ODPOWIEDŹ

Pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa oraz dyrektor Lasów Państwowych (LP) zdecydowanie zareagowali na uzurpatorskie plany Brukseli. „Nie pozwolę oddać polskich lasów w ręce unijnych urzędników w Brukseli. Komisja Europejska chce przejąć wyłączne kompetencje Polski w zarządzaniu leśnictwem. To nie tylko wbrew traktatom, to także oznacza upadek polskiego przemysłu drzewnego i gigantyczny wzrost cen drewna" – alarmuje pełnomocnik Edward Siarka, podkreślając, że zgodnie z traktatem lizbońskim z 2007 r. o leśnictwie decyduje wyłącznie państwo członkowskie.

Gdyby przyjęte przez komisję EVNI rozwiązania weszły w życie, o zasadach funkcjonowania polskiej gospodarki leśnej decydowaliby brukselscy urzędnicy. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć skutki. Już dziś widać efekty unijnej ingerencji w Puszczę Białowieską. Śp. minister Jan Szyszko, atakowany przez Komisję Europejską (KE), ekologów i polityków opozycji, podjął eksperyment, który pokazał, do czego prowadzą proponowane przez nich rozwiązania. Pozostawienie części puszczy samej sobie doprowadziło do zamierania drzewostanów oraz ważnych dla środowiska siedlisk. Prof. Szyszko wielokrotnie tłumaczył, na czym polega zjawisko dobrze rozumianej bioróżnorodności i gospodarki leśnej. Polscy leśnicy wiedzą to doskonale i właśnie dlatego nasze lasy są prawdziwą perłą Europy. „Polski model trwale zrównoważonej gospodarki leśnej był dotychczas wzorem dla innych państw" – podkreśla dyrektor Lasów Państwowych Józef Kubica. Model ten wyrasta ze 100-letniego doświadczenia przekazywanego z pokolenia na pokolenie, wzbogaconego wiedzą naukową i troską leśników, doskonale znających swoje lasy. Jak miałoby wyglądać zarządzanie gospodarką leśną zza biurka w Brukseli?

„W naszej ocenie już dotychczasowe propozycje Komisji Europejskiej rozwiązań prawnych, które mają być sposobem na walkę z ociepleniem klimatu, doprowadziłyby do całkowitego załamania polskiego przemysłu drzewnego" – pisze szef LP we wspólnym stanowisku wydanym z pełnomocnikiem rządu Edwardem Siarką. „Gospodarka leśna to jedna z największych gałęzi polskiej gospodarki. Prawie 80 proc. lasów znajduje się w rękach państwa, co zdecydowanie wyróżnia nas na arenie międzynarodowej. Nasz model zarządzania terenami leśnymi równoważy potrzebę ochrony dzie-

epresa.pl 97a9d65800



dzictwa przyrodniczego z potrzebami gospodarczymi i społecznymi. Jedynie leśnictwo oparte na tradycyjnej kulturze leśnej, na wypracowanych formach urządzania, użytkowania i ochrony lasów pozwoli zachować elementy rodzimej przyrody" – dodają, wskazując na niepokojące skutki, jakie nastąpiłyby po zaburzeniu tego porządku przez instytucje unijne. „Narzucone przez Komisję Europejską nowe rozwiązania zaowocują negatywnymi skutkami dla różnorodności biologicznej, możliwości adaptacji lasów do zmian klimatu, a przede wszystkim znacząco ograniczą podaż drewna i spowodują wzrost jego ceny [...]. Konsekwencją będzie zatem nie powstrzymanie zmian klimatu, lecz ich przyspieszenie. Lasy są dziedzictwem, które musi być przekazywane w co najmniej niepogorszonym stanie kolejnym pokoleniom" – podkreślają.

NIEMIECKI PROBLEM

Uwagę zwraca w tym kontekście jeszcze jeden fakt. Niemcy mają potężne problemy z własnymi lasami, a co za tym idzie – z pozyskiwaniem drewna. Według najnowszych informacji opublikowanych w ubiegłym tygodniu przez niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" zdecydowana większość drzewostanu w Niemczech choruje. Mimo że powierzchnia lasów wynosi tam tyle, co w Polsce – ok. 30 proc. – to aż 4 na 5 drzew jest chorych. „FAZ" wskazuje też, że Niemcy są jednym z przodujących krajów na świecie w eksporcie drewna. Obecnie zajmują czwarte miejsce. „W ub.r. powodem irytacji stał się fakt, że duża część eksportu drewna trafiała do Chin. Związek przemysłu meblarskiego skarżył się, że zbyt dużo surowca eksportowano do Azji, a na rodzimym rynku go brakowało" – wskazuje „FAZ". Czyżby więc chciano te niedobory uzupełniać przez podporządkowanie polskich lasów? Pytanie pozostaje otwarte. Podejmowane przez Brukselę kroki budzą jednak jeszcze większe podejrzenia.

Reforma traktatu będzie rozszerzała kompetencje Unii Europejskiej w różnych obszarach – zwraca uwagę Paweł Sałek, doradca prezydenta Andrzeja Dudy ds. ochrony środowiska, były wiceminister środowiska. Jego zdaniem przegłosowane w Komisji ENVI rozwiązania sięgają znacznie dalej i jeśli proces ten nie zostanie zatrzymany, będzie miał dla Polski bardzo poważne konsekwencje. „Doszłoby do tego, że przez akty niższego rzędu Komisja Europejska miałaby bardzo duży wpływ na całą politykę leśną, co także wiąże się z kwestiami przemysłu drzewnego" – mówi minister Sałek portalowi wPolityce.pl. To z kolei w obliczu szaleńczej polityki klimatycznej UE niesie bardzo poważne zagrożenia. Utracimy suwerenność energetyczną oraz kontrolę własnych zasobów surowcowych. Minister Paweł Sałek zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt. „Polska utraci sterowność nad sektorem leśnym, nad Lasami Państwowymi, które u nas są powiązane z funkcjami ochrony przyrody, czyli utracimy kontrolę nad 1/3 kraju" – podkreśla.

Skandaliczna propozycja Komisji ENVI, zmieniająca zapisy traktatu lizbońskiego, przeszła zdecydowaną większością głosów: 54 do 19. Za jej przyjęciem opowiedziało się, jak już wspominaliśmy, aż troje polskich eurodeputowanych: Ewa Kopacz, Bartosz Arłukowicz i Adam Jarubas. Czyżby nie rozumieli skutków swoich działań? A może właśnie rozumieją je doskonale.

WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ

Przypomina się w tym kontekście inna sytuacja sprzed lat. Za rządów PO-PSL rozważano już przecież zamach na polskie lasy, o czym dowiedzieliśmy się z ujawnionej przez WikiLeaks notatki ambasadora USA w Polsce. Wynikało z niej, że lasy miały zostać sprzedane, by spełnić oczekiwania organizacji żydowskich. Donald Tusk i Bronisław Komorowski byli wówczas naciskani przez Amerykanów w kwestii wypłaty Żydom odszkodowań za mienie utracone podczas II wojny światowej. Padła więc deklaracja, że Polska zdobędzie środki na ten cel przez sprzedaż państwowych nieruchomości i lasów. Ta swoboda dysponowania przez polityków PO naszymi narodowymi dobrami jest nad wyraz uderzająca i uderzająco przewidywalna.

Na szczęście polski rząd błyskawicznie i stanowczo zareagował na zaproponowane przez Komisję ENVI zmiany w traktacie. Oprócz ministra Siarki głos zabrała także minister klimatu i środowiska. „Lasy to jedna trzecia powierzchni Polski. Pomysł Parlamentu Europejskiego, aby polskie lasy były zarządzane przez urzędników unijnych, jest absurdalny. Skandal, że poparli to eurodeputowani PO i PSL! Czy taki jest program Platformy? Kiedyś chcieli prywatyzować lasy, teraz chcą je oddać pod zarząd Brukseli" – napisała na Twitterze Anna Moskwa.

Próby zostały podjęte i z pewnością będą kontynuowane. Leśnicy przypominają, że lasy są kołem zamachowym polskiej gospodarki. Razem z przemysłem drzewnym odpowiadają za kilka procent PKB, tworząc ok. 400 tys. miejsc pracy. Dzięki racjonalnej gospodarce leśnej mamy nie tylko najlepiej utrzymane lasy w Europie, lecz także doskonale prosperujący przemysł drzewny i meblowy. Zaburzenie tej równowagi z pewnością osłabiłoby naszą gospodarkę. A przecież nie od dziś wiadomo, że dominujące w UE Niemcy nie chcą silnej Polski. Szkoda tylko, że część polskich polityków daje się wciągnąć w tę grę.

Fot. Wirestock Creators/ Shutterstock



Pociąg do podwyżek

Wiele wskazuje na to, że poprzedni rok, w którym pociągi PKP Intercity przewiozły rekordową liczbę pasażerów, już się nie powtórzy. A wszystko to przez styczniową podwyżkę cen biletów, która zniechęca do korzystania z kolei, a w przypadku mniej zamożnych osób prowadzi do wykluczenia komunikacyjnego i w rezultacie do znaczącego pogorszenia ich standardu życia



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na początku stycznia spółka PKP Intercity świętowała największy sukces w swojej ponad 20-letniej historii. Jak wynikało z raportów, w 2022 r. pociągi PKP Intercity przewiozły prawie 59 mln pasażerów, nie tylko wychodząc w ten sposób z zastoju wywołanego pandemią, lecz także bijąc dotychczasowy rekord z 2019 r., gdy z usług przewoźnika skorzystało blisko 49 mln osób.

Wiele wskazuje jednak na to, że poprzedni rok może okazać się ostatnim tak dobrym okresem, jeśli chodzi o liczbę przewiezionych pasażerów. A wszystko to przez styczniową podwyżkę cen biletów, która – biorąc pod uwagę spadającą jakość usług – zniechęca do korzystania z kolei, a w przypadku mniej zamożnych osób w ogóle ogranicza im dostęp do dalszych podróży.

W GŁĘBOKIM POWAŻANIU

Niemal 60 mln sprzedanych biletów PKP Intercity oznaczało, że w ub.r. pasażerowie masowo powrócili do podróży koleją, co mimo trudnej sytuacji gospodarczej oraz problemów związanych z modernizacją sieci kolejowej pozwalało z pewnym optymizmem myśleć o perspektywach polskich kolei. Niestety, zamiast cieszyć się z zainteresowania podróżnych, postanowiono ich solidnie złupić. Według obowiązującego od 11 stycznia cennika bilety na najwyższe kategorie pociągów (czyli EIC i EIP) podrożały o ponad 17 proc., a na pozostałe (IC i TLK) – o blisko 12 proc. W praktyce oznaczało to, że za bilet w drugiej klasie EIP z Warszawy do Krakowa lub do Gdańska trzeba było zapłacić w cenie bazowej (bez promocji) aż 199 zł, a na TLK – prawie 80 zł.

Fot. BOKEH STOCK/Shutterstock.com

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Pula biletów w cenach promocyjnych – zwłaszcza tych najbardziej atrakcyjnych – od dawna była ograniczana, co doprowadziło do absurdalnej sytuacji, w której przejazd koleją dla wielu pasażerów może stać się w tym roku luksusem. W szczególności dotyczy to wyjazdów rodzinnych, bo po przemnożeniu nowych cen trzy lub cztery razy wychodzą zawrotne sumy, nawet przy uwzględnieniu 37-proc. zniżki dla dzieci i młodzieży.

Nic więc dziwnego, że wśród pasażerów zawrzało. Warto przy tym zauważyć, że PKP Intercity dokonało swoją decyzją rzeczy nadzwyczajnej, bo powszechny sprzeciw wobec podwyżki okazał się silniejszy od różnic światopoglądowych. Oczywiście antypisowcy obwiniali o wszystko obecny rząd, a jego zwolennicy nie potrafili zrozumieć, jak taką podwyżkę cen biletów można pogodzić z polityką społeczną realizowaną przez PiS.

Szczególnym kuriozum, wiele przy okazji mówiącym o profesjonalizmie osób odpowiadających za wizerunek PKP Intercity, była zamieszczona na Twitterze odpowiedź na pretensje internauty, który żalił się na horrendalną cenę biletu dla czteroosobowej rodziny z Warszawy do Zakopanego. Przewoźnik w odpowiedzi zaproponował swojemu klientowi podróż za niższą cenę, ale w innym terminie. Oznacza to, że zdaniem PKP Intercity pasażerowie powinni dopasowywać swoje plany wyjazdowe do biletowych promocji. Czasami tak się da, ale najczęściej to niemożliwe. Wyszło więc na to, że przewoźnik ma swojego pasażera (i – jak można sądzić – wszystkich innych) w głębokim poważaniu.

STRACH PRZED KONKURENCJĄ

W swoim komunikacie PKP Intercity tłumaczyło podwyżkę dużym wzrostem cen energii spowodowanym przede wszystkim rosyjską agresją na Ukrainę i tzw. putinflacją. Z tego powodu – jak wyjaśniała spółka – gwałtownie wzrosły koszty operacyjne, które w przeliczeniu na jednego pasażera mogą pójść w górę aż o 40 proc. w stosunku do 2022 r.

Przewoźnik twierdził też, że podwyżka cen nie rekompensuje rosnących kosztów, lecz jedynie je łagodzi, co można odczytać jako pretensję skierowaną do pasażerów, że narzekają, zamiast dziękować władzom spółki za łaskawość, bo przecież mogło być jeszcze drożej. Co więcej – zdaniem PKP Intercity podwyżka nie jest taka dokuczliwa, bo i tak większość pasażerów korzysta z pociągów IC i TLK, a tutaj bilety podrożały mniej niż w pendolino czy w ekspresach.

Problem w tym, że – po pierwsze – i wcześniej było dość drogo, a po drugie – tańsze pociągi w niektórych popularnych relacjach (np. Warszawa–Kraków) są nieliczne i zwykle uruchamiane w najbardziej nieludzkich porach, a przy tym nierzadko kursują dłuższą, okrężną trasą, zatem nie zawsze mogą stanowić alternatywę dla drogiego pendolino.

Argumenty PKP Intercity nikogo nie przekonały. Tym bardziej że przewoźnik otrzymuje co roku ogromne dotacje na swoją działalność przewozową. Spółka w tym roku ma dostać 1,8 mld zł, z których dofinansowywane są pociągi TLK i IC. Mimo to podniesiono ceny biletów na te połączenia, bo według przewoźnika dotacje budżetowe są zbyt niskie. Zdaniem rządu dodatkowe dofinansowanie PKP Intercity nie wchodzi w rachubę ze względu na sprzeciw Komisji Europejskiej. W związku z tym spółka, zamiast podnosić ceny, powinna raczej poszukać oszczędności.

W przypadku wyższych kategorii pociągów (czyli EIC i EIP) dotacji wprawdzie nie ma, ale przewoźnik i tak jest uprzywilejowany, bo mimo wielu zapowiedzi o wpuszczeniu konkurencji na polskie tory PKP Intercity pozostaje monopolistą na głównych trasach. Dlatego nie musi się troszczyć o pasażerów i przejmować, że ktokolwiek mu ich podbierze. Więc jak każdy monopolista korzysta ze swojej pozycji i podnosi ceny. Zapewne byłoby inaczej, gdyby na najpopularniejsze trasy wpuszczono innych przewoźników. Zwłaszcza że chętnych nie brakuje – swoje wnioski o dopuszczenie do linii Warszawa–Kraków złożyła czeska spółka RegioJet, a wcześniej przez trzy lata bezskutecznie dobijał się o tę trasę LeoExpress – także z Czech.

W przeszłości formę konkurencji dla PKP Intercity stanowiły pociągi InterRegio organizowane przez Przewozy Regionalne. Oferowały one podróż w niezbyt komfortowych warunkach, ale za to za niewielkie pieniądze. Co ciekawe, niektóre z tych pociągów dzięki lepszemu wytrasowaniu docierały do celu szybciej niż PKP Intercity (niekiedy aż o trzy godziny w przypadku trasy Warszawa–Kołobrzeg).

W 2010 r. połączenia InterRegio przejęły jedną trzecią całego rynku połączeń dalekobieżnych. Rzecz jasna, uderzało to w interesy spółki PKP Intercity. Ostatecznie w 2015 r., tuż przed przejęciem władzy przez rząd PiS, tanie pociągi InterRegio zostały skasowane i pasażer na dłuższych trasach jest odtąd skazany na łaskę i niełaskę PKP Intercity.

> Nie należy lekceważyć skutków, które drogie bilety na pociąg mogą wywołać. Zwłaszcza że przewoźnik jest własnością państwa i rządzący ponoszą polityczne konsekwencje jego decyzji

NIE CHODZI TYLKO O PIENIĄDZE

Na początku zeszłego tygodnia do podwyżki cen biletów odniósł się premier Morawiecki. „Jesteśmy w okresie wysokiej inflacji i nie chcę, żeby różne części gospodarki narodowej dokładały cegiełkę do tej inflacji" – skwitował. Zapowiedział też interwencję w tej sprawie w Ministerstwie Infrastruktury. Pierwsze efekty tych słów są już widoczne, ponieważ nagle w sprzedaży pojawiło się więcej biletów promocyjnych. Przy sporej dawce szczęścia można nawet natrafić na zupełnie już zapomnianą superpromocję na pendolino (przykładowo 49 zł z Warszawy do Krakowa).

Sprawa podwyżki nie może być zamieciona pod dywan, ponieważ nie chodzi tutaj tylko o kwestie czysto ekonomiczne, ale przede wszystkim o polityczne i społeczne. W sytuacji gdy na fali polityki klimatycznej wymusza się odejście od transportu samochodowego, jednoczesne uderzenie w transport kolejowy prowadzi do wzrostu wykluczenia komunikacyjnego dziesiątek

eprasa.pl 97a9d6b8b0

tysięcy Polaków i w rezultacie do znaczącego pogorszenia ich standardu życia. Nie tak dawno temu program 500+ pozwolił wielu ludziom po raz pierwszy od lat wyjechać na wakacje, teraz to znów może stać się niemożliwe. Inni z powodu wzrostu kosztów podróży być może będą musieli zrezygnować z nauki lub stracą możliwość zarobku. Niektórzy prędzej czy później mogą się za to odwdzięczyć przy urnie wyborczej. Dlatego nie należy lekceważyć społecznych skutków, które zbyt drogie bilety na pociąg mogą wywołać. Zwłaszcza że przewoźnik jest własnością państwa i rządzący ponoszą polityczne konsekwencje jego decyzji, a alternatywa, którą jest samochód, wkrótce przestanie być tak dostępna jak kiedyś.

W tej kwestii nieco zawstydzili nas Niemcy, którzy wprowadzili u siebie tzw. Deutschlandticket, czyli bilet miesięczny za 49 euro obowiązujący na komunikację miejską i pociągi w całych Niemczech. I choć wbrew powtarzanym u nas opiniom nie da się na tym bilecie podróżować drogimi pociągami dalekobieżnymi, stanowi on atrakcyjną alternatywę dla mniej zamożnych podróżnych, którzy – korzystając z niemieckiej sieci kolei – mogą poruszać się po całym kraju pociągami regionalnymi. Być może należałoby pomyśleć nad podobnym pomysłem u nas. Nie będzie to jednak łatwe, ponieważ polskie koleje w odróżnieniu od niemieckich były w ciągu pierwszego ćwierćwiecza III RP dosłownie zarzynane.

UMIERANIE KOLEI

Warto sięgnąć do statystyk podanych przez Karola Trammera w jego książce o niszczeniu polskich kolei. W 2018 r. liczba podróży kolejowych w Polsce wyniosła 310,3 mln (chodzi o wszystkich przewoźników, nie tylko o PKP Intercity), a tymczasem w dwukrotnie ludniejszych Niemczech było to aż 2,868 mld podróży. Z czego wynika ta ogromna dysproporcja?

Przede wszystkim ze świadomej, planowej polityki likwidacji kolei, którą prowadzono w Polsce od upadku PRL. W 1990 r. sieć kolejowa w Polsce liczyła 26,2 tys. km, a po 30 latach skurczyła się do 18,5 tys. km. Pierwsza fala likwidacji nastąpiła w latach 1989–1990, gdy zamknięto 2700 km linii kolejowych. W ciągu następnej dekady zlikwidowano łącznie kolejne 4 tys. km. Najwięcej linii zniknęło w 2000 r., gdy zatrzymano ruch na 1706 km torów – więcej niż w ciągu całej dekady lat 80. Połączenia likwidowano nagle, często w samym środku roku szkolnego, wcześniej prowadząc politykę wygaszania popytu – pociągi kursowały rzadko i w absurdalnych godzinach, a rozkłady konstruowano tak, by uniemożliwić podróżnym przesiadki na inne pociągi. Taka polityka – jak wynikało z badań socjologicznych – pogłębiała bezrobocie i zapaść cywilizacyjną na dużym obszarze Polski.

Jeszcze za rządów Donalda Tuska rozważano dalsze cięcia sieci kolejowej. Wynajęta firma doradcza McKinsey zalecała likwidację 4–5 tys. km sieci, w tym tak strategicznie ważne połączenia jak linia do kopalni węgla brunatnego w Bełchatowie czy do zakładów chemicznych w Policach. Postulowano też m.in. fizyczne odcięcie Olsztyna od połączenia z Warszawą. Szczęśliwie tych planów nie zdołano zrealizować.

> Oburzenie na podwyżki jest jak najbardziej uzasadnione, szkoda jednak, że nie protestowano wiele lat temu, gdy rozbierano na potęgę kolejne linie kolejowe i likwidowano setki lokalnych połączeń

Przeprowadzone likwidacje sieci kolejowej uzasadniano koniecznością skupienia się na utrzymaniu i modernizacji najważniejszych tras. W rzeczywistości przeprowadzane modernizacje nie tylko niemiłosiernie się przedłużały, lecz także wykonywano je po najniższych możliwych kosztach. Likwidowano m.in. mijanki na liniach jednotorowych, co poważnie zmniejszyło ich przepustowość, a więc liczbę pociągów, które mogły jechać w tym samym czasie jednym torem. Podczas remontów kasowano także stacje, na których szybsze pociągi mogły wyprzedzać te poruszające się powoli (a więc podmiejskie lub towarowe). Skutek tego jest dziś taki, że nawet na linii, po której teoretycznie można jechać 160 km/h, pociągi jadą znacznie wolniej, bo wloką się przez wiele kilometrów za zawalidrogą. Nic dziwnego, że mimo remontów czasy przejazdu wzrosły, zamiast spaść.

Niektóre z tych fuszerek są dziś poprawiane, co powoduje obecny chaos na kolejach i coraz większe opóźnienia pociągów. Płacimy własnym czasem, komfortem i dużymi pieniędzmi za niszczycielską politykę poprzednich rządów.

Likwidacja wielu linii kolejowych oznaczała oczywiście spadek liczby podróżnych, w tym również tych, którzy przesiadali się z lokalnych pociągów do dalekobieżnych. Po prostu nie mieli już gdzie i z czego się przesiadać. W rezultacie dochody wszystkich przewoźników kolejowych (regionalnych, samorządowych i dalekobieżnego PKP Intercity) są niższe, niż mogłyby być, gdyby wcześniej polskiej kolei nie zarżnięto. Dziś wielu przewoźników nie może przetrwać bez zastrzyku solidnych dotacji. A nawet, dostając ten zastrzyk, podnoszą ceny.

Do tej pory mało kto w tzw. głównym nurcie zwracał na te problemy uwagę. W końcu dotyczyły one głównie mieszkańców małych miasteczek i prowincji, których los nikogo w dużych metropoliach nie obchodził. Teraz, gdy okazało się, że choroba tocząca od lat polską kolej dotarła także do metropolii, pojawiło się oburzenie.

Oburzenie jest jak najbardziej uzasadnione, szkoda jednak, że nie protestowano wiele lat temu, gdy rozbierano na potęgę kolejne linie kolejowe i likwidowano setki lokalnych połączeń, które dziś – mimo niewątpliwych starań obecnego rządu – będzie trudno przywrócić. Jednak rząd musi wykazać się konsekwencją, a kwestia podwyżek cen biletów jest tutaj ważnym testem. Nie da się bowiem ratować kolei i zarazem pozwalać na to, by odpływali z niej pasażerowie.

Jeżeli brakuje funduszy, to może trzeba sięgnąć do cudzych doświadczeń. Być może wprowadzić tani bilet na wzór niemiecki, a może – za przykładem Czech, gdzie kolej trzyma się znakomicie – dopuścić wreszcie konkurencję na głównych szlakach kolejowych. Wolny rynek na najbardziej dochodowych szlakach plus dotacje dla mniej rentownych połączeń lokalnych doprowadziły w Czechach do spadku cen w całej sieci. Czemu więc u nas miałoby być inaczej?

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Rozprawa kończąca proces, w którym Andrzej Pilecki, syn rtm. Pileckiego, domaga się od państwa polskiego astronomicznej kwoty za cierpienia ojca

Ostatni rozdział?

Wspomagany przez przedsiębiorczych prawników syn rtm. Pileckiego domaga się od państwa polskiego za cierpienie ojca szokującej kwoty 26 mln zł. Czy przyznanie tak ogromnego zadośćuczynienia rzeczywiście naprawi krzywdy wyrządzone przez aparat komunistycznej represji? Wyrok ma zostać wydany 8 lutego





MARCIN WIKŁO

Może to nawet lepiej, że na rozprawie kończącej ten proces nie było dzieci rotmistrza, ani syna Andrzeja, ani córki Zofii (sąd przychylił się do jej dramatycznej prośby, by nie mieszać jej w proces zainicjowany przez brata, z którym w tej kwestii diametralnie się nie zgadza). Starszym ludziom oszczędzono więc naprawdę smutnego spektaklu.

Mowy końcowe były typową prawniczą szermierką, która przypominała licytację na targu. Przedstawiciele Andrzeja Pileckiego próbowali uzasadniać, że żądana kwota 26 mln zł nie jest zbyt wysoka, prawnicy reprezentujący państwo polskie wnosili, że w podobnych sprawach wypłacano o wiele mniejsze kwoty. Strony zgadzały się bezapelacyjnie tylko co do jednego – że Witold

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Pilecki był wielkim człowiekiem, polskim patriotą, którego komunistyczny reżim potraktował z niewyobrażalnym okrucieństwem. Ale co nam z tej zgody, skoro istota sporu i tak została sprowadzona do kasy.

ZA CO TE MILIONY?

Andrzeja Pileckiego reprezentowała radca prawna Anna Bufnal, to ona wygłosiła płomienną mowę końcową po zamknięciu przewodu sądowego (stało się to błyskawicznie, już na drugiej rozprawie). „Wiele osób zadaje sobie dzisiaj pytania: czemu służy ten proces, dlaczego teraz i dlaczego żądana jest taka kwota" – zaczęła prawnik, co dawało nadzieję, że wyjaśni kwestie, które trapią szerokie środowisko uważające legendę żołnierzy wyklętych za ważną. „Każda rozpoczęta historia, także historia życia, powinna mieć odpowiednie zakończenie" – usłyszeliśmy. Potem był długi wywód na temat bohaterstwa Witolda Pileckiego i okropności, których doświadczał do samej śmierci w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Odpowiedzi na najbardziej nurtujące pytanie, dlaczego prawnicy w imieniu Andrzeja Pileckiego domagają się aż 26 mln zł zadośćuczynienia, nie usłyszałem. Wyjaśnienia, że kwota jest tak wysoka, by nie zamykać drogi procesowej sądowi (który ma zakaz zasądzać więcej, niż jest żądane), absolutnie mnie nie przekonuje.

Ciekawe były z kolei riposty reprezentantów skarbu państwa. Prokurator Filip Wolski stwierdził, że byłby skłonny przystać na wypłacenie Andrzejowi Pileckiemu kwoty 1,5 mln zł. Godząc się całkowicie ze stwierdzeniami podkreślającymi bohaterstwo umęczonego i zamordowanego Pileckiego, przytaczał inne przykłady. Rodziny żołnierzy AK, zamordowanych w wieku ok. 40 lat (Pilecki miał 47 lat), którzy musieli zostawić bliskich (Pilecki zostawił żonę i dwoje dzieci) i którzy nie mogli pracować dla najbliższych ani wychowywać dzieci, dostały kwoty zazwyczaj nieprzekraczające 1 mln zł.

Sedna sprawy dotknął zaś reprezentujący państwo polskie radca prawny Adam Szczepanik: „Ta sprawa to nie jest plebiscyt popularności osoby rtm. Witolda Pileckiego. [...] Wymiar świadczeń odszkodowawczych powinien być adekwatny do wcześniej wydawanych orzeczeń, ale powinien być również adekwatny do odbioru tych świadczeń przez opinię publiczną. [...] Pojawiły się głosy: dlaczego mój dziadek nigdy nie dostanie odszkodowania w wysokości 25 mln zł". Dokładnie o tym pisaliśmy miesiąc temu w tygodniku „Sieci" (nr 52/2022) w artykule „Biznes na bohaterach": „Informacja o tym, że syn rtm. Witolda Pileckiego domaga się od państwa polskiego 26 mln zł zadośćuczynienia i odszkodowania za krzywdę doznaną przez jego ojca, była jak bomba atomowa zrzucona w środowisko rodzin żołnierzy wyklętych". „To są chore sumy, powodują, że o całym środowisku mówi się źle. Potomków bohaterów traktuje się jak jakichś naciągaczy" – mówił „Sieci" Marek Franczak, syn Józefa Franczaka „Lalusia", ostatniego żołnierza wyklętego.

Rzeczywiście – jak podnosiliśmy także w „Sieci" – nie samo żądanie zadośćuczynienia jest tutaj problemem, ale jego wysokość i próba wręcz wymuszenia na sądzie przyznania takiej kwoty. „Pełnomocnicy wnioskodawcy chcą z tej sprawy uczynić sprawę plebiscytową. Skoro jesteś za tym, by nie dać 25 mln zł synowi rtm. Pileckiego, to nie jesteś patriotą. Tak nie może być!" – dodał mec. Szczepanik. Trudno nie mieć wrażenia, że nazwisko jednego z największych bohaterów ma być tutaj wytrychem, a sposób prowadzenia sprawy przypomina szantaż. Kto na tym zyska? Na pewno nie będzie to środowisko żołnierzy wyklętych, na których legendzie rośnie wspaniała młoda Polska.

KTO ZA TYM STOI?

Rozmowa o pieniądzach zawsze pozostawia niesmak. Na ostatniej rozprawie w mowach reprezentantów skarbu państwa padały przestrogi, że wnioskowana kwota jest nieadekwatna, a przyznanie jej doprowadziłoby do nadmiernego wzbogacenia się wnioskodawcy, czyli syna pana rotmistrza. Mężczyzna ma dzisiaj 91 lat, jest jasne, że nie żąda tych pieniędzy dla siebie, ale to także tylko wątek poboczny, nic w tym zdrożnego. W sądzie przypomniano także, że w 1990 r. sąd wojskowy zrehabilitował Witolda Pileckiego i przyznał rodzinie (żonie Marii i dzieciom) odszkodowanie w wysokości 500 mln zł (przed denominacją). Była to równowartość średniej pensji pobieranej przez 40 lat. Dziś to byłoby to blisko 3 mln zł. Maria Pilecka zmarła w 2002 r., Zofia Optułowicz-Pilecka nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego, Andrzej Pilecki domaga się 26 mln zł.

„Zanim jednak osądzimy Andrzeja Pileckiego, warto się przyjrzeć, kto za nim stoi i kto reprezentuje go w sądzie" – to także fragment artykułu z „Sieci" sprzed miesiąca. Pisaliśmy w nim o dosyć przejrzystym procederze, który jest całkowicie zgodny z prawem, ale budzi sporo wątpliwości innej natury.

Wspomniana kancelaria radcowska Anny Bufnal z Gdyni brała już udział w podobnych procesach. W imieniu córki żołnierzy wyklętych Magdaleny Zarzyckiej-Redwan (kobieta urodziła się w więzieniu na lubelskim zamku, gdzie jej matka była torturowana i zmarła) żądano 15 mln zł, ostatecznie sąd przyznał kwotę 15-krotnie mniejszą. Z pomocą tej samej kancelarii Zbigniew Kuraś domaga się od państwa polskiego 10 mln zł za szkody, które poniósł jego ojciec Józef Kuraś „Ogień". Proces się przeciąga, a podane kwoty oburzają środowisko, które i tak jest atakowane za przywoływanie pamięci o bohaterach. Kolejne próby to woda na młyn dla tych, którzy tę pamięć chcieliby znów zasypać.

Naszą wątpliwość budził i nadal budzi sposób, w jaki kancelaria Anny Bufnal pozyskuje klientów. Nie uzyskałem odpowiedzi, czy Andrzej Pilecki zgłosił się sam. W innych przypadkach bywało różnie. Pisaliśmy o współpracy z firmą Ius Memoriae, której członkiem zarządu jest mąż właścicielki kancelarii Grzegorz Bufnal, a prezesem Jonasz Papież (ma 10 proc. udziałów). Ten drugi oraz kilka innych osób jeżdżą po odbywających się w całym kraju imprezach patriotycznych i rekrutują klientów dla kancelarii. Sprawa jest bardzo prosta, trzeba tylko podpisać pełnomocnictwo i umowę (stroną jest Ius Memoriae), która gwarantuje spółce 30–35 proc. od wygranej w sądzie sumy. W przypadku kwoty, o którą walczy Andrzej Pilecki, honorarium wyniosłoby ponad 9 mln zł.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Miesiąc temu przytaczaliśmy w „Sieci" także wypowiedzi działaczy organizacji patriotycznych, których największym kapitałem są budowane przez lata relacje z rodzinami bohaterów. Przedstawiciele Ius Memoriae proponowali im pieniądze za udostępnienie tych kontaktów. Procent od udanej transakcji i obietnica świetlanej przyszłości. Jak u sprzedawcy garnków czy nowoczesnych odkurzaczy...

Ani teraz, ani miesiąc temu Anna Bufnal, ani Jonasz Papież nie odpowiedzieli na moje pytania. Spotkałem ich w ubiegłym tygodniu w sądzie. Pan Papież „był akurat zajęty", a pani Bufnal stwierdziła, że „po tym, z jakim dziennikarstwem miała okazję się zapoznać jakiś czas temu, jest pytanie, czy mamy o czym rozmawiać". Zapowiedziała, że rozważa podanie redakcji „Sieci" do sądu za krzywdzący i obrażający ją artykuł, a dyskusję zakończył jej mąż: „Z państwa gazetą nie rozmawiamy" – uciął Grzegorz Bufnal.

CO Z ETYKĄ?

Pytany przez „Sieci" o tę sprawę główny rzecznik dyscyplinarny Krajowej Izby Radców Prawnych (KIRP) zwraca uwagę, że okoliczności opisane w tekście „Biznes na bohaterach" mają zasadnicze znaczenie z punktu widzenia samorządu radców prawnych.

„[...] osoby zgłaszające roszczenia zawarły umowy ze spółką z ograniczoną odpowiedzialnością, a w imieniu tej spółki pozyskiwaniem klientów, w sposób przez Pana opisany, działała osoba niebędąca radcą prawnym. Pragnę podkreślić, że jest to (tzn. spółka z ograniczoną odpowiedzialnością) forma działalności prawniczej nieregulowanej, nad którą ani samorząd zawodowy radców prawnych, ani władze publiczne nie mają kontroli, w szczególności z punktu widzenia zgodności z zasadami etyki" – pisze radca prawny Gerard Dźwigała, główny rzecznik dyscyplinarny KIRP.

Radcowie prawni rzeczywiście nie mogą prowadzić działalności w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Dlatego – by trzymać się litery prawa – na rzecz kancelarii Anny Bufnal pracuje spółka Ius Memoriae. Powiązanie jest oczywiste i legalne, przynajmniej do 1 stycznia 2023 r., gdyż tego dnia uległ zmianie Kodeks etyki radcy prawnego. W nowych przepisach wprost przewidziano: „Radcy nie mogą udzielać pomocy w świadczeniu przez takie podmioty pomocy prawnej".

KIRP stara się w ten sposób zadbać o dobre imię zawodu, które bywa nadwerężane. Powoduje to, że problem staje się o wiele szerszy, o czym także pisze Dźwigała: „Świadczenie pomocy prawnej przez spółki kapitałowe, które mianują się kancelariami, ale nie podlegają ograniczeniom takim jak radcowie prawni albo adwokaci – jest istotnym problemem systemowym. Podane przez pana okoliczności jedynie potwierdzają, że tego typu podmioty mogą nadużywać zaufania klientów, ponieważ nie podlegają odpowiedzialności dyscyplinarnej albo innej w związku z brakiem niezależności, postępowaniem nieetycznym, niezgodnym z dobrymi obyczajami pozyskiwaniem klienta, ustalaniem zawyżonego wynagrodzenia, naruszaniem zasady poufności, unikania konfliktu interesów czy postępowania lojalnego wobec klienta" – czytamy w piśmie od rzecznika.

Nie wiadomo, dlaczego Anna Bufnal należy do okręgowej izby radcowskiej w stolicy, choć prowadzi kancelarię w Gdyni. Te same pytania wysyłamy więc do Okręgowej Izby Radców Prawnych w Warszawie.

Radca prawny Bartosz Miszewski, rzecznik dyscyplinarny OIRP w Warszawie: „(...) pragnę pana poinformować i zapewnić, że wszelkie zachowania radców prawnych, które mogą być postrzegane jako sprzeczne z przepisami prawa, zasadami etyki radcy prawnego czy godnością zawodu – stanowią przedmiot zainteresowania rzecznika w kontekście zbadania, czy dane zachowania nie wypełniają znamion deliktu dyscyplinarnego. Powyższe powoduje, że również opisywana przez pana działalność radcy prawnego leży w spektrum zainteresowań rzecznika dyscyplinarnego". Odpowiedź jest lakoniczna, gdyż „udostępnianie informacji w przedmiocie prowadzonych postępowań, które na etapie procedowania przed rzecznikiem są sprawami w toku, czyli nie są prawomocnie zakończone, należy uznać za niedopuszczalne". Szczegółów dochodzenia dyscyplinarnego więc nie poznamy, ale sama informacja o tym, że się ono toczy, budzi optymizm, bo oznacza, że nie tylko my widzimy tutaj problem.

* * *

Radca prawna Anna Bufnal w mowie końcowej podkreśliła, że kończący się proces o odszkodowanie, które miałoby być przyznane Andrzejowi Pileckiemu, to wydarzenie historyczne. „Jesteśmy świadkami pisania ostatniego rozdziału historii bohaterskiego życia Witolda Pileckiego" – mówiła. Dodała też, że w końcu „dowiemy się, jak państwo polskie wycenia życie swoich obywateli". Wyrok ma zostać wydany w najbliższą środę, ale trudno zgodzić się z tym, że to ostatni rozdział. Być może zaangażowani w sprawę prawnicy czekają już tylko na te pieniądze, ale dla milionów Polaków o wiele istotniejszą kwestią jest odnalezienie i zidentyfikowanie szczątków pana rotmistrza i godny pogrzeb, który nareszcie da rodzinie bohatera święty spokój. Tego nie kupi się za żadne pieniądze.

> W sądzie przypomniano także, że w 1990 r. sąd wojskowy zrehabilitował Witolda Pileckiego i przyznał rodzinie (żonie Marii i dzieciom) odszkodowanie w wysokości 500 mln zł (przed denominacją). Była to równowartość średniej pensji pobieranej przez 40 lat

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Coraz trudniej o męża

Polki są coraz lepiej wykształcone i coraz lepiej zarabiają. Okazuje się, że to, co powinno być powodem do radości, może się okazać poważną przeszkodą w znalezieniu życiowego partnera





DOROTA ŁOSIEWICZ

Według szacunków GUS wyższe wykształcenie w 2021 r. miało w Polsce ponad 7,6 mln osób, w tym prawie 5,5 mln miało dyplom przynajmniej magistra. Dekadę temu były to niespełna 4 mln Polaków. Ponad 4,6 mln kobiet ma wyższe wykształcenie z tytułem magistra lub równorzędnym. Jeśli chodzi o mężczyzn, to jest ich niespełna 3 mln. Okazuje się, że osoby lepiej wykształcone wciąż stanowią większą część mieszkańców miast niż wsi. W miastach co czwarta osoba ma wyższe wykształcenie, na wsiach – niespełna 17 proc. Według portalu ciekaweliczby.pl od kilku lat kobiety stanowią 58 proc. wszystkich studentów w Polsce i 63 proc. absolwentów szkół wyższych. Różnica w wykształceniu między kobietami i mężczyznami to tzw. luka edukacyjna. Według Eurostatu ta luka w Polsce wynosi 19 pp. Dla porównania, w Czechach – 16,2 pp., a w Niemczech – niecałe 2 pp. I wcale nie chodzi o to, że kobiety lepiej wykształcone nie chcą zawierać małżeństw ani nie chcą mieć dzieci z powodu życiowych aspiracji. Kłopot w tym, że mogą mieć problem w znalezieniu odpowiedniego partnera. Na 10 wykształconych mężczyzn przypada 16 wykształconych kobiet.

„Jeśli skupimy się na grupie wiekowej 25–34 lata, czyli grupie osób, które już powinny skończyć edukację i zakładają lub myślą o założeniu rodziny, to okazuje się, że wśród młodych mężczyzn mamy 33 proc. osób z wyższym wykształceniem, a wśród młodych kobiet jest to ponad 50 proc. Ta różnica wynosi prawie 20 proc., a to znaczy, że co piąta kobieta nie znajduje swojego odpowiednika. Oprócz tego mężczyźni obserwują postęp w edukacji względem poprzednich pokoleń wśród koleżanek, sióstr i to po obu stronach rodzi frustrację. Z jednej strony kobiety nie widzą w mężczyznach ciekawych partnerów, z drugiej mężczyźni widzą, że kobiety robią względem nich postęp. To problem masowy i tak trzeba definiować lukę edukacyjną" – wyjaśniał zjawisko podczas Kongresu 590 Michał Gulczyński, doktorant w dziedzinie polityki publicznej i administracji na Uniwersytecie Bocconiego w Mediolanie, który prowadzi badania na temat płci i demografii w polityce.

– W Polsce więcej kobiet niż mężczyzn zdobywa wyższe wykształcenie. Jednocześnie wiemy, że w przypadku doboru życiowego partnera kobiety szukają mężczyzn o podobnym lub wyższym statusie społecznym. To zwyczajnie oznacza,

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Fot. Shutterstock

że brakuje panów, którzy spełnialiby oczekiwania pań. Z wykształceniem wiąże się sposób spędzania wolnego czasu i określony styl życia. Kobiety, które wyjeżdżają na studia i zostają później w dużych aglomeracjach, mają inne zainteresowania, rozrywki i przyzwyczajenia, niż mężczyźni, którzy zostają w małej miejscowości i kończą edukację na poziomie średnim bądź zawodowym. Mimo że w ostatnich latach różnice zarobków między największymi miastami a resztą Polski zmniejszyły się i mężczyźni często osiągają zarobki porównywalne z wynagrodzeniem koleżanek z wyższym wykształceniem, to jednak ich status społeczny jest postrzegany jako niższy, a zatem światy młodych kobiet i młodych mężczyzn niejako się rozchodzą – tłumaczył w rozmowie ze mną Michał Kot, dyrektor Instytutu Pokolenia.

BRATANKI TEŻ MAJĄ TAKI PROBLEM

Podobna luka występuje na Węgrzech, o czym informował portal OKO.press. Problem wybrzmiał w raporcie opublikowanym przez węgierski NIK. Dokument opisał dziennik „Népszava", informując, że na Węgrzech jest więcej kobiet z wyższym wykształceniem niż mężczyzn, a odsetek tej proporcji na studiach wyższych stale rośnie. Autorzy raportu twierdzą m.in., że więcej wykształconych kobiet powoduje, że z mniejszym prawdopodobieństwem znajdą partnera, co może negatywnie wpłynąć na dzietność. Również w Polsce kobiety częściej w poszukiwaniu wysokiej jakości edukacji i pracy migrują z mniejszych ośrodków do większych miast. Doprowadziło to do sytuacji, w której w metropoliach jest nadreprezentacja kobiet, a w małych ośrodkach – mężczyzn.

Luka edukacyjna stała się więc istotnym czynnikiem wpływającym na poziom dzietności w Polsce. Temat okazuje się o tyle znaczący dla polskiej demografii, że zaczęto go zgłębiać, badać i szukać rozwiązań. Zjawisko opisano m.in. w Strategii Demograficznej 2040, którą przyjął polski rząd. W podrozdziale zatytułowanym „Wyrównanie szans w edukacji", czytamy: „Mając na uwadze częstą preferencję do łączenia się w pary osób o zbliżonym poziomie wykształcenia oraz możliwości pozyskiwania odpowiednich dochodów do utrzymania rodziny, wyzwaniem jest istnienie znaczącej dysproporcji między młodymi kobietami i mężczyznami w zakresie osiągania kolejnych szczebli edukacji. Zróżnicowanie szczególnie dotyczy wykształcenia wyższego – w roku akademickim 2019–2020 absolwentami studiów wyższych w Polsce zostało 207,6 tys. kobiet i 119,7 tys. mężczyzn (przewaga kobiet nad mężczyznami wyniosła 73 proc.). W zależności od poziomu i typu wykształcenia istnieje zróżnicowanie dochodów. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w październiku 2018 r. wynosiło 6671,92 zł dla pracowników z wykształceniem wyższym, co najmniej magistra, 4285,80 zł dla pracowników z wykształceniem średnim zawodowym, a 3656,46 zł dla pracowników z wykształceniem zasadniczym zawodowym. Brak wykształcenia odpowiadającego na potrzeby rynku pracy i rodziny stanowi dla wielu młodych barierę utrudniającą założenie rodziny".

– W Polsce prawie co czwarta kobieta w wieku 40 lat nie ma dziecka. Gdyby miały one tyle dzieci, ile deklarują, że chciałyby mieć, to wówczas zbliżalibyśmy się do wskaźnika dzietności na poziomie 2,0. W badaniach naukowych był podejmowany temat powodów bezdzietności. Okazuje się, że tylko dla mniej więcej 10 proc. kobiet z tej grupy to kwestia życiowego wyboru. Większość za powód podawała niemożliwość znalezienia odpowiedniego życiowego partnera i kwestie zdrowotne. I to są główne powody niskiej dzietności w naszym kraju – nie ma wątpliwości dyrektor Instytutu Pokolenia.

Według Michała Gulczyńskiego problem luki edukacyjnej to nie tylko kwestia indywidualnych wyborów jednostek, lecz także szerszego zjawiska, które jest wyzwaniem dla państwa. „Problem nie zaczyna się w wieku lat 19, ale znacznie wcześniej, na etapie wyboru szkoły ponadpodstawowej. Do liceum idzie ok. 30 proc. chłopców i ok. 50 proc. dziewcząt. I już wtedy mamy rozbieżność. A ta rozbieżność to efekt wcześniej osiąganych wyników nauczania. Już w podstawówce widzimy, że chłopcy i dziewczęta mają średnio podobne wyniki z matematyki i przyrody. A w przypadku języka polskiego różnica między płciami wynosi ok. 9 pp. na korzyść dziewcząt. To już bardzo znacząca rozbieżność. Na podstawie tych wyników młodzi ludzie są kierowani na odpowiednie ścieżki edukacji – tłumaczył ekspert podczas Kongresu 590. – Te różnice dotyczą zwłaszcza chłopców z niższych klas społecznych, ze słabszych szkół, z obszarów peryferyjnych".

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Z jednej strony to kwestia wzorców kulturowych, z drugiej jednak strony wszelkie działania państwa związane z wyrównywaniem szans edukacyjnych mogą w długim terminie mieć wpływ na demografię.

BARDZIEJ SAMOTNI

Mężczyźni statystycznie częściej kończą edukację na wcześniejszym etapie, osiągają średnio gorsze wyniki na wszystkich poziomach edukacji, a to często przekłada się na fakt, że gorzej radzą sobie w różnych aspektach życia dorosłego. To jeden z powodów, dla których mężczyźni częściej niż kobiety odczuwają samotność, o czym informuje Instytut Pokolenia w raporcie pt. „Poczucie samotności wśród dorosłych Polaków". Z opracowania wynika, że większość badanych Polaków odczuwa samotność – 54 proc. z nich uzyskało wynik na zrewidowanej skali samotności R-UCLA powyżej średniej dla populacji badanych (42,16). Z danych uzyskanych na skali wynika, że to mężczyźni doświadczają większego poczucia samotności niż kobiety: 42,99 dla mężczyzn, 41,45 dla kobiet. Co więcej, okazuje się, że grupą doświadczającą samotności najczęściej są młodzi mężczyźni: 65 proc. mężczyzn w wieku 25–34 lat oraz 57 proc. mężczyzn do 24. roku życia uzyskało wynik na skali samotności wyższy od średniej (odpowiednio 46,09 i 47,29). Jeśli spojrzymy na miejsce zamieszkania badanych, okazuje się, że mieszkańcy największych miast (powyżej 500 tys.) najczęściej doświadczają wysokiego poziomu poczucia samotności (41 proc.), taki sam odsetek osób odczuwających samotność, ale na niskim poziomie, znajdziemy wśród mieszkańców miast średniej wielkości (100–199 tys.).

Zdaniem ekspertów poczucie osamotnienia wśród Polaków, w tym młodych, to m.in. wynik dostępu do internetu i tego, że wiele aktywności życiowych przeniosło się ze świata rzeczywistego do wirtualnego. A przecież relacje budowane w świecie cyfrowym są powierzchowne i rzadko kiedy przechodzą w bliskie kontakty, które mogłyby skutkować przyjaźnią, miłością, a tym bardziej założeniem rodziny. Autorzy raportu zwracają uwagę, że wzrost tempa rozpadu więzi społecznych wśród ludzi młodych obserwujemy mniej więcej od 2012 r., kiedy to upowszechniły się smartfony pozwalające na nieustające bycie online. Dzisiejsze pokolenie 20-latków to osoby, które nie pamiętają świata bez smartfona, a to się przekłada bezpośrednio na ich życie towarzyskie. Do tego dochodzi automatyzacja życia i możliwość załatwienia wielu spraw przez internet, a więc możliwości zawarcia bezpośrednich znajomości jest po prostu mniej.

ŚWIATŁO W TUNELU?

Im kobiety są lepiej wykształcone, tym większa jest ich aktywność zawodowa. W II kwartale 2022 r. najwyższy poziom wskaźnika zatrudnienia kobiet (20–64 lata) odnotowano wśród pań z wykształceniem wyższym 87,9 proc. (w I kwartale 2020 r. – 86,5 proc.). Dla kobiet z wykształceniem średnim i policealnym wskaźnik ten wyniósł 62,3 proc. (I kwartał 2020 r. – 58,2 proc.), a z wykształceniem gimnazjalnym i niższym 35,4 proc. (w I kwartale 2020 r. – 31,9 proc.). W ciągu ostatniej dekady wzrost wskaźnika zatrudnienia kobiet (20–64 lata) w podziale na wykształcenie nastąpił we wszystkich grupach, a najwyższy wśród kobiet z wykształceniem wyższym: urósł o 7,9 proc.

> W Polsce więcej kobiet niż mężczyzn zdobywa wyższe wykształcenie. A w przypadku doboru życiowego partnera kobiety szukają mężczyzn o podobnym lub wyższym statusie społecznym. To zwyczajnie oznacza, że brakuje panów, którzy spełnialiby oczekiwania pań

Niestety, światy kobiet i mężczyzn rozjeżdżają się w ostatnich latach nie tylko na płaszczyźnie wykształcenia, lecz także na płaszczyźnie geograficznej. Poza dużymi miastami więcej jest miejsc pracy dla mężczyzn niż dla kobiet, w szczególności dla kobiet z wyższym wykształceniem. Jednym z pomysłów na częściowe wyjście z tej patowej sytuacji może być popularyzacja pracy zdalnej.

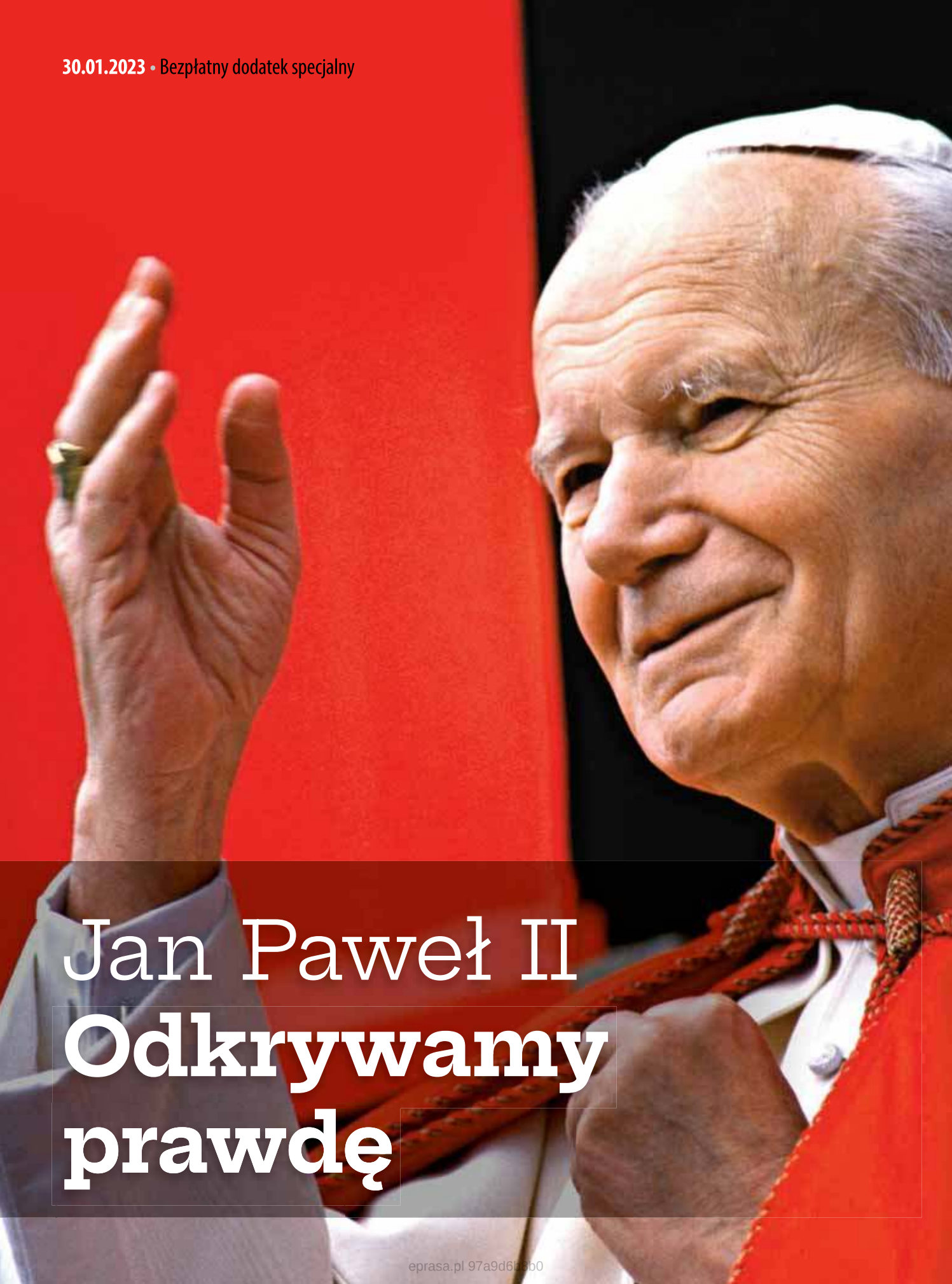
– W mniejszych ośrodkach jest zdecydowanie mniej atrakcyjnych miejsc pracy dla kobiet. Stąd ogromna migracja młodych kobiet do dużych aglomeracji, bo tam jest szansa na znalezienie ciekawej pracy, szansa na rozwój. Dlatego w rozwoju rozproszonej pracy zdalnej upatruję szansy na to, że atrakcyjne dla pań miejsca pracy powstaną nie tylko w dużych aglomeracjach. Wówczas kobiety nie będą musiały tak masowo wyjeżdżać lub przynajmniej po studiach będą mogły wrócić w rodzinne strony i będą miały szansę na atrakcyjną pracę – tłumaczyła mi Barbara Socha, wiceminister rodziny i polityki społecznej, pełnomocnik rządu ds. polityki demograficznej, w studiu wPolsce.pl.

– Praca zdalna w połączeniu z coraz lepszą siecią drogowo-komunikacyjną w Polsce daje szansę na pracę hybrydową. Jeśli nie musimy codziennie dojeżdżać 100 czy 200 km do pracy, a wystarczy np. raz czy dwa w tygodniu, to wówczas bardzo poszerza się obszar, w którym można mieszkać i założyć rodzinę – dodaje Michał Kot.

W debacie publicznej, zwłaszcza ze strony środowiska feministycznego, często słyszymy argument o konieczności wyrównywania szans kobiet i mężczyzn z naciskiem na kobiety. Jednak gdy patrzymy na problem luki edukacyjnej, warto postawić sobie pytanie, kiedy ktoś na serio zajmie się wyrównywaniem szans chłopców i młodych mężczyzn. I to wcale nie jest prima aprilis.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

30.01.2023 • Bezpłatny dodatek specjalny



Jan Paweł II
Odkrywamy prawdę

eprasa.pl 97a9d6b6b0

W OBRONIE ŚWIĘTEGO

Żadne słowa nie mają takiej siły oddziaływania jak przykład. Mogą się stać inspiracją do działania, ale to czyny tworzą historię, a ta uczy, że mali wzorują się na wielkich. Mądrość wzbudza bowiem podziw, a ten skłania do naśladowania. Bycie autorytetem, przewodnikiem, liderem zazwyczaj sprawia, że człowiek jest nie tylko naśladowany, podziwiany, szanowany – ale także bacznie obserwowany. Każdy jego krok, każda wypowiedź czy decyzja są oceniane i osądzane.

Dla wielu z nas takim właśnie autorytetem był i pozostanie Jan Paweł II. Być może wynika to z osobistych spotkań z papieżem, który z niebywałą przenikliwością patrzył człowiekowi w oczy i rozmawiał z nim jak równy z równym, bez pośpiechu, z życzliwością i zainteresowaniem. Być może to wynik słuchania Ojca Świętego, gdy staliśmy w wielkim tłumie, chłonęliśmy z zachwytem jego wymagające słowa, a dłonie bolały nas od oklasków. Jak mogło więc w ojczyźnie świętego papieża dojść do tak bezprecedensowego ataku na jego osobę, jaki obecnie obserwujemy? Ten medialny spektakl, rozpisany na role, rozłożony w czasie, reżyserowany z dużą wprawą, mami nas obietnicą ujawnienia prawdy. Jakże przykre jest to, że tak wielu ludzi dało się zwieść... Jeśli pozwalamy wycinać z naszej rzeczywistości kolejne autorytety, to jaki świat budujemy? Pustynny pejzaż, w którym nihilizm, cynizm i wrogość staną się naszą codziennością, a co gorsza, będą się jawić jako propozycje wychowawcze...

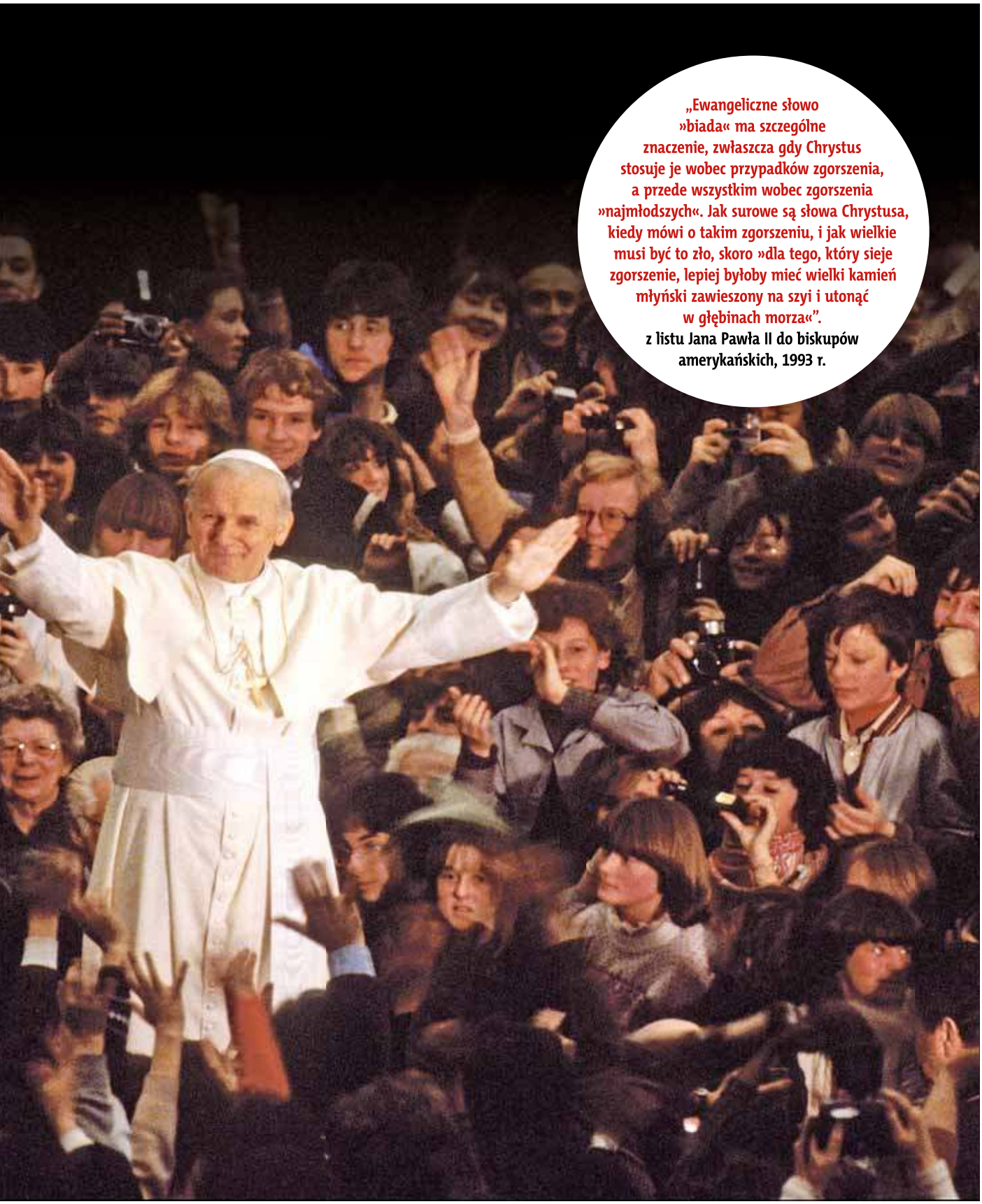
Nie możemy pozostać obojętni wobec oskarżania św. Jana Pawła II o to, że nie reagował na nadużycia seksualne w Kościele katolickim. Zarzuty te nie są poparte żadnymi wiarygodnymi dowodami; są opiniami czy wręcz pomówieniami niewytrzymującymi konfrontacji z faktami. Publikacja trzech tygodników katolickich, w której realizację włączyli się też inni dziennikarze i inne redakcje, jest odpowiedzią na te oskarżenia. Ukazujemy problem z wielu perspektyw, nie uciekając od trudnych zagadnień. Wskazujemy niewiarygodność zarzutów, ich ahistoryczność oraz kontekst cywilizacyjny, a także działania papieża Polaka zmierzające do oczyszczenia Kościoła. Kreślimy również duchową sylwetkę Karola Wojtyły. Jesteśmy przekonani, że tak szerokie podejście do tematu potwierdzi bezpodstawność oskarżeń i pozwoli czytelnikom zrozumieć intencje, jakie za nimi stoją.

Ojciec Święty Franciszek nazwał Jana Pawła II wielkim. Ta wielkość wynika nie z tego, że papież z Polski zmienił historię jako znakomity polityk i wybitny dyplomata, lecz z tego, że zmienił on historię jako duszpasterz, nauczyciel, świadek i autorytet. Pamiętajmy o tym, gdy kolejny raz ktoś będzie się zajmował wyłącznie rysami na wizerunku świętego.

REDAKTORZY NACZELNI:
ks. Jarosław GRABOWSKI, „NIEDZIELA”
ks. Adam PAWLASZCZYK, „GOŚĆ NIEDZIELNY”
ks. Henryk ZIELIŃSKI, „IDZIEMY”



eprasa.pl 97a9d6b8b0



„Ewangeliczne słowo »biada« ma szczególne znaczenie, zwłaszcza gdy Chrystus stosuje je wobec przypadków zgorszenia, a przede wszystkim wobec zgorszenia »najmłodszych«. Jak surowe są słowa Chrystusa, kiedy mówi o takim zgorszeniu, i jak wielkie musi być to zło, skoro »dla tego, który sieje zgorszenie, lepiej byłoby mieć wielki kamień młyński zawieszony na szyi i utonąć w głębinach morza«”.
z listu Jana Pawła II do biskupów amerykańskich, 1993 r.

JACQUES HAILLOT /L'EXPRESS/EDITING/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Dlaczego Jan Paweł II jest atakowany

Dyskredytowanie osoby papieża Polaka przez zarzucanie mu, że tuszował przypadki pedofilii i systemowo lekceważył to haniebne zjawisko w Kościele katolickim, jest w istocie atakiem na jego nauczanie.

Mechanizm wydaje się oczywisty: skoro osoba jest niewiarygodna, to i jej nauczanie nie zasługuje na wiarygodność. A lista zarzutów środowisk liberalnych i lewicowych wobec Jana Pawła II jest długa.

Na istotę kontestacji i krytyki Ojca Świętego zwrócili uwagę w swoim niedawnym oświadczeniu członkowie Rady Stałej KEP, podkreślając, że przyczyną medialnego ataku na św. Jana Pawła II i jego pontyfikat jest m.in. nastawienie wobec jego nauczania, wyrażonego chociażby w encyklikach *Redemptor hominis i Veritatis splendor*, a także wobec głoszonej przez niego teologii ciała, „co nie odpowiada współczesnym ideologiom propagującym hedonizm, relatywizm i nihilizm moralny". Pretekst do ogromnego ataku na osobę papieża stanowi to, że jego nauczanie „staje w poprzek tego, co jest subiektywizmem i relatywizmem" – dopowiada kard. Kazimierz Nycz.

Nauczanie św. Jana Pawła II pozostanie zawsze niewygodne dla ideologii niezgodnych z chrześcijańską antropologią, która opiera się na przekazie biblijnym.

WIZJA CZŁOWIEKA I OBRONA ŻYCIA

Istotą sporu jest całkowicie odmienna wizja człowieka, a nie, jak twierdzą oponenci, to że Ojciec Święty „kneblował usta niepokornym teologom" czy mianował biskupów według zasady „bierny, ale wierny". Kluczowym zagadnieniem wydaje się pojęcie wolności, z której – jak zauważa papież w encyklice *Veritatis splendor* – pewne nurty myśli współczesnej czynią absolut będący źródłem wartości. „Sumieniu indywidualnemu przyznaje się prerogatywy najwyższej instancji osądu moralnego, która kategorycznie i nieomylnie decyduje o tym, co jest dobre, a co złe" (n. 32). Absolutyzowanie wolności jest zagrożeniem dla respektowania prawa Bożego, które stanowi uniwersalną i obiektywną normę moralności – przestrzega Jan Paweł II.

Drastycznym tego przejawem jest podejście we współczesnej kulturze do problemu obrony życia. Jak pisze Ojciec Święty w encyklice *Evangelium vitae*, w dzisiejszych czasach pierwotne i niezbywalne prawo do życia staje się przedmiotem publicznej dyskusji, a nawet może być zanegowane na mocy głosowania w parlamencie lub z woli części społeczeństwa. Jego zdaniem jest to przejaw nieograniczonego panowania relatywizmu. Jan Paweł II dowodzi: „W ten sposób demokracja, sprzeniewierzając się własnym zasadom, przeradza się w istocie w system totalitarny. Państwo nie jest już »wspólnym domem«, gdzie wszyscy mogą żyć zgodnie z podstawowymi zasadami równości, ale przekształca się w państwo tyrańskie, uzurpujące sobie prawo do dysponowania życiem słabszych i bezbronnych" (n. 20).

Jan Paweł II był i jest atakowany przez środowiska proaborcyjne i feministyczne właśnie za bezkompromisową obronę życia. Ma również wrogów w „zorganizowanym sprzysiężeniu", o którym pisze w encyklice *Evangelium vitae*. Obejmuje ono „instytucje międzynarodowe, fundacje i stowarzyszenia, które prowadzą programową walkę o legalizację i rozpowszechnienie aborcji na świecie" (n. 59). Do tego należy dodać przemysł farmaceutyczny, gdyż – jak zauważa papież – inwestuje on ogromne fundusze w produkcję środków, które pozwalają na zabicie dziecka w łonie matki.

Jan Paweł II poddaje bezwzględnej krytyce prawodawstwo państw legalizujących aborcję. Nazywa to „niepokojącym przejawem, a zarazem jedną z istotnych przyczyn poważnego kryzysu moralnego: czyny jednomyślnie uważane niegdyś za przestępcze i w powszechnym odczuciu moralnym niedopuszczalne zyskują stopniowo społeczną aprobatę" (n. 4). Wniosek, do którego dochodzi Jan Paweł II w *Evangelium vitae*, jest druzgocący dla fenomenu wolności, którą szczycą się państwa demokratyczne: „Rewindykacja prawa do przerywania ciąży, dzieciobójstwa i eutanazji oraz prawne jego uznanie jest równoznaczne z przyjęciem wynaturzonej i nikczemnej wizji ludzkiej wolności: z uznaniem jej za absolutną władzę nad innymi i przeciw innym. To jednak oznacza śmierć prawdziwej wolności" (n. 20). Tak wyostrzone widzenie problemu obrony ludzkiego życia uzasadniało rozwijanie w nauczaniu papieskim krytyki „cywilizacji śmierci" lub „kultury śmierci", której przeciwstawiał afirmującą życie „cywilizację miłości".

eprasa.pl 97a9d6b8b0



MAURO GALLIGANI / FAST NEWS

„TEOLOGIA MĘSKOŚCI I KOBIECOŚCI”

Na celowniku ideologów gender znalazło się papieskie nauczanie o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny. „Istoty ludzkie, stworzone jako mężczyzna i niewiasta, zostały stworzone dla jedności, (...) właśnie ta jedność, przez którą stają się »jednym ciałem«, ma od początku charakter zjednoczenia, które wypływa z wyboru” – powiedział Jan Paweł II podczas audiencji generalnej 21 listopada 1979 r. To nauczanie idzie w poprzek współczesnym tendencjom, które uznają tradycyjne małżeństwo za jedną z wielu propozycji i usiłują zredefiniować rodzinę jako związek kobiety i mężczyzny, przy jednoczesnej nachalnej promocji związków homoseksualnych. „W żadnych okolicznościach – podkreślił Jan Paweł II 16 czerwca 1999 r. w Starym Sączu – wartość małżeństwa, tego nierozerwalnego związku miłości dwóch osób, nie może być podawana w wątpliwość”.

Kontestację nie tylko w kręgach wrogich Kościołowi, ale także w części środowisk katolickich na Zachodzie budzi cykl katechez pt. „Mężczyzną i niewiastą stworzył ich”. Stały się one podstawą słynnej teologii ciała, która jest – jak dopowiedział Jan Paweł II – „teologią płci lub raczej teologią męskości i kobiecości”. Jej istotę wyraża teza, że stworzenie przez Boga człowieka mężczyzną i kobietą ukazuje nie tyle różnicę, ile komplementarność obu płci. Oznacza to, że nie można zrozumieć męskości bez odniesienia do kobiecości i odwrotnie. Papież wskazywał, że seksualność ma wymiar twórczy, o ile rozwija męskość i kobiecość w miłości, we wzajemnej relacji miłości i we wzajemnym obdarowywaniu.

Zaprzeczeniem takiej postawy jest pożądanie, które zaciera osobowy sens ciała. „Kobiecość dla męskości przestaje być nade wszystko wyrazem osobowego podmiotu, przestaje być swoistą mową ludzkiego ducha, traci wymowę znaku” – powiedział Jan Paweł II podczas katechezy 17 września 1980 r. Teologia ciała to wyzwanie rzucone permisywizmowi, hedonizmowi, konsumizmowi i egoizmowi, którym Jan Paweł II powiedział stanowcze „nie” już w swojej pierwszej encyklice.

ZNAK SPRZECIWU

Nauczanie papieża pozostanie zawsze niewygodne dla ideologii niezgodnych z chrześcijańską antropologią, która opiera się na przekazie biblijnym. Jan Paweł II, który uważał, że „przyszłość ludzkości idzie przez rodzinę”, i pogłębił nauczanie o rodzinie w tradycyjnym rozumieniu, zwłaszcza w adhortacji apostolskiej *Familiaris consortio* i „Liście do rodzin”, nie przestanie być dla wyznawców tych ideologii głównym celem ataków. Przesłanie papieża Polaka zawsze będzie znakiem sprzeciwu dla koncepcji osoby ludzkiej nieodnoszących się do Boga, dla których „jedynym bogiem człowieka jest sam człowiek”. Cytat ten pochodzi z rekolekcji kard. Karola Wojtyły zatytułowanych właśnie „Znak sprzeciwu”. Wygłosił je w marcu 1976 r. dla Pawła VI i Kurii Rzymskiej. Niedługo potem, już jako Jan Paweł II, podjął misję, w którą wpisane jest bycie znakiem sprzeciwu.

Grzegorz POLAK, PUBLICYSTA „NIEDZIELI”

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Oskarżyciele św. Jana Pawła II, twierdząc, że przyzwalał na pedofilię w Kościele katolickim, posługują się kilkoma przykładami, które mają być dowodem na ich zarzuty.



Oskarżenia b

Wszystkie sprawy, w których pojawiają się oskarżenia wobec Jana Pawła II w związku z jego działaniami wobec przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych, zostały szczegółowo zbadane i opisane, a poddane wnikliwej analizie zarzuty okazywały się pozbawione wiarygodnych podstaw. Jeśli pojawią się nowe, z pewnością również tak będzie. Tymczasem przyjrzyjmy się dwóm najczęściej przypominanym przypadkom, aby pokazać bezpodstawność oskarżeń.

MARCIAL MACIEL DEGOLLADO

Jednym z najgłośniejszych jest przypadek Marciala Maciela Degollado z Meksyku, założyciela zgromadzenia Legionistów Chrystusa. Przez dziesięciolecia molestował on seksualnie dzieci i seminarzystów. Do tego prowadził podwójne, a właściwie potrójne życie, używał kilku tożsamości, jako ksiądz miał dzieci z dwiema kobietami, które o sobie nie wiedziały. Wśród jego ofiar był własny syn. Nie ulega wątpliwości, że Degollado był seksualnym zbrodniarzem, który powinien znaleźć się w więzieniu, a nie w strukturach Kościoła, gdzie pełnił ważne funkcje, np. eksperta trzech Światowych Synodów Biskupów w Watykanie.

Oskarżyciele Jana Pawła II twierdzą, że papież musiał wiedzieć o zbrodniach Maciela, a mimo to go nie ukarał, a wręcz krył. Aby udowodnić swoje tez y, zestawiają ze sobą różne wydarzenia, które pasują do ich wersji, nie mając jednak żadnych dowodów na ich poparcie. Rozpowszechniają jedynie tendencyjne interpretacje czy wręcz insynuacje.

Jan Paweł II poznał Degollado w czasie pierwszej pielgrzymki do Meksyku w 1979 r. Maciel przedstawił się papieżowi jako ofiara prześladowania Kościoła w tym kraju, dzięki czemu udało mu się pozyskać zaufanie Jana Pawła II, który miał podobne doświadczenia. Był osobą bardzo wpływową, założone przez niego zgromadzenie dynamicznie się rozwijało, a on sam w środowisku kościelnym w Meksyku był uważany niemal za świętego. Często bywał w Watykanie i był przyjmowany przez Jana Pawła II. Na pół roku przed swoją śmiercią Ojciec Święty pobłogosławił Maciela z okazji jubileuszu 60-lecia jego kapłaństwa.

Po raz pierwszy zarzuty pedofilii wobec Degollado zostały publicznie sformułowane i poparte dowodami przez dziennikarzy meksykańskiej telewizji w 1997 r. Nuncjusz w Meksyku poinformował o nich watykański Sekretariat Stanu, którym kierował wówczas kard. Angelo Sodano. Watykan wszczął śledztwo, ale zostało ono wstrzymane. Światło na tę sprawę rzuca wypowiedź papieża Franciszka z 2019 r., gdy w czasie podróży z Abu Zabi ujawnił, że kard. Ratzinger próbował rozwiązać problem, lecz po spotkaniu przedstawicieli różnych dykasterii Kurii Rzymskiej w 1999 r., na którym omawiano przypadek Degollado, miał powiedzieć z rezygnacją: „wygrała druga strona". Oznaczało to, że zwyciężyła opcja, która uważała Degollado za bohatera i ofiarę spisku, a akta sprawy zostały odesłane do archiwum. Jan Paweł II nie uczestniczył w tym spotkaniu. I to nie papież, ale kurialiści rzymscy postanowili zawiesić dochodzenie. Jeśli nawet Ojciec Święty wiedział o zarzutach, po tej decyzji uznał, że nie zostały one udowodnione.

Krótko przed śmiercią Jana Pawła II kard. Ratzinger zdołał przedstawić mu szczegóły sprawy Maciela. Papież zlecił wówczas wznowienie śledztwa. Kardynał Ratzinger wysłał do Meksyku promotora sprawiedliwości Kongregacji Nauki Wiary ks. Charlesa Sciclunę, aby przeprowadził śledztwo. Gdy kardynał dotarł do Meksyku, Jan Paweł II już nie żył, jednak Ratzinger polecił ks. Sciclunie kontynuowanie dochodzenia. W 2006 r. Watykan nakazał 86-letniemu wówczas Degollado zaprzestać „wszelkiej posługi publicznej" i wezwał do „życia w odosobnieniu na modlitwie i pokucie". Zaawansowany wiek pedofila mógł być powodem niewszczęcia przeciwko niemu procesu kanonicznego. Dwa lata później Maciel zmarł.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



MASSIMO CAPODANNO /AFP PHOTO /EAST NEWS

ez pokrycia

THEODORE MCCARRICK

Równie głośną sprawą jest przypadek kard. Theodore-'a McCarricka, który przez dziesięciolecia wykorzystywał seminarzystów i nieletnich chłopców. Janowi Pawłowi II zarzuca się, że mianował go metropolitą waszyngtońskim, mimo że wiedział o jego przestępstwach.

McCarrick był powszechnie znany w Stanach Zjednoczonych i uważany za jednego z najbardziej wpływowych hierarchów w Kościele. Utrzymywał kontakty z wieloma politykami najwyższej rangi. Przez lata jego przestępstwa seksualne nie były znane. Dopiero w 2018 r. jedna z ofiar oskarżyła go o molestowanie, które miało miejsce kilkadziesiąt lat wcześniej. Pedofilskie praktyki McCarricka szczegółowo opisał „The New York Times". Powołana przez archidiecezję nowojorską specjalna komisja uwiarygodniła otrzymane infor macje i przekazała sprawę do Watykanu, który wszczął śledztwo. W jego wyniku uznano McCarricka za winnego przestępstw seksualnych przeciwko dorosłym i nieletnim. Oskarżony zrzekł się godności kardynalskiej, a w 2019 r. został wydalony ze stanu duchownego. W USA trwa jego proces przed sądem cywilnym.

W październiku 2018 r. papież Franciszek zlecił przygotowanie raportu dotyczącego działań watykańskich instytucji wobec byłego kardynała. Raport opublikowano w 2020 r. Wynika z niego, że Jan Paweł II został poinformowany o zarzutach wobec McCarricka. Przed jego nominacją na arcybiskupa w 1999 r. otrzymał on list od kard. Johna Josepha O'Connora, w którym opisane zostały zarzuty wobec McCarricka. Kardynał O'Connor zastrzegł jednak, że nie są one potwierdzone. Mimo to nazwisko oskarżonego zostało usunięte z listy kandydatów, a Jan Paweł II nakazał wyjaśnienie sprawy. O ustosunkowanie się do zarzutów zostali poproszeni czterej biskupi, którzy współpracowali z McCarrickiem w USA. Żaden ich nie potwierdził. Do tego McCarrick przekazał Janowi Pawłowi II list, w którym przysięgał na Boga, że jest niewinny. Papież uwierzył mu, zwłaszcza że nie miał dowodów potwierdzających oskarżenia, i w październiku 2000 r. mianował arcybiskupem Waszyngtonu, a kilka miesięcy później kardynałem. Oceniając te decyzje Jana Pawła II, trzeba mieć na uwadze, że darzył on księży i biskupów wielkim zaufaniem i w żadnym razie nie mógł podejrzewać z ich strony kłamstw. Niestety został okłamany, a przestępstwa McCarricka były tak skutecznie tuszowane, że nawet w USA przez blisko pół wieku ich nie odkryto.

STRATEGIA POMÓWIEŃ

Wysuwane publicznie oskarżenia przeciwko Janowi Pawłowi II dotyczą tych samych przypadków i nie ma w nich żadnych nowych dowodów, co najwyższej zmienia się sposób przekazu. Na przykład w wydanej kilka tygodni temu oskarżycielskiej wobec Karola Wojtyły książce Marcina Gutowskiego „Bielmo" autor uderza w emocjonalny ton. Wysłuchuje opowieści osób skrzywdzonych przez McCarricka, które opowiadają o swojej traumie. To wywołuje współczucie, co jest zrozumiałe, bo przecież niewątpliwie doznały potwornej krzywdy, tyle że odpowiedzialność za tę krzywdę jest przenoszona ze sprawcy na Jana Pawła II. Innym zabiegiem jest przedstawianie prywatnych opinii, które nie zgadzają się z faktami, ale uderzają w Jana Pawła II. W „Bielmie" autor przytacza słowa Thomasa Doyle'a, który pomagał ofiarom Degollado złożyć pozew kanoniczny w Watykanie. Otrzymał on informacje od prawnika prowadzącego sprawę, że proces został zablokowany. Na pytanie Głutowskiego, przez kogo, Dolye odpowiada: „Przez papieża, przez Jana Pawła II. On był jedynym, który mógł to zrobić". Tymczasem wiadomo, że to nie papież wstrzymał proces, o czym zresztą autor pisze w innym miejscu.

Nie można nieprawdy i insynuacji pozostawić bez odpowiedzi. Aby prawda zwyciężyła, musi być ukazywana.

Trudność w obronie Jana Pawła II wynika ze znanego mechanizmu, że łatwiej jest rzucić oskarżenie, niż się przed nim bronić, gdyż odparcie zarzutów zawsze wymaga obszernych wyjaśnień. Jednak nie można nieprawdy i insynuacji pozostawić bez odpowiedzi. Aby prawda zwyciężyła, musi być ukazywana.

Bogumił ŁOZIŃSKI, PUBLICYSTA „GOŚCIA NIEDZIELNEGO"

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Pułapka ahistoryczności

Reakcji Jana Pawła II na stopniowo ujawniane przypadki pedofilii wśród duchownych nie wolno oceniać w oderwaniu od kontekstu historycznego, w jakim do tych przestępstw dochodziło.

Dziś wiele mediów, zwłaszcza lewicowo-liberalnych, krytykuje Jana Pawła II za jego stosunek do pedofilii wśród duchownych. Publicyści podejmujący ten temat, opowiadając o wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lub nawet kilkunastu lat, najczęściej popełniają błąd ahistoryzmu, interpretując fakty i zjawiska w oderwaniu od ich ówczesnego kontekstu historycznego. Rzutują naszą obecną wiedzę, świadomość i wrażliwość na czasy minione, tak jakby nie różniły się one niczym od teraźniejszości. A przecież jeszcze w latach 70. i 80. XX w. pedofilia była tolerowana i zachwalana w środowiskach europejskiej lewicy.

TRUBADURZY PEDOFILII

Kiedy w 1977 r. Roman Polański zgwałcił 13-letnią Samanthę Gailey, a rok później musiał uciekać przed wymiarem sprawiedliwości z USA, nie spotkał się z tego powodu z powszechnym ostracyzmem społecznym czy medialnym potępieniem. Podróżował swobodnie po świecie, kręcił filmy, dostawał prestiżowe nagrody. Dziś podobny czyn złamałby karierę niejednej gwieździe kina, ale wtedy było to na Zachodzie, zachłyśniętym rewolucją seksualną, częścią obyczajowej normy.

Pokazuje to przykład jednego z liderów europejskiej nowej lewicy Daniela Cohn-Bendita, który w 1975 r. w autobiograficznej książce „Le Grand Bazar" opisywał swoje kontakty z dziećmi z „alternatywnego" przedszkola we Frankfurcie nad Menem. Wyznawał: „Mój ciągły flirt z dziećmi szybko przyjął charakter erotyczny. Te małe pięcioletnie dziewczynki już wiedziały, jak mnie podrywać. Kilka razy zdarzyło się, że dzieci rozpięły mi rozporek i zaczęły mnie głaskać. Ich życzenie było dla mnie problematyczne. Jednak często mimo wszystko i ja je głaskałem...".

26 stycznia 1977 r. francuski dziennik „Le Monde" opublikował petycję, której sygnatariusze domagali się prawnego obniżenia wieku współżycia seksualnego do lat 12, co w praktyce oznaczałoby legalizację pedofilii. Pod pismem podpisali się tacy koryfeusze ówczesnego życia umysłowego jak Louis Althusser, Louis Aragon, Roland Barthes, Simone de Beauvoir, Gilles Deleuze, Françoise Dolto, Félix Guattari, Bernard Kouchner, Jack Lang, Jean-Paul Sartre czy Philippe Sollers. Na każdym, kto zna intelektualną historię Francji XX stulecia, zestaw tych nazwisk musi robić wrażenie.

W 1979 r. inny francuski dziennik, „Libération", opublikował tekst, w którym nazywał pedofilię „kulturą mającą na celu przełamanie burżuazyjnej tyranii, która postrzega kochanka dziecka jako legendarnego potwora". Z kolei głośny filozof i socjolog Michel Foucault (zdeklarowany homoseksualista, zmarły na AIDS, nazywany niekiedy „papieżem postmodernizmu") twierdził, że to dziecko jest „uwodzicielem, który szuka stosunku seksualnego z dorosłym".

16 listopada 1979 r. dziennik „Tageszeitung" opublikował całostronicowy manifest swojego współpracownika, a zarazem zdeklarowanego pedofila Olafa Stübena pt. „Kocham chłopców". Autor domagał się w nim „odejścia od kalekiej, narzuconej przez państwo moralności" oraz zalegalizowania stosunków seksualnych z nieletnimi. W redakcji nie dziwiło nikogo, gdy zaglądał tam czasem z jakimś młodym kochankiem. W lipcu 1981 r. udzielił on wywiadu gejowskiemu czasopismu „Rosa Flieder", określając pedofilię jako „coś zdrowego i moralnie dopuszczalnego" i dodając, że „niewinność nastolatków, która powinna bronić chłopców przed seksem, to tylko wymysł burżuazji wczesnego kapitalizmu".

Środowiskiem politycznym szczególnie otwartym na idee pedofilskie była Partia Zielonych. W jej szeregach działała wówczas Federalna Grupa Robocza Homoseksualiści Pederaści i Transseksualiści, domagająca się legalizacji stosunków seksualnych z dziećmi. Jej prace były finansowane bezpośrednio przez centralne władze ugrupowania oraz klub parlamentarny. Nic więc dziwnego, że na zjeździe Partii Zielonych w 1980 r. zażądano takich zmian w niemieckim kodeksie karnym, by pedofilia przestała być ścigana. Z takich postulatów znany był m.in. przyszły kandydat Zielonych na kanclerza RFN Jürgen Trittin czy późniejszy szef klubu parlamentarnego i jeden z najbardziej rozpoznawalnych działaczy gejowskich w Niemczech – Volker Beck, który w pracy zbiorowej „Der pädosexuelle Komplex" głosił konieczność zalegalizowania pedofilii jako wymogu współczesnych czasów. Nie była to w partii jedynie teoria, lecz także praktyka, o czym świadczą przykłady czołowych działaczy ugrupowania i seryjnych gwałcicieli dzieci: Hermana Meera czy Dietera F. Ulmanna.

Podobne przykłady można mnożyć. Nie są one dziś przywoływane, choć stanowią część historycznego kontekstu czasów, w których dochodziło do największej liczby aktów molestowania seksualnego osób nieletnich przez duchownych. Warto te fakty przypominać, ponieważ oddają one

eprasa.pl 97a9d6b8b0

atmosferę epoki, w której istniało wręcz przyzwolenie na krzywdzenie dzieci przez dorosłych.

WIZJA PRAWEGO ŻYCIA

W odróżnieniu od wspomnianych osobistości życia publicznego Jan Paweł II w ocenie tego typu zjawisk miał inne zdanie i był zawsze pryncypialny. Podejmował w tych sprawach kroki, w miarę jak wychodziły na jaw kolejne nadużycia i ujawniała się ich skala. Gdy wiosną 1993 r. wybuchł w USA skandal związany z nadużyciami seksualnymi księży wobec dzieci, papież opublikował list do biskupów amerykańskich, w którym pisał: „Ewangeliczne słowo »biada« ma szczególne znaczenie, zwłaszcza gdy Chrystus stosuje je wobec przypadków zgorszenia, a przede wszystkim wobec zgorszenia »najmłodszych«. Jak surowe są słowa Chrystusa, kiedy mówi o takim zgorszeniu, i jak wielkie musi być to zło, skoro »dla tego, który sieje zgorszenie, lepiej byłoby mieć wielki kamień młyński zawieszony na szyi i utonąć w głębinach morza«".

W 1994 r. tygodnik „Time" ogłosił Jana Pawła II Człowiekiem Roku. W uzasadnieniu napisano: „W roku, w którym tak wielu ludzi ubolewało nad upadkiem wartości moralnych albo próbowało usprawiedliwić złe postępowanie, Papież Jan Paweł II z mocą głosił swoją wizję prawego życia i wzywał świat do jej przyjęcia. Za tę niezłomność – czy też bezwzględność, jak powiedzieliby jego krytycy – został ogłoszony Człowiekiem Roku". Za wyróżnieniem przemawiała m.in. jego postawa wobec procederu pedofilii wśród duchownych.

Początkowo papież liczył, że poszczególne episkopaty same poradzą sobie ze skandalami pedofilskimi. Gdy okazało się, że to nie działa, a skala zjawiska jest większa, niż przypuszczano, zaczął podejmować kolejne działania. Ich zwieńczeniem było stworzenie systemowego mechanizmu zwalczania pedofilii na poziomie Watykanu. 30 kwietnia 2001 r. papież opublikował list apostolski *Sacramentorum sanctitatis tutela*, który przewidywał, że „przestępstwo przeciw szóstemu przykazaniu Dekalogu, popełnione przez duchownego wobec osoby młodej, poniżej osiemnastego roku życia" należy do bezpośredniej kompetencji Kongregacji Nauki Wiary, która w takich przypadkach działa „jako trybunał apostolski". W dokumencie czytamy też, że czyny pedofilskie popełnione przez kapłanów uważane są przez Kościół za ciężkie przestępstwo, na równi z dwoma innymi ciężkimi przestępstwami (również zastrzeżonymi dla Stolicy Świętej), jakich można się dopuścić w stosunku do dwóch sakramentów: Eucharystii i przeciw świętości spowiedzi.

W latach 70. i 80. XX w. pedofilia była tolerowana i zachwalana w środowiskach europejskiej lewicy.

Zauważmy, że kiedy w 2000 r. w ramach Wielkiego Jubileuszu papież dokonał „rachunku sumienia" Kościoła, wspominając winy chrześcijan z przeszłości, przypomniał wiele grzechów, lecz ani razu nie wymienił pedofilii duchownych. Z dzisiejszego punktu widzenia najbardziej zastanawiające jest to, że nie było wtedy mediów, które wysunęłyby z tego powodu zarzut. Nikt nie oburzył się wówczas, że Jan Paweł II próbuje ukrywać lub relatywizować ów grzech. Dlaczego? Ponieważ ten problem nie istniał wtedy w świadomości zbiorowej tak jak dziś – ani w Kościele, ani w społeczeństwie, ani w mediach. Nie popełniajmy więc błędu ahistoryczności, rzutując na czasy minione naszą dzisiejszą wiedzę, świadomość i wrażliwość, których większość ludzi wtedy nie miała.

Grzegorz GÓRNY, PUBLICYSTA „SIECI"



FRATRIA

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Papieski rachunek sumienia

To paradoks, że Jan Paweł II, który jako pierwszy w dziejach papież zainicjował proces publicznego oczyszczenia Kościoła, obecnie jest oskarżany o zaniechanie w zwalczaniu grzechu pedofilii.

Ideę publicznego rachunku sumienia Kościoła Jan Paweł II podjął w ramach przygotowań do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. To była jego osobista decyzja. I wyraźna determinacja, gdyż pomysł oczyszczenia nie wszędzie spotkał się ze zrozumieniem, a nawet wywołał szok w środowiskach watykańskich.

Nie ulega wątpliwości, że moment ten stanowił przełom. Podobnie jak, w innej skali, słynny list biskupów polskich do niemieckich, w którym Karol Wojtyła miał swój udział i który zawierał słowa znaczące, a wówczas także w wielu kręgach uważane za skandaliczne: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Padły one w roku 1965 (!), a w identycznym brzmieniu papież powtórzył je 35 lat później, w roku 2000.

SILNE POCZUCIE KAIROS

Od początku pontyfikatu papieżowi towarzyszył imperatyw prymasa Wyszyńskiego: „Masz wprowadzić Kościół w trzecie tysiąclecie". Jan Paweł II zatem już od 1978 roku myślał, w jaki sposób to uczynić – zauważa papieski biograf George Weigel. Jednocześnie, przy wielu okazjach, w różnych krajach świata papież Polak wypowiadał prośby o przebaczenie win i grzechów ludzi Kościoła. W 1994 roku, w liście apostolskim *Tertio millennio adveniente* wyraźnie nakreślił cel obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000: „Gdy zatem zbliża się ku końcowi drugie tysiąclecie chrześcijaństwa, jest rzeczą słuszną, aby Kościół w sposób bardziej świadomy wziął na siebie ciężar grzechu swoich synów, pamiętając o wszystkich tych sytuacjach z przeszłości, w których oddalili się oni od ducha Chrystusa i od Jego Ewangelii i zamiast dać świadectwo życia inspirowanego wartościami wiary, ukazali światu przykłady myślenia i działania będące w istocie źródłem antyświadectwa i zgorszenia".

To właśnie papież Polak rozpoczął trudny proces oczyszczenia Kościoła, który kontynuował później Benedykt XVI, a obecnie prowadzi papież Franciszek.

Papież przyspieszał kroku, ale jego propozycja ponad 23 lata temu wywołała w Kościele wiele pytań i kontrowersji. Obawiano się na przykład, czy po publicznym wyznaniu win Kościół nie straci autorytetu. Nawet „w Kurii Rzymskiej krytycznie odnoszono się do tej papieskiej nowości, to przesłanie było niezrozumiałe dla wielu duchownych", pisali włoscy dziennikarze Giacomo Galeazzi i Gian Franco Svidercoschi („Kto się boi Jana Pawła II?"). Mimo to papież uparcie dążył do realizacji swojej idei. To jego osobiste *fiat* stało się „jego dokuczliwym wewnętrznym cierpieniem", twierdzono w Watykanie (później okazało się ono kluczem do tego pontyfikatu). Toteż z inspiracji papieża o wyraźnie silnym poczuciu *kairos* w 1999 roku powstał dokument Międzynarodowej Komisji Teologicznej, podpisany przez prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Josepha Ratzingera (później Benedykta XVI) zatytułowany „Pamięć i pojednanie. Kościół i winy przeszłości". Tekst zawierał wyjaśnienie, dlaczego i w jakiej formie Kościół może prosić o wybaczenie wcześniejszych przewinień. Miał pomóc w „otwarciu na nowe jutro", wyjaśniał sam papież.

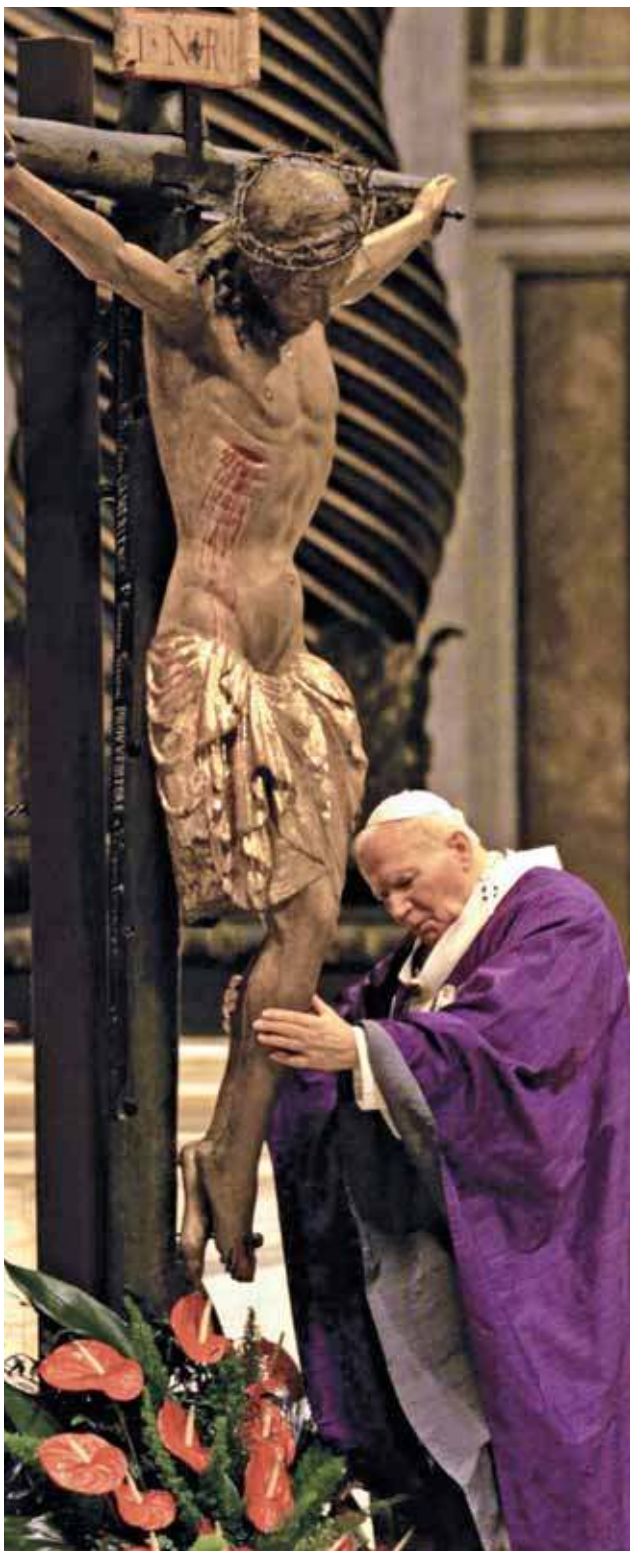
SZATAŃSKA NATURA CZYNÓW

Apogeum papieskiego *mea culpa* stanowiły wydarzenia, które w symbolicznej i przejmującej scenerii rozegrały się w bazylice św. Piotra w Watykanie 12 marca 2000 roku, w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu. Najpierw, mocno już schorowany, osiemdziesięcioletni Jan Paweł II klęczał przed wyrzeźbioną przez Michała Anioła Pietą, po czym przy śpiewie Litanii do Wszystkich Świętych przeszedł w procesji do ołtarza. Tam rozpoczął ceremonię pokutną w pobliżu XV-wiecznego krucyfiksu z kościoła San Marcello, zgodnie z tradycją czczonego w Rzymie w latach jubileuszowych. Tuż obok znajdowało się siedem świec. Każdą z nich zapalano po kolei podczas siedmiokrotnego wyznania win i grzechów ludzi Kościoła. Prośbę o przebaczenie za nie wypowiedziało pięciu kardynałów i dwóch biskupów. Na końcu każdego wezwania sam Jan Paweł II błagał jeszcze raz Boga o przebaczenie. Rozbrzmiewał śpiew *Kyrie eleison*.

Jakie winy zostały wymienione? Takie, które były „antyświadectwem w przeszłości" i które „zniekształcały oblicze Kościoła". Zaliczono do nich podziały wśród chrześcijan (wielka schizma i reformacja), winy w stosunku do Żydów, grzechy popełnione w imię prawdy (wyprawy krzyżowe, działalność inkwizycji), winy przeciw miłości, pokojowi, prawom narodów, przeciw godności kultur i religii, uderzające w godność kobiety i podstawowe prawa człowieka. Należy podkreślić, że papieski rachunek sumienia objął też grupę grzechów, określonych jako „teraźniejsze", czyli te, które wtedy, w roku 2000, wydawały się najbardziej palące i których papież miał w tamtym momencie dziejowym świadomość. To winy ateizmu, relatywizmu moralnego, obojętności religijnej, łamania prawa do życia nienarodzonych, braku wrażliwości na ubóstwo.

Na zakończenie ceremonii Jan Paweł II podszedł do krucyfiksu i ucałował znajdującą się na nim figurę Chrystusa. Stał tam dłuższą chwilę, wpatrując się w wizerunek Ukrzyżowanego. Postawa papieża nadawała głębię jego działaniu

eprasa.pl 97a9d6b8b0



BRAMBATTI/EPA/PAP

12 marca 2000 roku, w I Niedzielę Wielkiego Postu, podczas Eucharystii w bazylice watykańskiej Jan Paweł II prosił Boga o przebaczenie grzechów popełnionych przez ludzi Kościoła w przeszłości oraz współcześnie. Było to jedno z najważniejszych wydarzeń Wielkiego Jubileuszu.

i aż „krzyczała", że ten akt pokuty stanowił głęboko ewangeliczny gest. Wymowa tej liturgii była więc oczywista: wydarzenia *ad extra* wiodły do tego, co było *ad intra*, do wewnętrznego nawrócenia.

Patrząc na te zdarzenia z dzisiejszej perspektywy, ktoś może postawić zarzut, że w jubileuszowym rachunku sumienia Kościoła zabrakło grzechów wykorzystywania seksualnego nieletnich przez niektórych duchownych. Takie oskarżenie byłoby jednak bezzasadne, ahistoryczne. Trzeba pamiętać, że 23 lata temu, w roku 2000, wiedza o grzechach pedofilii nie była tak powszechna jak dzisiaj. Jan Paweł II nie miał dostatecznych informacji na ten temat ani tym bardziej pełnego obrazu sytuacji. Docierały do niego pojedyncze głosy z Europy, np. o skandalach seksualnych w Kościele irlandzkim. Wypowiadał się wtedy jasno do tamtejszych biskupów: „Byłem blisko was w cierpieniu i modlitwie, polecając Bogu wszelkiej pociechy (2 Kor 1,3) tych, którzy stali się ofiarami nadużyć seksualnych ze strony duchownych lub zakonników. Musimy też modlić się, aby ci, którzy są winni tego zła, uznali szatańską naturę swoich czynów i prosili o przebaczenie". Te mocne słowa potwierdzają, jak bardzo Jan Paweł II uważał grzech pedofilii za zło. Nie można więc przykładać dzisiejszej miary do realiów minionej epoki i oskarżać papieża o zaniechanie w zwalczaniu grzechu pedofilii. Wyraźnie stwierdzili to biskupi w niedawnym liście Rady Stałej KEP. Oczywiste jest natomiast, że gdyby podobny akt wyznania win miał miejsce teraz, grzech pedofilii w tym katalogu by się znalazł.

DALEKOWZROCZNOŚĆ PAPIEŻA

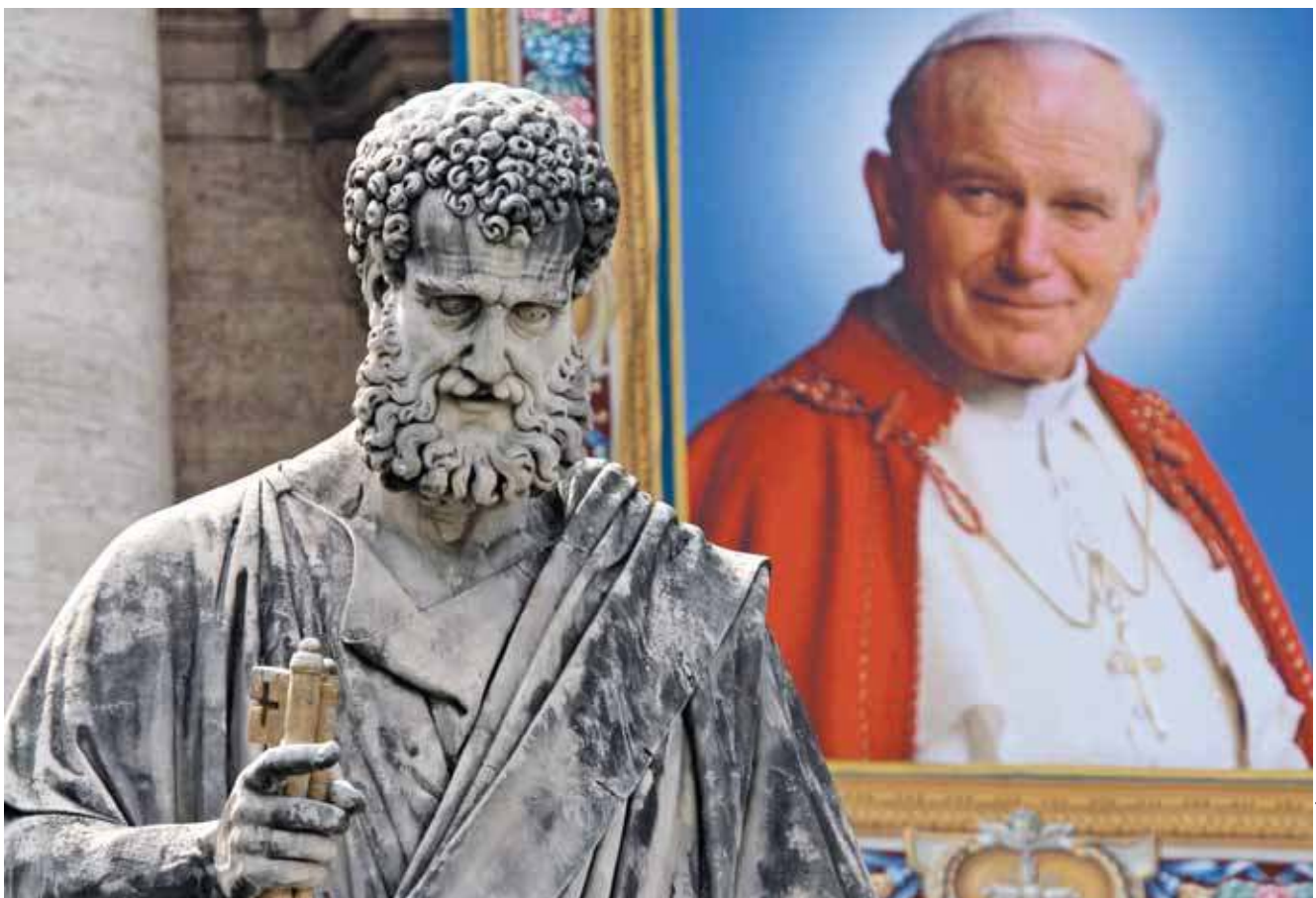
Jan Paweł II zatem, kierując się niezwykłą intuicją, jako pierwszy w dziejach papież podjął w Kościele ideę rozrachunku z przeszłością. Był to akt nowatorski, pełen odwagi, spotykający się z aplauzem, ale także ze sprzeciwem nawet w Watykanie i w Kurii Rzymskiej. Przede wszystkim jednak gest ten stanowił wyraz wiary papieża, że „Kościół jest święty i zarazem ciągle potrzebujący oczyszczenia", jak pisał w liście na zakończenie Wielkiego Jubileuszu, zatytułowanym *Novo millennio ineunte*. Wskazywał, że grzechy Kościoła wpisane są w ewangeliczną drogę oczyszczenia prowadzącą przez nawrócenie do świętości. Wyznanie win i prośba o ich przebaczenie miały więc z jednej strony służyć uzdrowieniu pamięci, z drugiej zaś zostały potraktowane jako szansa uniknięcia tych samych grzechów w przyszłości. „Uznanie słabości dnia wczorajszego to akt, który pobudza czujność i gotowość stawienia czoła dzisiejszym trudnościom i pokusom", wyjaśniał papież.

Dziś, w roku 2023, a więc z perspektywy czasu, łatwo dostrzec, że wizja Jana Pawła II była prorocza, że pchnął on Kościół na nowe tory. Gest *mea culpa* pokazał dalekowzroczność myślenia papieża i stanowił preludium działań Kościoła w przyszłości, podejmowanych także w odniesieniu do duchownych dopuszczających się przestępstw seksualnych. To właśnie papież Polak rozpoczął trudny proces oczyszczenia Kościoła, który kontynuował później Benedykt XVI, a obecnie prowadzi papież Franciszek. Nieprzypadkowo więc George Weigel nazwał Jana Pawła II „prorokiem nowego stulecia".

Milena KINDZIUK, DZIENNIKARKA, ADIUNKT W INSTYTUCIE EDUKACJI MEDIALNEJ I DZIENNIKARSTWA UKSW

eprasa.pl 97a9d6b8b0

O świętości, która parzy Złego



KS. HENRYK ZIELIŃSKI

Świętość przyciąga, ale może także przeszkadzać, irytować. Nic dziwnego, że ktoś taki jak św. Jan Paweł II, prawdziwy mąż Boży, budzi złość.

Czas umierania i pogrzebu Jana Pawła II był smutny, ale podniosły, na swój sposób piękny, wyzwalający dobro. W prawie wszystkich mediach jednym głosem mówiono o wielkim Karolu Wojtyle, należącym do najwybitniejszych synów polskiego narodu i Kościoła. Hasło: „Santo subito" było dla wszystkich oczywiste. Bo jeśli święty jest tylko Bóg, a święci to ci, w których inni dostrzegają odbicie Boga, to niewątpliwie papież Polak jest święty. Swoim słowem, postawą budził i umacniał w milionach ludzi wiarę, nadzieję i miłość. Wielu, słuchając jego słów, nawróciło się do Boga, do Chrystusowego Kościoła. Wielu doświadczyło skuteczności wstawiennictwa Karola Wojtyły u Boga.

Niestety, antyjanowopawłowy pańswinizm Jerzego Urbana okazał się bardziej rozpowszechniony w Polsce, niż w 2005 roku można było przypuszczać. Wielu przyczaiło się, skrywając swą niechęć do wiary katolickiej, do Kościoła, w tym do Jana Pawła II. Jeszcze deklarowali przywiązanie do „tradycyjnych wartości", łasili się do duchownych, kiedy wydawało im się, że mogą na tym coś zyskać, ale było tylko kwestią czasu, kiedy przyłączą się do noszących koszulki z napisem: „Nie płakałem po papieżu". Z czasem także wewnątrz Kościoła ujawnili się tacy, którzy odeszli od wcześniejszych deklaracji, że chcą podążać za ukochanym Janem Pawłem II. Zaczęli natomiast kwękać, że za szybko beatyfikowano i kanonizowano papieża, że jednak był zbyt

eprasa.pl 97a9d6b8b0

konserwatywny, nie rozumiał zmieniającego się świata itp. Tymczasem nic nie stało się za szybko. Wręcz przeciwnie! Gdyby od razu nie podjęto procesu beatyfikacyjnego, a potem kanonizacyjnego, dziś przeciwnicy nauczania Jana Pawła II mieliby duże szanse, by takie działania zablokować.

UDERZENIE W ŚWIĘTOŚĆ

Krótko po śmierci Ojca Świętego nadszedł pierwszy atak na jego pontyfikat. Atak nie wprost, ale pośredni, przygotowujący atmosferę dla kolejnych. Wykorzystano w tym celu sprawę lustracji. Szybko znalazły się teczki o. Konrada Hejmy OP i zaczęto kreować przekonanie, że oto ten, który organizował audiencje Polaków u papieża, był esbeckim donosicielem. Nie atakowano jeszcze przekonania o świętości Jana Pawła II, ale sugerowano, że jego najbliższe otoczenie wcale nie było takie święte. Po kanonizacji zaczęto jednak nacierać wprost. Stopniowo, coraz bardziej, coraz mocniej. Szczytem tych działań jest hasło, które wypisują cyniczni lub ogłupieni internauci, że Jan Paweł II to żaden święty, tylko „obrońca pedofilów". Motto, które nie jest owocem jakiejkolwiek znajomości rzeczy, ale po prostu złej woli lub głupoty. Zresztą gdyby chcieć przyłożyć pseudokryteria, które stosuje się wobec papieża Polaka – że mianowicie „musiał wiedzieć, a nic nie zrobił" – do innych spraw, np. do afery reprywatyzacyjnej lub afery Amber Gold, wówczas wielu ludzi, którzy znajdowali się na najwyższych stanowiskach, dawno już powinno odejść z polityki w niesławie.

Uderzenie w świętość Jana Pawła II nie ma oczywiście nic wspólnego z troską o prawdę i dobro, w tym o dzieci zagrożone panseksualizacją, także pedofilią. To dobrze przemyślany plan, w którym chodzi o uderzenie w papieskie dziedzictwo, którego fundamentalnymi aspektami było umiłowanie Chrystusa, Kościoła i ojczyzny. Dziedzictwo świętego papieża jest niewygodne dla tych, którzy chcieliby Polski zlaicyzowanej, podporządkowanej liberalno-lewicowej międzynarodówce. Jest też niewygodne dla tych, którzy chcieliby Kościoła zrewolucjonizowanego w duchu synodu niemieckiego. Co w tej sytuacji robić? Trzeba między innymi dawać świadectwo doświadczenia świętości Jana Pawła II.

Dziedzictwo świętego papieża jest niewygodne dla tych, którzy chcieliby Polski zlaicyzowanej, podporządkowanej liberalno-lewicowej międzynarodówce.

MOC PAPIESKIEJ MODLITWY

W liście „Novo millennio ineunte", ogłoszonym na zakończenie Jubileuszu Roku 2000, papież nakreślił plan duszpasterski dla Kościoła na XXI wiek. Na początek stwierdził, że podstawową perspektywą działalności duszpasterskiej jest „perspektywa świętości". Wszak „wolą Bożą jest wasze uświęcenie" (1 Tes 4,3), a zatem każdy do świętości i życia w niebie jest powołany. „Podłożem tej pedagogiki świętości powinno być chrześcijaństwo wyróżniające się przede wszystkim sztuką modlitwy". Jan Paweł II tą sztuką się wyróżniał. Był człowiekiem prostej, ale niebywale intensywnej modlitwy. Był mistykiem odnajdywania się przed Bogiem na modlitwie. Znamy formalnie udokumentowane cuda, które znalazły się w aktach procesów beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego, ale świadectw o uzdrowieniach i innych nadzwyczajnych wydarzeniach przypisywanych Janowi Pawłowi II jest znacznie więcej. Wielu, jak już zauważyliśmy, doświadczyło mocy jego modlitwy wstawienniczej nie tylko po jego śmierci, ale także za jego życia. Wielu każdego dnia zwraca się do św. Jana Pawła II na modlitwie, szczególnie w sprawach małżeńskich, rodzinnych, dotyczących posiadania potomstwa. Wielu Polaków modli się za jego wstawiennictwem za Polskę, którą tak bardzo kochał, będąc jednocześnie otwartym na inne narody, na cały świat. A on wstawia się u Boga za Polaków, choć nie brakuje takich, którzy na niego plują i oszczerczo oskarżają. W żadnym innym kraju Jan Paweł II nie jest tak atakowany. No cóż, diabeł wie, że niszczenie autorytetu Karola Wojtyły właśnie w Polsce może z punktu widzenia piekieł przynieść szczególnie pożądane korzyści.

ŚWIĘTY NIE ZNACZY NIEOMYLNY

Autentyczna świętość przyciąga, ale może także irytować, a nawet parzyć. Nic dziwnego, że ktoś taki jak Jan Paweł II, prawdziwy mąż Boży, wzbudza złość. Często ukrytą. Wystarczy jednak podsunąć zręcznie jakiś pseudomotyw, aby wielu zaczęło otwarcie szydzić i kąsać świętego. Sam Jezus powiedział, że skoro Jego prześladują, będą także prześladować Jego uczniów. Jezusa nazywano bluźniercą, mówiono, że odszedł od zmysłów, wielokrotnie chciano Go zabić, ostatecznie Go ukrzyżowano. Po śmierci i zmartwychwstaniu był i nadal jest obiektem kłamstw, oszczerstw i drwin. Podobny los spotkał wielu świętych. Popatrzmy chociażby na Matkę Teresę z Kalkuty czy na prymasa Wyszyńskiego. A zatem atak na Jana Pawła II jest paradoksalnie świadectwem jego świętości. Byle kogo by w ten sposób nie atakowano.

Zauważyliśmy, że święty odbija świętość Boga. Jest jak księżyc, który świeci światłem odbitym. Bo słońce jest źródłem światła, a Bóg jest źródłem świętości. Nie wynika z tego oczywiście, że świętość jest czymś biernym. Wręcz przeciwnie! Święci współpracowali na różne sposoby z Bożą łaską. Piękny życiorys Karola Wojtyły jest tego przykładem. Ale właśnie dlatego, że świętość jest darem, który opiera się na naturze i z którym trzeba współpracować, święci nie są osobami we wszystkim doskonałymi. W czasie swego doczesnego życia nie są pozbawieni słabości. To nie jacyś mityczni herosowie bez skazy. Jan Paweł II, choć pod wieloma względami wybitny, miał też słabsze strony. Na przykład słuszna wydaje się opinia, że nie miał talentu do prowadzenia tzw. polityki personalnej. Nie zawsze „miał nosa" do ludzi. Być może m.in. dlatego, że sam, będąc prawym, nie umiał podejrzewać innych o nieprawość. Miał też inne priorytety niż szczegółowe zajmowanie się nominacjami. A dzień ma tylko 24 godziny. Niemniej jednak takie czy inne ograniczenie w niczym nie przekreśla jego świętości. Potwierdza jednak prawdę, że do świętości powołany jest każdy, choć nie wszyscy są w stanie na takie powołanie odpowiedzieć. Papież Polak odpowiedział. Dostrzegały to miliony. Potwierdził to Kościół. A diabeł się piekli.

ks. prof. Dariusz KOWALCZYK SJ, PUBLICYSTA „IDZIEMY"

eprasa.pl 97a9d6b8b0

KOMPLEKS HEROSTRATESA

Prowadząc prace przy procesie beatyfikacyjnym papieża Polaka, kierowałem się zasadą: „Działać szybko, ale dobrze". Wszystkie inne normy przewidziane przez prawo kanoniczne zostały więc zachowane pomimo nacisków ze strony różnych grup świeckich i duchownych, aby od nich odstąpić i ogłosić Jana Pawła II świętym przez aklamację Ludu Bożego.

Przygotowując się do rozpoczęcia procesu, spotkałem się z ekspertami, którzy mieli mi pomóc we wskazaniu płaszczyzn badań, jakie należało podjąć. Wśród zasugerowanych tematów znajdowały się także kwestie związane z osobą założyciela Legionistów Chrystusa Marciala Maciela Degollado i reakcją Jana Pawła II na sygnały o nadużyciach, do których dochodziło w Kościele amerykańskim. Nikt z uczestników spotkania nie dostrzegał nieprawidłowości w podejściu papieża do kwestii nadużyć seksualnych. Podkreślano jednak konieczność przeprowadzenia badań źródłowych, aby nie było wątpliwości co do uczciwości Jana Pawła II w tej sprawie. Pomimo pewnych trudności komisja historyczna temat ten podjęła. Trudności polegały na braku bezpośredniego dostępu do zbiorów archiwum watykańskiego, zawierających dokumenty z ostatnich lat. Były one objęte klauzulą tajności – i nie jest to żaden ewenement. Kolejne zbiory udostępniane są dopiero po upływie okresu przewidzianego przez prawo. Biorąc to pod uwagę, komisja historyczna sformułowała listę pytań, które zostały przekazane Kongregacji ds. Świętych, a ta skierowała je do odpowiednich organów Stolicy Apostolskiej z prośbą o przeprowadzenie kwerendy. Zaprzysiężeni archiwiści zostali zaangażowani w przygotowanie odpowiedzi na postawione pytania. Były wśród nich także te dotyczące stosunku Jana Pawła II do zjawiska pedofilii w Kościele amerykańskim oraz te związane z postacią Maciela Degollado. Odpowiedzi, które otrzymaliśmy, potwierdziły, że Jan Paweł II pozostaje poza jakimikolwiek podejrzeniami dotyczącymi matactwa lub zaniechania w tej dziedzinie. Papież Polak był bardzo wrażliwy na te sprawy. Jeden z biskupów pomocniczych diecezji rzymskiej opowiadał mi o spotkaniu Ojca Świętego z kardynałem wikariuszem, podczas którego padło oskarżenie wobec pewnego kapłana. Reakcja papieża była natychmiastowa: „Jeśli to jest prawda, ten człowiek nie powinien być kapłanem!". Zarządzono dogłębne zbadanie sprawy. Myślę, że sytuacja ta dobrze ilustruje, jaka była reakcja Jana Pawła II na takie przestępstwa. Jeżeli uczciwie spojrzymy na jego wypowiedzi i działania, to zauważymy, że donioślejszego głosu na temat potrzeby oczyszczenia Kościoła z przestępstw na tle pedofilskim w tamtym czasie nie było. A głos ten pojawił się już w 1993 roku. Papież powiedział wówczas do biskupów amerykańskich, że dla przestępców,

ZNISZCZYĆ JANA PAWŁA II

Jan Paweł II to święty i apostoł katolicyzmu. To świadek chrześcijaństwa, którego idee i czyny stanowiły jedno. To prorok, który wezwał Ducha Świętego, aby odnowił oblicze ziemi w Polsce, a rok później powstała Solidarność, której historycznej roli nie sposób przecenić. To myśliciel, który swoimi encyklikami, ale także żywym słowem głoszonym w czasie pielgrzymek obejmujących cały świat mierzył się z najważniejszymi problemami współczesności.

Nawet swoją chorobę potrafił zamienić w wielkie rekolekcje, gdy swoim przykładem demonstrował, jak stawić czoła ludzkim ograniczeniom i przypadłościom. Czy to nie wystarczy, aby zostać znienawidzonym i pomawianym? Chrystus powiedział do apostołów: „Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia (Mt 10,22). A wcześniej: „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki" (Mt 10,16).

Za życia Jan Paweł II triumfował. Czy zawsze? Nie chcemy pamiętać o jego pierwszej pielgrzymce do wyzwolonej Polski w 1991 roku i o tym, jak wielkim rozczarowaniem było dla niego przyjęcie w ojczyźnie. Zapomnieliśmy, że jego ostrzeżenia spotkały się z murem niezrozumienia ze strony rodaków, którzy uwierzyli w utopię zrealizowaną na Zachodzie. Mimo wszystko papież pozostał dla nas znakiem wiary zwycięskiej. I jako taki tym bardziej stał się wrogiem dla dominującej na Zachodzie ideologii, która obiecuje raj na wyciągnięcie ręki, pełni więc funkcję doczesnego, świeckiego substytutu religii. Nie jest ateistyczna, ale antyteistyczna. W miejsce Boga ustanawia człowieka, ale specyficznego, tego, który przeciwstawia się wszystkiemu, co człowieczeństwo ukształtowało, osobę wyzwoloną z wszelkich tożsamości, tradycji, kultury i religii, a więc taką, która istnieje wyłącznie w rojeniach emancypatorów. Jest im najbliższa, bo najbardziej do nich podobna. Pompatyczne hasło apoteozy człowieka to w rzeczywistości samoubóstwienie, narcystyczny zachwyt swoim ułomnym kształtem podniesiony do rangi ideału. Wiąże się z pogardą wobec realnie istniejących ludzi i nienawiścią do ich obrońców. Jan Paweł II wskazywał zagrożenia takiej postawy, piętnował kulturę śmierci, która usiłuje zastąpić kulturę życia i miłości. Był rzecznikiem człowieka istniejącego. Jest więc znienawidzony szczególnie.

Heroldzi emancypacji, neokomuniści, kreatorzy nowego totalitaryzmu (to, że nie zdają sobie z tego sprawy, niczego nie zmienia) wiedzą, że aby stworzyć „nowego człowieka", trzeba unicestwić starego, a więc tego, który żyje realnie. Trzeba uderzyć w fundament jego tożsamości, w podstawę

eprasa.pl 97a9d6b8b0

którzy krzywdzą najsłabszych, nie ma miejsca w Kościele. Ten głos przybierał na sile wraz z ujawnianiem skali i wagi problemu. Nikt poza Janem Pawłem II w ówczesnym świecie tego tak ostro nie mówił. Oskarżanie go o sprzyjanie czy „zamiatanie pod dywan" przestępstw wykorzystywania seksualnego małoletnich jest absurdem, a przede wszystkim przeczy faktom.

Zdumiewa mnie, że ani w tamtych czasach, ani dzisiaj nie słychać głosów tak jednoznacznie jak papież piętnujących tego typu zachowania w innych środowiskach. Ujawnione i udokumentowane zjawiska pedofilii w różnych grupach społecznych oraz propagowanie idei legalizacji pedofilii przez niektóre ugrupowania i ruchy polityczne w tzw. cywilizowanej Europie nie wzbudziły, jak się wydaje, aż tak radykalnej reakcji wśród tych, którzy dzisiaj tak zagorzale atakują św. Jana Pawła II, wskazując na jego domniemane zaniedbania. Bałbym się nawet pomyśleć, że wcale nie chodzi o walkę ze złem, jakim jest pedofilia w każdym jej wydaniu, ale o cyniczne manipulowanie cierpieniem nieletnich ofiar w walce ideologicznej z Kościołem albo nawet o żałosny kompleks Herostratesa.

ks. Sławomir ODER,
POSTULATOR
W PROCESIE KANONIZACYJNYM ŚW. JANA PAWŁA II

kulturowej egzystencji, w religię. W ten sposób rozbijane są wszelkie wspólnoty, a ludzie, sprowadzani do statusu samotnych i bezbronnych jednostek, stanowią bierne tworzywo dla eksperymentatorów.

W tym celu należy zniszczyć pamięć tych, którzy świadczyli o prawdzie religii, należy zdekonstruować pamięć o Janie Pawle II, zdewastować jego reputację i godność. Tak można uniknąć stawienia mu czoła na gruncie racjonalnej konfrontacji.

To samo wcześniej robili komuniści, poprzednicy obecnych emancypatorów, którzy na początku niwelować usiłowali cześć dla bohaterów, aby potem likwidować ich fizycznie. Równie gorliwie unicestwiali pamięć o umarłych, których świadectwo stawiało tamę eksperymentom na ludzkiej wspólnocie. Dziś w ten sposób niszczona jest pamięć o Janie Pawle II. Fakty się nie liczą, medialny jazgot zagłusza argumenty i dowody.

W perspektywie historii święty papież obroni się sam. Występując na rzecz prawdy o nim, bronimy jednak głównie siebie samych. To o nasze duchowe przetrwanie chodzi.

Bronisław WILDSTEIN,
PISARZ, PUBLICYSTA, TYGODNIK „SIECI"



EAST NEWS

Donośniejszego głosu na temat potrzeby oczyszczenia Kościoła z przestępstw na tle pedofilskim niż głos Jana Pawła II za jego czasów nie było.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Jestem głęboko poruszony faktem,
że kapłani i zakonnicy, których powołaniem
jest pomagać ludziom prowadzić życie święte w oczach Bożych,
sami stali się powodem tak wielkiego cierpienia i zgorszenia młodych ludzi.
Ponieważ tak wielkiego zła dopuścili się niektórzy kapłani i zakonnicy,
na cały Kościół zaczęto spoglądać nieufnie, a wiele osób czuje się dotkniętych
sposobem podejścia do tych spraw przez hierarchów.
Nadużycia, które doprowadziły do tego kryzysu,
są według wszelkich standardów złem
i słusznie społeczeństwo traktuje je jako przestępstwo;
są one ciężkim grzechem także w oczach Bożych.
Dlatego z wszystkimi ofiarami i ich rodzinami, gdziekolwiek się znajdują,
głęboko się solidaryzuję i wyrażam im współczucie.

z przesłania Jana Pawła II do kardynałów Stanów Zjednoczonych,
23.04.2002

BEZPŁATNY DODATEK SPECJALNY
Jan Paweł II · **Odkrywamy prawdę**

ZDJĘCIE NA OKŁADCE:
MIMMO CHIANURA /REX FEATURES/EAST NEWS
COPYRIGHT 2023: „GOŚĆ NIEDZIELNY", „IDZIEMY", „NIEDZIELA", „SIECI"

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Utopia Nowego Zielonego Ładu

Zielona transformacja energetyczna nigdy nie doprowadzi do redukcji emisji gazów cieplarnianych, ponieważ opiera się na nierealistycznych założeniach, twierdzą naukowcy renomowanego ośrodka badawczego z Finlandii

GRZEGORZ GÓRNY

Fińskie Centrum Badań Geologicznych (GTK) to renomowana agencja rządowa, założona w 1885 r. i zatrudniająca ponad 400 pracowników. Zgodnie ze swoim statutem jest ona ośrodkiem naukowym stworzonym po to, by prowadzić badania na najwyższym poziomie międzynarodowym w dziedzinie geologii. Jej zadaniem jest także tworzenie innowacji na potrzeby społeczeństwa i biznesu, promowanie konkurencyjności fińskiej ekonomii oraz wspieranie planowania i realizacji tamtejszej polityki gospodarczej. Od lat świadczy ona usługi badawcze i konsultingowe dla rządu w Helsinkach.

Działalność tej renomowanej instytucji cieszy się wśród specjalistów na całym świecie wielkim szacunkiem z powodu swojego obiektywizmu i bezstronności.

NIEREALNOŚĆ BEZEMISYJNOŚCI

Ostatnio GTK opracowało ponad 1000-stronicowy raport, pełny tabel, wyliczeń i wykresów, dotyczący Nowego Zielonego Ładu, czyli planu przejścia gospodarki w Europie na bezemisyjność. To pierwszy tego typu dokument na świecie. Jego wyjątkowość polega nie tylko na objętości wynikającej ze skali badań, lecz także na podejściu zespołu naukowego. Jak przyznają sami autorzy: „Ten raport został opracowany w oparciu o podejście oddolne, podczas gdy poprzednie badania miały tendencję do dokonywania szacunków odgórnych".

Co to konkretnie znaczy? Otóż do tej pory eksperci szacowali, jakie rezultaty da przejście w energetyce od paliw kopalnych do źródeł odnawialnych. Nie zajmowali się już jednak tym, ile i jakich materiałów będzie do tego potrzebnych i w jaki sposób je pozyskać. Skąd wziąć np. niezbędne do transformacji energetycznej metale szlachetne, alkaliczne lub rzadkie (takie jak np. neodym, holm, cer czy lantan)? Jak duże i gdzie są położone ich złoża? Ile kosztuje ich eksploatacja? Jaka może być ich cena w warunkach przewagi popytu nad podażą? Ile kosztuje produkcja odnawialnych źródeł energii, a ile ich utylizacja?

Ostateczna konkluzja raportu jest taka, że plan przejścia na tzw. gospodarkę bezemisyjną jest nierealny, tzn. nigdy nie doprowadzi ani nie może doprowadzić do redukcji emisji gazów cieplarnianych. Powód jest prosty: na naszej planecie nie ma

Fot. Roman Mikhailiuk / Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0

wystarczających zasobów metali potrzebnych do tego, by zastąpić obecne paliwa kopalne źródłami odnawialnymi. O tym mówią – według autorów raportu – nieubłagane prawa fizyki, chemii i matematyki. Wcielanie w życie założeń Nowego Zielonego Ładu pochłania więc z państwowych budżetów gigantyczne środki, które i tak nie przyniosą pożądanego efektu, tzn. nie zatrzymają światowego wzrostu produkcji gazów cieplarnianych, który – jak twierdzą działacze klimatyczni – ma się przyczyniać do globalnego ocieplenia.

Nie oznacza to, że wszystkie działania podejmowane w ramach Green New Dealu są bezsensowne. Należy jednak odróżnić dwa porządki: ekologiczny i klimatyczny. Jeśli chodzi o pierwszy z nich, to duża część elementów zielonej transformacji energetycznej ma korzystny wpływ na środowisko naturalne, np. czystość wody i powietrza, zdrową żywność, poprawę jakości życia itd. Są to jednak zjawiska lokalne, ograniczone do konkretnego regionu czy państwa. O tak dobroczynnych skutkach nie możemy jednak mówić w przypadku klimatu, który ze swojej natury ma charakter globalny, nieograniczający się do poszczególnych krajów. Tutaj ambitny cel architektów Nowego Zielonego Ładu, którym jest zmiana o skali planetarnej, jest według autorów raportu całkowicie nie do spełnienia.

MIT CZYSTEJ ENERGII

Przy okazji warto wspomnieć o micie, jakim jest „czysta" energia. Taka rzeczywistość nie istnieje, ponieważ nawet po to, by wyprodukować panele słoneczne, samochody elektryczne czy farmy wiatraków, potrzeba eksploatować złoża, wydobywać metale, wycinać drzewa, zużywać ropę naftową itd., czyli korzystać z „brudnej" energii. Żadna wymiana technologii w rodzaju np. przejścia na elektromobilność nie pomoże więc osiągnąć bezemisyjności.

Poza tym wspomniane produkty pod koniec swojego okresu użytkowania nie mogą być poddane recyklingowi. Trafiają więc na wysypiska śmieci, gdzie stają się toksycznymi odpadami. Włókna szklane z łopat wirnika turbin wiatrowych czy metale ciężkie z paneli słonecznych stanowią poważne zagrożenie dla zdrowia.

Przez wiele lat kraje wysoko rozwinięte radziły sobie z tym problemem, wysyłając najbardziej szkodliwe odpady do Chin lub krajów Trzeciego Świata, w których nie obowiązują żadne normy ekologiczne. W ten sposób mieszkańcy Zachodu mogli demonstrować samozadowolenie, zachwyceni tym, że udało im się dokonać zielonej transformacji w swoim otoczeniu, nie zauważając zarazem katastrofy ekologicznej, którą fundowali biedniejszym państwom naszego globu. W ostatnim czasie jednak nawet kraje ubogie odmawiają przyjmowania toksycznych odpadów, mając świadomość, jak wielkie niesie to zagrożenie.

NOWA UMOWA SPOŁECZNA?

Fińskie Centrum Badań Geologicznych w swoim raporcie nie poprzestaje na konkluzji o niemożności zrealizowania założeń Nowego Zielonego Ładu. Proponuje alternatywę pokazującą, jak można uwolnić się od zależności od paliw kopalnych. Można to zrobić tylko w jeden sposób: przez zmniejszenie zużycia energii, czyli ograniczenie wszelkiego rodzaju spożycia przez ludzi na całym świecie, co oznacza zatrzymanie wzrostu dobrobytu na naszym globie. Ludzie po prostu muszą mniej konsumować i godzić się na to, że nie będą bardziej zamożni. Do tego jest jednak potrzebna nowa umowa społeczna, polegająca na zmianie sposobu życia na naszej planecie.

Konkluzje, do których dochodzą autorzy raportu GTK, są dyskutowane obecnie na różnych forach geologów, fizyków czy matematyków. Część z nich, zgadzając się z wnioskami zawartymi w dokumencie, zwraca jednak uwagę na utopijność recepty przedstawionej przez fiński ośrodek. Zadają oni zasadne pytanie: czy ludzi da się oduczyć naturalnego pragnienia, by żyć coraz lepiej i by przestać konkurować z innymi?

> Nowy Zielony Ład nie liczy się z uwarunkowaniami ekonomicznymi ani elementarnymi prawami podaży i popytu. Wywiera presję na zamykanie dotychczasowych branż, zanim ich funkcje będą w stanie przejąć nowe sektory

Ten wątek podjął niedawno w swoim wystąpieniu dla studentów w Oksfordzie brytyjski satyryk rosyjskiego pochodzenia Konstantin Kisin (takie widocznie dziś czasy nastały, że parodystom i kabareciarzom łatwiej jest powiedzieć niewygodną prawdę niż intelektualistom). Oznajmił on swoim słuchaczom: „120 mln ludzi w Chinach nie ma wystarczającej ilości żywności. Nie zmusicie ich do pozostania biednymi. Wyobraźcie sobie Xi Jinpinga, przywódcę Chin. Kiedy miał 10 lat, w Chinach wybuchła rewolucja kulturalna. Przyszli i wsadzili jego ojca do więzienia. Jego matka musiała wyprzeć się ojca. Siostra popełniła samobójstwo, a on został wysłany na wieś, gdzie mieszkał w chacie. A teraz, po dziesięcioleciach, wspiął się po krwawej drabinie chińskiej polityki, by zostać niekwestionowanym przywódcą partii komunistycznej, która zniszczyła jego rodzinę. On wie, że najważniejsze, co musi zrobić, by przetrwać i utrzymać się u władzy, to dać Chińczykom to, czego chcą: dobrobyt i wzrost gospodarczy. Jak myślicie, na jakim miejscu na jego liście priorytetów znajdują się zmiany klimatyczne?".

Podobnie – zdaniem Kisina – jest w Indiach, gdzie jedna trzecia ludności żyje w skrajnej nędzy. Ich także nie da się zmusić do pozostania biednymi. Nie trzeba jednak sięgać do krajów Trzeciego Świata. Na niedawnej konferencji Wielki Projekt dla Pokoleń w Warszawie większość młodzieży twierdziła, że najważniejszym problemem dla niej są zmiany klimatyczne. Gdy jednak zapytano, czy ktoś zdecydowałby się

eprasa.pl 97a9d6b8b0

zrezygnować ze swojego telefonu komórkowego, gdyby miało to zmniejszyć globalne ocieplenie, nie zgłosił się nikt. Łatwo jest deklarować swoje zatroskanie, trudniej dokonywać realnych wyrzeczeń.

WIDMO UBÓSTWA ENERGETYCZNEGO

Do podobnych konkluzji doszedł kanadyjski ekonomista i geograf czeskiego pochodzenia Vaclav Smil, którego książka „Energia i cywilizacja" ukazała się w ub.r. w Polsce. W swojej pracy opisuje on szczegółowo, jak energia kształtowała przez stulecia kolejne społeczeństwa: od przedrolniczych wspólnot koczowniczych aż po dzisiejszą cywilizację napędzaną paliwami kopalnymi i reaktorami jądrowymi, wpływając na wszystkie sfery życia: rolnictwo, przemysł, transport, uzbrojenie, komunikację, ekonomię, urbanizację, jakość życia, politykę i środowisko. Wniosek z lektury jest oczywisty: bez rozwoju energetyki ludzkość nie wykonałaby żadnego skoku technologicznego ani cywilizacyjnego.

Smil podkreśla, że ludzie są jedynym gatunkiem na Ziemi, który potrafi systematycznie ujarzmiać energię poza własnym ciałem, wykorzystując moc swojego intelektu oraz dostępne mu surowce. Ogólnie przez całe wieki kreatywność człowieka w tym względzie zmierzała w kierunku uniezależnienia się do żywiołów przyrody.

Obecnie obserwujemy proces odwrotny. Zielona transformacja w imię walki z globalnym ociepleniem zakłada odejście od węgla, gazu i atomu na rzecz odnawialnych źródeł energii: paneli fotowoltaicznych, farm wiatrakowych i hydroelektrowni, a więc zdanie się na łaskę słońca, wiatru i wody. Są to jednak czynniki nieprzewidywalne, ponieważ człowiek nie jest w stanie zarządzać pracą promieni słonecznych, podmuchów wiatru czy opadów deszczu.

Poza tym istnieje olbrzymie niedopasowanie między mocą zainstalowaną a generowaniem energii elektrycznej w przypadku odnawialnych źródeł energii. Według danych Departamentu Energii Stanów Zjednoczonych z 2020 r. współczynnik wykorzystania mocy wynosił dla paneli fotowoltaicznych – 24,9 proc., a dla wiatraków – 35,4 proc., podczas gdy np. dla reaktorów jądrowych – 92,5 proc., a dla elektrowni gazowych – 56,6 proc.

Przez wieki ludzkość dokonywała przejścia na kolejny etap rozwoju energetycznego stopniowo, wymieniając stare technologie na nowe w taki sposób, by nie doszło do załamania gospodarczego. Nowy Zielony Ład nie liczy się jednak z uwarunkowaniami ekonomicznymi ani elementarnymi prawami podaży i popytu. Wywiera presję na zamykanie dotychczasowych branż, zanim ich funkcje będą w stanie przejąć nowe sektory. Jest to proces nie tylko obciążony wysokim ryzykiem załamania całego systemu, lecz także skutkujący drożyzną, inflacją, bankructwami, wzrostem bezrobocia i pauperyzacją społeczeństw.

Do tej pory wszystkie fale modernizacji energetycznej gwarantowały większą wydajność i dostępność usług. Skutkowały spadkiem cen i bogaceniem się społeczeństw. Uniezależniały człowieka od żywiołów przyrody. To napędzało rozwój cywilizacji. Nowy Zielony Ład idzie w przeciwnym kierunku. Współczynnik wykorzystania mocy maleje, powtarzają się przerwy w dostawach prądu, ceny rosną, człowiek znów staje się zależny od kaprysów natury: słońca, wiatru i wody. Po raz pierwszy pojawia się realna groźba, której nie znali do tej pory Europejczycy – niebezpieczeństwo ubóstwa energetycznego. Innymi słowy (odwołując się do wniosków Smila): cywilizacja cofa się, kurczy się na własne życzenie.

IGNOROWANY RAPORT

Nic dziwnego, że raport GTK jest ignorowany w kręgach politycznych. Nikt nie podważa jego wiarygodności, ale też nikt nie zamierza dyskutować o jego rezultatach. Jak zauważa czeski komentator Marek Kerles, wspomniany dokument „powinien w normalnych okolicznościach doprowadzić do nowej globalnej konferencji klimatycznej i ponownej oceny wniosków z wszystkich podobnych konferencji w przeszłości". Nic takiego się jednak nie dzieje. Konkluzje fińskich badań nie odpowiadają bowiem politycznemu establishmentowi na Zachodzie. Nikt nie ma odwagi powiedzieć ludziom: musicie być biedni, by ratować świat. Na takich polityków nikt bowiem nie zagłosuje. Zamiast tego brną w rozwiązania, które nie mają szans na powodzenie.

Wydaje się, że w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem jest nie tyle hamowanie rozwoju cywilizacyjnego, ile jego kontynuowanie, ukierunkowane na nowe odkrycia i wynalazki, mające na celu wytwarzanie bardziej przyjaznej dla środowiska i tańszej energii. Wielokrotnie przecież w dziejach tego typu presja zmuszała ludzkość do postępu i innowacji.



Autopromocja

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Zagrożenie i szansa

Teza, że wojna na Ukrainie jest wydarzeniem przełomowym dla naszego kontynentu, a więc i dla Polski powoli staje się banałem. Powtarzamy ją, niespecjalnie zastanawiając się nad konsekwencjami, które za sobą niesie



Marek Budzisz



BRONISŁAW WILDSTEIN

Najpoważniejszą dotąd próbą intelektualnego zmierzenia się z nimi jest książka specjalisty od spraw międzynarodowych Marka Budzisza „Samotność strategiczna Polski". Praca imponuje zarówno erudycją: zestawieniem wielkiej liczby dokumentów i opinii wszystkich stron obecnego konfliktu, jak i szerokością perspektyw i odwagą w analizach możliwości jego rozwiązania oraz globalnego stanu rzeczy, które się z nimi wiążą.

ULTIMATUM ROSJI

Budzisz przekonuje, że wbrew dość powszechnym opiniom próba podboju Ukrainy zainicjowana przez Moskwę 24 lutego ub.r. stanowiła ze względu na jej strategiczne cele przedsięwzięcie

Fot. Andrzej Wiktor

7a9d6b8b0

racjonalne. To, że w jej efekcie nastąpiła zmiana postawy Stanów Zjednoczonych, było trudne do przewidzenia, a błędy samej ofensywy były związane z modelem autorytarnego, nieefektywnego państwa, którego propaganda w dużej mierze mistyfikuje obraz rzeczywistości również dla jej twórców. Najistotniejszy czynnik, który spowodował klęskę pierwszej fazy operacji rosyjskiej, czyli determinacja Ukraińców, nie wydawał się wcześniej oczywisty, tak jak i przygotowanie Kijowa do moskiewskiej agresji. Agresja ta była jednak przedsięwzięciem zaplanowanym od dawna, do którego Moskwa w sensie militarnym, gospodarczym i politycznym szykowała się od lat. Odtworzenie imperium jest celem strategii Putina, a uzależnienie Ukrainy jest tego koniecznym warunkiem.

17 grudnia 2021 r. Moskwa wystąpiła z propozycją nowego traktatu ze Stanami Zjednoczonymi i z państwami NATO. Był to dowód, że poczuła się na tyle silna, by przystąpić do decydującego aktu odbudowy mocarstwowej pozycji. Wymóg nieingerencji w wewnętrzne sprawy państw miał pozostawiać wolną rękę najdalej idącym represjom władz przeciw swoim społeczeństwom. Typowa dla Rosji retoryka obustronnego bezpieczeństwa uzasadniała domaganie się finlandyzacji jej otoczenia, czyli pozbawienie zagranicznej suwerenności krajów dawnego bloku sowieckiego, a nawet Japonii czy Korei Południowej. Warunkiem nowego traktatu miał być m.in. zakaz działań, które godzą w podstawowe interesy sygnatariuszy oraz niewykorzystywanie terytorium innych państw do przygotowywania zbrojnych działań, co dla Moskwy jest równoznaczne z wycofaniem wojsk USA z krajów sąsiadujących z Rosją. Inne zapisy tego memorandum zakazywały rozszerzania NATO, a nawet misji patrolowych blisko rosyjskich granic. Kreml domagał się także powstrzymania rozwoju taktycznej broni rakietowej, co konserwowałoby jego czterokrotną przewagę w tej mierze w Europie i uniemożliwiało budowę amerykańskiego parasola nuklearnego dla naszego kontynentu. Syntetycznie rzecz ujmując, Moskwa domagała się faktycznej likwidacji NATO.

„[...] w grudniu 2021 r. Kreml postanowił rozpocząć wielką rozgrywkę, której celem była zmiana sytuacji geostrategicznej w Europie Środkowej, a w konsekwencji wypchnięcie Stanów Zjednoczonych z Europy". Rosjanie nadali swoim propozycjom charakter ultimatum, stwierdzając, że nie są one menu, z którego można wybierać to, na co ma się ochotę.

TERMIN AGRESJI

Transformacja światowej energetyki i odchodzenie od węglowodorów oznacza radykalny spadek dochodów Federacji Rosyjskiej, która nie potrafi zreformować swojej gospodarki i opiera się prawie wyłącznie na eksploatacji posiadanych złóż. Przywódcy Rosji rozumieją, że pozostała im dekada na podejmowanie wyzwań w wymiarze globalnym. Potem ich możliwości ulegną zasadniczej redukcji, a innej niż imperialna polityki prowadzić nie potrafią.

Rejterada Stanów z Afganistanu przekonała Kreml o ich słabości, a o militarno-politycznej mizerii dominującego w UE tandemu niemiecko-francuskiego byli przekonani w uzasadniony sposób już wcześniej. Wiedzieli, że kraje te co najwyżej retorycznie potępią agresję na Ukrainę i nie wpłynie to ani na ich politykę, ani na gospodarcze układy, co udowodniły już swoją reakcją na rosyjski atak na Ukrainę w 2014 r. Sprawę sformułował wprost Timofiej Bordaczow, dyrektor programowy Klubu Wałdajskiego, najbardziej wpływowego ośrodka strategicznego współczesnej Rosji.

„Po wycofaniu się [Stanów Zjednoczonych] z Afganistanu zniszczenie państwa ukraińskiego, którego istnienie jest główną przyczyną napięć między Rosją a głównymi mocarstwami europejskimi, spowodowałoby jeszcze większe szkody dla obecności amerykańskiej. Na pierwszy rzut oka Ukrainy nie będzie – nie będzie powodu do konfliktu między Rosją a francusko-niemiecką UE, a europejski ład międzynarodowy nabierze stosunkowo kompletnej formy". Bordaczow pisał również, że głównym konkurentem USA są Chiny, a „zagrożenie bezpieczeństwa, które jest przywoływane, aby uzasadnić rację bytu NATO, dotyczy mniejszości członków bloku". Innymi słowy, należy ich bezpieczeństwo (m.in. Polski) poświęcić na rzecz globalnej stabilizacji.

Latem 2021 r. Putin opublikował w dzienniku „Die Zeit" artykuł, z którego wynika, że „współpraca z Rosją w dłuższej perspektywie obsługuje niemieckie interesy, a konflikt stanowi dla tych interesów strategiczne zagrożenie".

Dane i fakty przytaczane przez Budzisza dowodzą tego, co widzimy gołym okiem: „ani Niemcy, ani też – mimo odmiennej retoryki – Francja nie mają ochoty na budowę własnego potencjału wojskowego. [...] nie ma społecznego konsensusu w społeczeństwach obu krajów na rzecz tego rodzaju polityki". W tym kontekście wezwania do samodzielności obronnej Europy oznaczają wyłącznie domaganie się wycofania z niej Ameryki. Europa Zachodnia nie czuje się zagrożona przez Rosję, a ograniczenie suwerenności dawnych państw bloku sowieckiego jest dla nich historyczną normą. Dla Moskwy było więc jasne, że Paryż czy Berlin nie będą walczyły o Kijów.

Splot tych czynników powodował, że termin rozwiązania kwestii ukraińskiej narzucał się sam. Dodatkowo odbudowa imperium dla przywódców Kremla była warunkiem równoprawności w relacjach z Chinami, których przewaga wobec Rosji zaczęła się coraz bardziej uwidaczniać.

STAN WOJNY

Militarne błędy Rosji i zaangażowanie się Waszyngtonu, który zrozumiał, że bierność wobec rosyjskiej inwazji oznacza dla niego rezygnację z Europy, a więc wycofanie się z roli światowego lidera, spowodowały, że szybka operacja wojskowa przerodziła się w długotrwałą wojnę. Ale powszechna w Rosji świadomość fiaska zamierzonych celów nie spowodowała ich zmiany. Wręcz przeciwnie. Elity tego kraju rozumieją, że przegrana na Ukrainie oznacza rezygnację ze statusu imperium, a więc koniec jedynej Rosji, jaką znają i akceptują. Powszechną postawą jest więc wezwanie do kontynuacji wojny

eprasa.pl 97a9d6b8b0

bez względu na cenę, którą przyjdzie za nią zapłacić włącznie z taktycznym użyciem broni jądrowej.

Walka o Ukrainę jest imperialnym być albo nie być.

Kreml przygotował się do inwazji na Ukrainę, a więc i ekonomicznej na nią odpowiedzi Zachodu, czyli krótkotrwałych sankcji. Powoduje to, że obecnie radzi sobie z nimi stosunkowo dobrze. Trwanie wojny i mobilizacja Zachodu zasadniczo przerosły jednak jego oczekiwania. Niemniej elity rosyjskie godzą się na efekty tego stanu rzeczy, a więc także istotne obniżenie poziomu życia Rosjan nawet przez dłuższy czas w imię obrony statusu ich państwa jako imperium. Innego modelu sobie nie wyobrażają. Inna sprawa, że oznaczałby on zasadnicze odejście Moskwy od swojego kulturowego *modus vivendi*, a więc fundamentalny, cywilizacyjny wstrząs. W obronie swojego imperialnego statusu Kreml w wymiarze globalnym pogodził się nawet z rolą junior partnera Chin, czemu wcześniej usiłował zapobiec.

Tymczasem Stany, które długo usiłowały skłonić Europę do proporcjonalnego do ich gospodarczego potencjału zaangażowania w militarne struktury sojuszu, uznały, że pozostawienie Ukrainy samej sobie oznacza świadectwo słabości. Oznaczałoby to podważenie pozycji Ameryki i najprawdopodobniej uruchomiło wiele niekorzystnych dla niej zjawisk, włącznie z agresją Chin na Tajwan.

Zaangażowanie Waszyngtonu po stronie Kijowa jest stopniowalne i narasta wraz z narastaniem świadomości znaczenia tej wojny. Coraz bardziej jednoznaczne staje się, że Rosja jest dziś bezpośrednim przeciwnikiem Stanów, a Chiny mogą się dopiero nim stać i coraz bardziej oczywiste jest, że należy ją nie tylko zatrzymać, lecz także pokonać.

PO WOJNIE

Koleje wojny za polską granicą stanowią dla nas historyczną lekcję. Szeroko rozpowszechnione wcześniej przekonanie, że sama obecność w NATO i UE jest gwarantem bezpieczeństwa, odsłania swoją iluzoryczność. Wprawdzie Ukraina nie należy do tych układów, ale otrzymała oficjalne gwarancje USA. Okazało się, że moc ich odstraszania nie wystarczyła. UE nie daje żadnych zabezpieczeń militarnych, a reakcja jej dominujących państw odsłania to, co oczywiste było dla każdego trzeźwego obserwatora. Dla Niemiec czy Francji liczą się wyłącznie ich egoistycznie pojęte interesy. Wprawdzie moralne odruchy społeczeństw mogą spowodować krótkotrwałe i umiarkowane reakcje ich politycznych elit w rodzaju dość ograniczonych sankcji, ale nie będą one miały istotnego znaczenia w przypadku poważniejszego konfliktu.

„W interesie Polski jest wojskowe wzmocnienie wschodniej flanki NATO i zbudowanie jednolitego frontu rozciągającego się od północnych rejonów państw skandynawskich do wschodniej części Morza Śródziemnego. Tylko w ten sposób będziemy w stanie osiągnąć jeden z zasadniczych celów naszej wielkiej strategii, którą powinno być wypchnięcie Rosji z europejskiej polityki i odebranie jej na dziesięciolecia możliwości wywierania wpływu na rozkład sił na Starym Kontynencie. Nie uda się tego dokonać bez rewizji dotychczasowej polityki NATO na Wschodzie, czyli bez porzucenia dotychczasowej doktryny odstraszania na rzecz przyjęcia strategii powstrzymywania" – pisze Budzisz.

> Rosyjska groźba i słabość UE wskazuje społeczeństwom dawnego bloku sowieckiego, że jedyną dla nich szansą jest budowa jedności

Wskazuje, że nawet licząc na sojuszników, musimy przyjąć, że ich efektywna pomoc pojawi się dopiero po czasie, który – jeśli nie potrafimy bronić się sami – wystarczy na zajęcie przez Rosję w przypadku Polski terenów do Wisły czy pochłonięcie w całości krajów bałtyckich. Zasadniczo zmieni to układ sił i warunki układów z agresorem. Ale Polska, co pokazuje przykład walczącej Ukrainy, nie jest skazana na taki los.

Obecna wojna jak zawsze jest tragedią i egzystencjalnym zagrożeniem, ale otwiera także nieznane wcześniej możliwości. Rosyjska groźba i słabość UE wskazuje społeczeństwom dawnego bloku sowieckiego, że jedyną dla nich szansą jest budowa jedności. Rozumieją to Ukraińcy, którzy widzą skalę zaangażowania Polski, a wielu z nich mówi wprost, że bez tego ich kraj by nie przetrwał. Jak deklaruje główny doradca prezydenta Zełenskiego Ołeksij Arestowycz: „Nie możemy dopuścić do najmniejszego konfliktu z Polską. Ani teraz, ani jutro, ani w przyszłości. [...] po zawiązaniu ścisłego sojuszu należy ustanowić nowe zasady rozgrywki w Europie Wschodniej". Apeluje, by do tego układu doprosić Bałtów i Białoruś.

Pozycja tej ostatniej jest istotnym czynnikiem strategicznym w naszym regionie. Nie można dopuścić, by nadal stanowiła bazę wypadową wojsk rosyjskich. Zwłaszcza że przeciwko temu statusowi protestuje większość Białorusinów.

Już ponad pół roku temu Budzisz rzucił hasło polsko-ukraińskiej federacji, co wywołało falę wymierzonej w niego, również personalnej, krytyki. W rzeczywistości projekt ten – choć śmiały – narzuca się każdemu, kto ma odwagę stawić czoła wyzwaniom naszych czasów i poważnie traktuje polską rację stanu. Budzisz nawiązuje do projektów ojców założycieli europejskiej wspólnoty, która w kilka lat po wojnie wydawała się nierealną mrzonką. Możemy także odwołać się do nigdy nieumarłej tradycji Rzeczypospolitej wielu narodów, która wbrew bzdurom lansowanym dziś przez modnych historycznych rewizjonistów była niezwykle ciekawym i przez kilka stuleci udanym eksperymentem historycznym w naszym regionie. Dziś powrót do niego, naturalnie w kształcie zmienionym już i dostosowanym do obecnych warunków, jest potrzebą chwili.

Można uznać, że polsko-ukraińska współpraca dziś jest jego początkiem.

Reklama | 37/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

ORLEN
GENERALNY SPONSOR
POLSKIEGO NARCIARSTWA
1919 PZN
ORLEN

ZATANKUJ I LEĆ DALEJ!



eprasa.pl 97a9[illegible]6b8b0



Rosyjska cywilizacja umiera

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Kluczowym elementem rosyjskiej narracji historycznej, według której bezgrzeszna Rosja jest obiektem nieustannej agresji ze strony Zachodu, jest kod Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W wariancie pozornie nieco bardziej racjonalnym ta wojna miała stanowić tygiel, w którym (po bolszewickim terrorze) rozerwany naród zjednoczy się na powrót. Taka wizja pozwala (i tu odchodzimy od pozorów racjonalności) niepostrzeżenie uznać ukrywanie zbrodni tego terroru za cnotę, za obronę fundamentu narodu. A w wariancie już zupełnie metafizycznym – owa wojna ma być czymś w rodzaju mistycznego sakramentu, który oczyścił Rosję.

Oczyścił ją z wszystkiego złego, co kiedykolwiek uczyniła innym, ale przede wszystkim – z tego, co uczyniła sobie. W jakiś sposób jeśli nie usprawiedliwił, to zatarł potworności, które za Lenina i Stalina Rosjanie robili sami sobie. Bo gdyby nie zatarł, gdyby wiedza o tym, co wtedy jedni pradziadkowie dzisiejszych Rosjan czynili innym ich pradziadkom, o tym, co wtedy Rosjanie pozwolili z sobą robić, naprawdę dotarła do ich prawnuków, to – najłagodniej mówiąc – byłoby to niezwykle ciężkie do udźwignięcia. I musiałoby wywołać gigantyczne skutki psychologiczne, być może wręcz zdemolować same podstawy rosyjskiej samooceny i samoświadomości.

Innymi słowy – bez sakramentu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej Rosja mogłaby zapaść się pod ciężarem zła, które wyrządziła sama sobie. Sakrament WWO skutecznie ją przed tym broni.

* * *

Konstatacja, że w świadomości Rosjan Rosja niebędąca mocarstwem to nie jest prawdziwa Rosja, jest truizmem. Jednak mniej ludzi na Zachodzie zdaje sobie sprawę z faktu, iż w świadomości Rosjan prawdziwą Rosją nie jest również Rosja nierealizująca jakiejś światowej misji. W tym sensie putinizm w kształcie sprzed 24 lutego, przywracający Rosjanom imperium, ale nieprzywracający im światowej misji był tylko czymś w rodzaju protezy.

Ale tu przypomniano sobie, że właśnie Wielka Wojna Ojczyźniana i zwycięstwo nad faszyzmem jest tym czymś, co w ciągu całej rosyjskiej historii najbardziej może przypominać tę niestrudzenie poszukiwaną przez Rosjan „rosyjską ideę", mającą mieć walor uniwersalności. Uratowanie świata, nawet jednorazowe, można z braku innych konkretów uznać za coś zbliżonego do tej upragnionej idei.

I tu dochodzimy do clou współczesnej idei rosyjskiej – ale właściwie dlaczego jednorazowe? Przy okazji „specoperacji" widzimy twórcze rozwinięcie tej koncepcji. Okazuje się otóż, że obrona świata przed faszyzmem jest dla Rosji misją wieczną. Wieczną jak sam faszyzm, który wiecznie się odradza i wiecznie zagraża. Więc faszystów na Ukrainie trzeba było wymyślić.

Ratując sens samej siebie, Rosja musi wiecznie bronić świat przed wymyślonymi faszystami



A gdyby nie istniała żadna Ukraina, to trzeba byłoby wymyślić faszystów gdziekolwiek indziej. Żeby Rosja nadal mogła ratować przed nimi siebie i świat, ratując w ten sposób sens samej siebie – takiej, jaką sama siebie postrzega. Nawiasem mówiąc, często się słyszy, że gdyby Rosjanie na Ukrainie wygrali, to ruszyliby dalej – żeby jeszcze zwiększyć imperium. I to prawda, gdyby mogli, toby zapewne ruszyli, ale w moim przekonaniu również po to, żeby znaleźć gdzieś nowych faszystów do zwalczania. Byliby w tym jakoś podobni do Don Kichota – gdyby nie to, że w odróżnieniu od nich Don Kichot był postacią szlachetną.

I tu doszliśmy do zrozumienia najgłębszego sensu wojny rozpoczętej przez Moskwę przeciw Ukrainie.

* * *

Bo ta wojna jest przecież trudna do pojęcia. Choćby dlatego, że podejmując decyzję o agresji, Kreml nie mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, że atakując Ukrainę bez jakiegokolwiek pretekstu, skazuje się na utratę ogromnej większości swych zachodnich sojuszników, „Russlandversteherów", którzy albo naprawdę zrewidują swoje podejście do Moskwy, albo co najmniej znajdą się w sytuacji zmuszającej ich do milczenia. Agresorzy utracą też swój – w jakimś stopniu funkcjonujący aż do inwazji – atut, którym dotąd była pamięć Zachodu o roli odegranej przez ZSRS w czasie II wojny światowej i wynikający z tej pamięci szacunek. Stracą dziwny i hipnotyczny czar, magię przez pokolenia działającą na ludzi Zachodu. Na ten skutek „specoperacji" narzeka politolog Fiodor Łukjanow konstatujący, iż Zachód ostatecznie odrzucił dotąd wiele ułatwiającą Rosji narrację o wspólnym zwycięstwie nad faszyzmem jako czymś, co powinno w jakiś sposób wpływać na dzisiejszą politykę.

Tłumacząc decyzję o agresji, często przypomina się więc szczególną rolę, którą Ukraina zajmuje na narracyjnej i sakralnej mapie Rosji i „ruskiego miru". Alain Besançon pisał niegdyś o rosyjskim „koncepcie miłości towarzyszącej imperialnym ambicjom oraz dominacji przez miłość". Napisał też: „Odzyskanie niepodległości przez Ukrainę było dla wielu Rosjan aktem niewierności, żywym bólem miłosnej zdrady". Co oczywiście nie usprawiedliwia (zrozumieć – to wcale nie znaczy usprawiedliwić), ale według wielu wyjaśnia furię odwetu. Zdrajców zawsze traktuje się gorzej niż zwykłych, obcych wrogów. Ten aspekt sytuacji doskonale i lapidarnie oddaje zdanie napisane przez Fionnę Hill i Angelę Stent w „Foreign Affairs": „To Putin, Ukrainians are Nazis because they refuse to admit they are Russians" (Dla Putina Ukraińcy są nazistami, bo nie chcą przyznać, że są Rosjanami).

* * *

W Rosji istnieje w pewien sposób szczera tolerancja dla odmienności innych narodów i równościowe do nich podejście. Kończy się to jednak z chwilą, kiedy te narody odmawiają

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0

akceptacji dla „rosyjskiej idei" i swojego miejsca w świecie wymarzonym przez Rosjan. Jest to, jak zauważa historyk filozofii Marian Broda, odbierane jako cios zadany samym podstawom rosyjskiej tożsamości. Ujmując rzecz kolokwialnie – według Rosjanina wszystkich ludzi świata należy przytulić do serca, a będącym w potrzebie nawet oddać ostatnią koszulę. Ale tych, którzy odrzucają to przytulenie, trzeba zabić. Na zegarze rosyjskich emocji strzałka z pozycji „wyzwalamy braci" potrafi z niewiarygodną łatwością przesunąć się na pozycję „eksterminujemy zdrajców". Można porównać to do zachowania szaleńca, który z jakichś zrozumiałych tylko dla niego przyczyn uważa, że dana kobieta w sposób naturalny należy do niego, wręcz w dziwny sposób szczerze ją kocha, ale kiedy okazuje się, że ona nie odwzajemnia jego pasji, to ją morduje – jest bowiem do tego stopnia „wrażliwy", poczucie odrzucenia boli go tak strasznie, że nie potrafi zareagować inaczej.

Dmitrij Jefremienko, popierający agresję politolog z Rosyjskiej Akademii Nauk, pisze: „Ponieważ Kijów był centrum pierwszej państwowości wschodnich Słowian, kolebką ich kultury i tożsamości religijnej, konflikt (z Ukrainą) dotyka fundamentalnych narracji historycznych i kluczowej symboliki", a „traktowanie Rosjan, Ukraińców i Białorusinów jako trójjedynego narodu prowadzi do tego, że pojawienie się »Antyrosji« wewnątrz obszaru zamieszkania tego narodu może być porównane z katastrofą egzystencjalną". Przywołuje tu stworzone przez brytyjskiego socjologa Anthony'ego Giddensa pojęcie bezpieczeństwa ontologicznego. Sam Giddens opisywał to bezpieczeństwo jako poczucie ciągłości i porządku zdarzeń w życiu człowieka. Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie definiują je zaś jako „poczucie podmiotu, że zachowuje pewien obszar sprawstwa odnośnie do biegu zdarzeń, które postrzega jako dla siebie istotne" i przypominają, że znika ono, gdy pojawia się „niepewność co do własnej tożsamości".

> Według Rosjanina wszystkich ludzi świata należy przytulić do serca, a będącym w potrzebie nawet oddać ostatnią koszulę. Ale tych, którzy odrzucają to przytulenie, trzeba zabić

Uważam, że powyższe definicje dadzą się zastosować do rosyjskiego myślenia o Ukrainie i wyjaśniają rosyjskie reakcje na opuszczanie przez nią tego, co Moskwa postrzega jako „ruski mir". Destrukcja „trójjedynego narodu" odbiera bowiem Rosjanom sens istnienia. Nigdy nie autoidentyfikowali się oni bowiem jako kolejny „zwykły" naród. Mieli pełnić misję ogólnoświatową, w niedookreślony sposób uniwersalnie mesjańską. Te ambicje legły w gruzach, a koncepcja „ruskiego miru" i „trójjedynego narodu" – w naszych oczach będąca aberracją, nie tylko niemającą nic wspólnego z rzeczywistością, ale i ambicją nie na miarę sił współczesnej Rosji – dla Rosjan jest ostatnią, nędzną resztką, ostatnią pozostałością ich pieszczonego przez wieki niejasnego, niemniej zawsze intensywnie przeżywanego (i postrzeganego jako gigantyczne) historyczno-religijno-politycznego przeznaczenia, które rozsypało się w pył. Jest ich ostatnią linią obrony, rozumianą jako ostatnia rubież ich tożsamości jako bytu w jakikolwiek sposób różniącego się od wszystkich innych – prozaicznych i małych (rozmiarem czy przynajmniej duchem) narodów.

Jeśli tak na to spojrzymy, to możemy dostrzec, że istotnie odejście Ukrainy było (i jest) w ich oczach nie tylko zdradą młodszych braci, których należy za to ukarać. Było zasadniczym naruszeniem resztek ontologicznego bezpieczeństwa Rosjan – utratą przez naród rosyjski poczucia sensu istnienia. Zaznaczam, że oczywiście nie traktuję posiadania tak rozumianego bezpieczeństwa ontologicznego jako prawa narodów, posługuję się nim tutaj wyłącznie opisowo. Nie chodzi tu o to, czy Rosjanie postrzegają świat właściwie, tylko o to, w jaki sposób go postrzegają.

Warto tu odnotować, że wśród popierających inwazję rosyjskich analityków popularne są dwa porównania obecnej sytuacji do przykładów z historii – jeden z nich jest dla Rosjan przykładem negatywnym i odstraszającym, a drugi pozytywnym i pouczającym. Ten pierwszy to przykład Indii, które dopuściły do utworzenia i utrwalenia się Pakistanu – jako państwa ufundowanego na antyindyjskości, jako „Antyindii". Ten drugi zaś, pozytywny – to przykład USA Lincolna, które ani na moment nie uznały legalności utworzenia Konfederacji Południa, rozpoczęły bezlitosną wojnę i blokadę i w końcu zdusiły secesję, doprowadzając do cofnięcia procesu powstawania odrębnego, południowego narodu, który, pokonany, na powrót stał się częścią narodu amerykańskiego.

Na sprawę trzeba też spojrzeć przez pryzmat cywilizacyjnej odrębności Rosji od reszty świata białego człowieka. Odrębności zawsze przyjmowanej przez Rosjan z jednej strony z dumą, a z drugiej i z niepewnością, i jako swego rodzaju niekomfortowe osamotnienie. Otóż odejście Ukrainy oznacza, że Rosja pozostaje już zupełnie sama. Że jej wyboru cywilizacyjnego, o którego wartość Rosjanie toczyli zawsze dramatyczne spory z Zachodem i między sobą, nie chce już dzielić z nią kompletnie nikt. A to oznacza radykalne zakwestionowanie wartości tego wyboru.

To jest dla Rosjan cios tak dramatyczny, że trzeba zgodzić się z izraelsko-rosyjskim publicystą Avigdorem Eskinem, który określił tę sytuację lapidarnie słowami: „Rosyjska cywilizacja umiera".

W tej szokowej sytuacji jedyną szansą utrzymania poczucia sensu własnej egzystencji jest dla Rosji prowadzenie wiecznej wojny. Wiecznej wojny z wiecznym „faszyzmem", który stale się odradza, i nigdy nie zostanie dobity do końca.

Bo przecież nie po to został wymyślony, żeby zniknąć.

Piotr Skwieciński

Tekst jest fragmentem nowej książki Piotra Skwiecińskiego zatytułowanej „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji", Teologia Polityczna, 2022.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Takie będą Rzeczypospolite...

Szkoła bez manipulacji!

W świecie pełnym kłamstw – zwanych dziś fake newsami – w którym coraz większa część otaczającej nas rzeczywistości zamienia się w pole walki politycznej i ideologicznej, jak nigdy potrzebujemy szkoły, która nauczyłaby młodych ludzi krytycznej i naprawdę samodzielnej oceny zjawisk, opartej na uniwersalnych kryteriach, ustalonych przez wieki edukacji klasycznej

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie...” – te wiekopomne słowa hetmana Jana Zamoyskiego, fundatora Akademii Zamojskiej, są dziś niemniej aktualne niż pod koniec XVI w. Jak skończyła IRzeczpospolita niestety wiemy, stąd smutny wniosek, że wskazówka wielkiego hetmana trafiła jednak w próżnię. Dziś stoimy przed zadaniem w wielu aspektach historycznie podobnym. To, jak uda się wykształcić młodych Polaków, jakie wartości im zaszczepić, do jakich spraw rozpalić ich serca i umysły, zaważy o przyszłym losie naszej ojczyzny. Czy staniemy się peryferiami sfederalizowanej Europy zupełnie oderwanej od swoich własnych korzeni cywilizacyjnych, zainteresowani jedynie jako takim przetrwaniem, czy też oprzemy się wpływom bogatszych właścicieli przestrzeni medialnej, którzy za pomocą środków masowego przekazu chcą ogołocić młode pokolenie z wszelkich cech tożsamościowych – i to nie tylko narodowych, ale nawet płciowych!

Źle się zatem dzieje, gdy szkoła, zamiast uczyć przede wszystkim ważenia racji, oceny argumentów, umiejętności obrony swoich poglądów wywodzonych z logiki, sama staje się miejscem lansowania jednego konkretnego światopoglądu i jednej wąskiej ideologii. Takie podejście to nic innego jak zdrada idei edukacji, to manipulacja i indoktrynacja niemająca nic wspólnego z pedagogiką. Niestety, często dowiadujemy się o jakichś inicjatywach czy aktywnościach podejmowanych w szkole, które wpisują się w toczącą się dziś w Polsce wojnę polityczną, a przecież akurat szkoła powinna być miejscem absolutnie wolnym od takich przedsięwzięć. Nagminnie jest mylone zachęcanie młodych ludzi do aktywności obywatelskiej i rzekome rozbudzanie w nich postaw prospołecznych z ordynarną indoktrynacją i walką z nielubianymi przez wychowawców postaciami sceny politycznej czy ugrupowaniami parlamentarnymi.

Największą szkodliwością w takich działaniach, inspirowanych często przez pedagogów, jest odbieranie młodym ludziom możliwości wykształcenia w sobie obiektywnego, bo ważącego wiele racji i poglądów, sposobu oceny rzeczywistości. Zamiast człowieka o otwartym umyśle szkoła tworzy w ten sposób „pałkarza” czy „hejtera”, zorientowanego na jeden zestaw argumentów, co czyni młodego człowieka łatwym celem dla wszelkiej maści manipulatorów, propagandystów czy twórców fake newsów. Czy trudno się potem dziwić, że narastają takie zjawiska jak wszechobecna nienawiść, pogarda, brak umiejętności toczenia dyskusji z oponentem, z którym się nie zgadzamy? Czy trudno się dziwić, że coraz więcej portali internetowych zamyka możliwość umieszczania komentarzy pod artykułami? Czy trudno się dziwić, że poklask, a nawet podziw i uwielbienie zyskują tzw. patocelebryci, którzy z pogardy dla drugiego człowieka, treści obscenicznych i wulgarnych tworzą narzędzia materialnego zysku i ogromnej rozpoznawalności wśród młodych ludzi? Czy w szkole, w której przy aplauzie nauczycieli i w dobrym tonie jest drwić z wszelkich wartości, da się wychować człowieka, który trafnie oceni treści wulgarne i przemocowe serwowane przez tzw. patostreamerów? ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Dlaczego słyszymy o epidemii depresji wśród młodych ludzi

Dobro, prawda i piękno muszą wrócić do szkoły

Coraz gorsza kondycja psychiczna dzieci i nastolatków oraz rozpad więzi społecznych mają swoje konkretne przyczyny. W pandemii COVID-19 – a zwłaszcza w czasie nauki zdalnej – wskazywano, że to właśnie izolacja jest głównym powodem wymienionych wyżej problemów. Czy to jednak faktycznie była ich praprzyczyna, czy jedynie pogłębienie groźnych zjawisk, z którymi mamy do czynienia na niwie społecznej bez względu na to, czy akurat walczymy z wirusem, czy nie?

Niewątpliwie narastająca skala problemu, którym jest wzrost liczby przypadków depresji, problemów psychicznych, a także niestety samobójstw wśród ludzi młodych, jest także porażką współczesnej szkoły. I w tym miejscu należy też szybko podkreślić, że programy edukacyjne w pierwszej linii nie są tworzone przez szkoły, lecz realizujących je ludzi, a więc nauczycieli i wychowawców. Nigdy nie było tak, że uczniowie popadali w depresję i stany lękowe, bo opracowano zły system edukacyjny czy kazano uczyć o rzeczach, które były nieprzydatne czy kłamliwe.

TO NIE LENIN WPĘDZA „W DOŁA”

Dla pokoleń, które przeszły całą ścieżkę edukacyjną w PRL, jest jasne, że w młodym wieku nie popada się w depresję dlatego, że lekcja historii przedstawia zafałszowane fakty, jak choćby o niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnię w Katyniu, czego uczono w PRL, czy też dlatego, że na studiach należy zdać egzamin z marksizmu-leninizmu. Wielu uczniów w PRL miało szczęście spotkać na swojej drodze odważnych nauczycieli, którzy korygowali zamieszczone w reżimowych książkach bzdury, a ci, którzy takiego przywileju nie otrzymali, mieli szansę na znalezienie oparcia w rodzinie, Kościele czy nawet przyjaciołach z podwórka. Liczyła się baza – a tą były transcendentalia – dobro, prawda i piękno. Mimo istnienia programów próbujących zafałszować przeszłość, ludzie czuli się mocno osadzeni w rzeczywistości, w której bez wahania można było wskazać solidne fundamenty, prawdziwe aksjomaty, z którymi nie próbowała wówczas walczyć nawet władza komunistyczna. Była mama, tata, rodzina, babcia i dziadek, męskie pasje i zajęcia, kobiece pasje, hobby

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0

i zabawy. Było dosyć jasno powszechnie rozumiane zło i dobro. Złem zawsze była kradzież czy zabójstwo, ale też wyśmiewanie słabszych, przemoc wobec nich. Ważnymi wartościami były honor i odwaga, nawet najwięksi szkolni chuligani nie podnosili ręki na koleżanki ani nie obrzucali ich wyzwiskami.

RAK NASZYCH CZASÓW

Istniała cała masa problemów, od których nie jest wolna żadna epoka w historii ludzkości, ale to dopiero rak naszych czasów, czyli relatywizm biorący swój początek z rozwalania wszelkich fundamentów, niszczenia wszelkich aksjomatów, dewastowania wszelkich pojęć tożsamych z dobrem, prawdą i pięknem, dokonuje istnego spustoszenia w umysłach i psychice młodych ludzi. Oderwani od wszelkich prawd, spotykający na swojej drodze ludzi – korzystających jeszcze z resztek nabytego przez przeszłe pokolenia autorytetu nauczyciela – uczniowie są dziś w szkole pozbawiani jakiejkolwiek przystani tożsamościowej. Wmawia się im, że takie pojęcia, jak umiłowanie ojczyzny, poczucie przynależności do narodu, tożsamość płciowa czy rola społeczna z niej wynikająca, to nie tylko przeżytek, ale wręcz zło w czystej postaci. Młody człowiek, który ma to nieszczęście, że zamiast prawdziwego nauczyciela spotyka na swojej drodze nowoczesnego ideologa, dostanie wskazówki, że właściwie nie liczy się nic. Dla niczego nie warto żyć, dla niczego nie warto się poświęcać, dla niczego nie warto podjąć choćby najmniejszego trudu. Każdy wysiłek, każdy trud, każda przeciwność losu, których są pełne ludzkie życiorysy, jest przedstawiana jak opresja, próba zabrania wolności, ingerencja w intymne strefy. Cóż zatem zostaje? Poza pogonią za przyjemnością – zmysłową i cielesną – w zasadzie niewiele. Tak wszak żyją kierujące się instynktami zwierzęta i tak chce dziś kształtować ludzi szkoła, w której stosuje się zasadę cancel culture (kultura unieważniania). W bardziej „postępowych" placówkach edukacyjnych, np. w USA, zdarzają się już dziś lekcje, które trudno przeprowadzić z uwagi na uczniów poprzebieranych za zwierzęta, którzy szczekają, miauczą i ogólnie kopiują zachowania zwierząt, bo akurat danego dnia taką wybrali sobie tożsamość. Dzieje się to przy milczącej akceptacji pedagogów tychże placówek. Wszak jakakolwiek reakcja negatywna czy stanowcza byłaby zapewne odebrana jako opresja i doprowadziła do protestów środowisk żywo zainteresowanych postępującą dehumanizacją.

PUSTKA, PUSTKA, PUSTKA...

Skoro zatem takie zachowania są w szkołach akceptowane, to uczniowie mogą śmiało wysnuć wniosek, że także pochwalane. W tym miejscu pojawia się jednak pytanie na jak długo starczy paliwa ideologii gender i cancel culture? Wbrew bowiem temu, co głoszą ich piewcy, człowiek nie jest jedynie istotą cielesną, ale także duchową i to właśnie odróżnia go od zwierząt. Gdyby było inaczej, to po prostu ludzie nie byliby twórcami żadnej cywilizacji. Mało tego. Nawet istnienie tak zwariowanych i abstrakcyjnych filozofii jak gender dowodzi właśnie, że człowiek znacznie różni się od zwierząt, bo bazujący na instynktach świat fauny nie byłby w stanie urodzić z siebie tak nieprzystających do realizacji podstawowych zadań biologicznych trendów. Można zatem karmić swoje potrzeby cielesne i zmysłowe, poszukując w nich spełnienia i satysfakcji, ale jest to poszukiwanie z góry skazane na porażkę. Młody człowiek nie dostaje więc dziś w szkole powodów do tego, by poczuć się jednostką wartościową, czasem z siebie dumną, skłonną do ciężkiej pracy i zmotywowaną do czynienia świata wokół siebie lepszym miejscem, także dla innych. Zamiast tego dostaje komunikat, że dobre jest po prostu to, na co ma w tej chwili ochotę, że należy mu się uznanie i ma prawo do dumy bez względu na jakiekolwiek okoliczności zewnętrzne, a same skłonności, które w nim drzemią, już go w pełni definiują. Te absolutnie kruche podstawy bardzo szybko okazują się oszustwem. Pozbawiony jakiejkolwiek kotwicy w realnym świecie młody człowiek nie znajduje już spełnienia w realizacji swoich fizycznych zachcianek. Gdy na przeszkodzie w realizacji siebie staje przestrzeń intymna drugiego człowieka, dochodzi do przestępstw. Gdy napędzany wizją niepohamowanej konsumpcji młody człowiek sięga po cudze dobra w myśl znanej i w Polsce zasady „róbta co chceta", pryska bańka iluzji o świecie bez zasad i praw. Wreszcie gdy *n*-te użycie swojego ciała do zdobycia przyjemności zaczyna się nudzić, w życie wdziera się pustka. Nicość pożera umysły młodych ludzi, których przyzwyczajone dziś do życia na wiecznym dopaminowym haju szare komórki nie radzą sobie z tak zwykłym stanem ducha jak... nuda. Pełen ekranów świat stara się dostarczać na bieżąco informacji, z których każda ma być szokująca, przełomowa, historyczna, bezprecedensowa, no po prostu niezwykła. W efekcie wszystko jest już dziś niezwykłe, nawet gdy wieje wiatr i pada śnieg, to dowiadujemy się, że to kolejny niż o konkretnym imieniu, który przynosi nam zjawisko rangi apokaliptycznej. Tymczasem zwykły, codzienny, normalny świat bywa wciąż szary, spokojny, cichy, czasem nawet nudny. Czy można się dziwić młodym ludziom, że jest to dla nich stan nie do zaakceptowania, który wpędza ich psychikę w czarną otchłań rozpaczy? Czy niemający oparcia w niczym, co trwałoby dłużej niż chwilowa cielesna zachcianka albo fascynacja jednym z setek tytułów czytanych codziennie na ekranie smartfona, młody człowiek ma szansę przeżyć normalnie choć jeden zwykły szary dzień, kiedy akurat nic nie będzie się działo?

Czy jest szansa, że szkoła powróci na tory edukacji klasycznej, by znów odkryć przed uczniami, że istnieje obiektywna prawda, niezależna od punktu widzenia? Że możemy oprzeć się na wypracowanych przez twórcze pokolenia kanonach piękna i że prawdziwe dobro wykracza daleko poza to, co jest dobre dla mnie, a czasem nawet wymaga trudów i poświęceń? Czy jest jeszcze ratunek dla przyszłych pokoleń? ●

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Prawo oświatowe do poprawki – kto i czego uczy dzieci?

Szkoła nie może działać wbrew rodzicom

Wszystko zazwyczaj jest ubrane w piękne słowa. Rodzice na dzień przed planowanymi zajęciami dostają ogólną informację, że następnego dnia w szkole odbędą się zajęcia antydyskryminacyjne. A któż nie chciałby przecież, by jego dziecko było uczone szacunku do innych ludzi? To przecież z pozoru bardzo szczytny cel

Tak właśnie działają dziś organizacje pozarządowe, które starają się wprowadzać agendę związaną z ideologią gender do szkół. Gdy rodzice wykażą się większą dociekliwością, nagle okazuje się, że celem edukatorów, którzy mają prowadzić zajęcia, jest także uczenie postaw szacunku i zrozumienia dla drugiego człowieka m.in. bez względu na jego orientację seksualną. I tu u dbających o prawidłowy rozwój swoich pociech rodziców budzi się zrozumiały niepokój. Czy bowiem uczniowie szkoły podstawowej, a zwłaszcza jej młodszych klas, to akurat odpowiedni adresat takich prelekcji? Skąd właściwie pewność, czy treści przekazywane najmłodszym o tak wrażliwej dla ich rozwoju tematyce będą prezentowane we właściwy sposób? Jak zweryfikować, kto i z jakim doświadczeniem pedagogicznym zapozna nasze dzieci w szkole z tematyką oscylującą wokół seksualności człowieka? Czy sam fakt bycia członkiem organizacji pozarządowej, często samozwańczo eksperckiej, jest wystarczającym kryterium do umożliwienia kontaktu z dziećmi w szkole i akceptowania kolportowanych przez nią treści?

W tej sytuacji nasuwa się mnóstwo pytań, na które rodzice – poza bardzo ogólnymi i w zasadzie nic niewyjaśniającymi informacjami we wspomnianym mejlu – nie otrzymują odpowiedzi. Stąd też bierze się motywacja obecnego kierownictwa Ministerstwa Edukacji i Nauki, by ustawowo zagwarantować rodzicom i opiekunom większy wpływ na to, jakie zajęcia dodatkowe szkoła może zaoferować ich dzieciom.



Przygotowywana dotąd już dwukrotnie nowelizacja ustawy Prawo oświatowe dotyczyła właśnie m.in. kwestii zajęć dodatkowych prowadzonych w szkole przez stowarzyszenia i organizacje pozarządowe. Zakładała ona, że dyrektor szkoły lub placówki edukacyjnej będzie miał obowiązek uzyskać szczegółową informację o planie działania na terenie szkoły takiej organizacji oraz konspekt zajęć i wcześniejszy wgląd w materiały wykorzystywane na zajęciach. Dodatkowo dyrektor miał być zobowiązany do uzyskania pozytywnej opinii kuratora oświaty dotyczącej działań takiej organizacji w szkole lub placówce edukacyjnej. Z obowiązku tego miały być zwolnione jedynie organizacje harcerskie z uwagi na fakt, że profil ich działalności jest powszechnie znany i akceptowany.

Dodatkowo udział ucznia w zajęciach prowadzonych przez organizacje i stowarzyszenia miał być potwierdzony stosowną pisemną zgodą rodzica lub opiekuna.

Motywacją do nowelizacji ustawy był także fakt, że zdaniem MEiN obecne przepisy umożliwiają zaistnienie ryzyka indoktrynacji w szkole. Nie chodziło zatem o wykluczenie z możliwości oferowania zajęć tych podmiotów, których światopogląd może być sprzeczny z katalogiem wartości prawicowych czy katolickich, ale o pozostawienie w gestii rodziców i opiekunów kształtowania swoich pociech zgodnie z wyznawanymi przez nich wartościami, tak by nie podważać roli rodziny w procesie wychowawczym. Walka o szkołę bez manipulacji będzie trwała zapewne nadal. ●

O TAKĄ SZKOŁĘ WALCZY MEiN

Rodzic decyduje o wychowawczej funkcji szkoły. Wszystkie organizacje mają obowiązek przedstawić rodzicom lub pełnoletnim uczniom pełną informację o celach i treściach realizowanego programu zajęć.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Nie ma nic zaskakującego ani nowego w tym, że dzieci starają się kopiować świat dorosłych. Dziecięce zabawy bardzo często nawiązują do spraw zarezerwowanych dla osób dojrzałych, takich jak wojna, łapanie przestępców, a także odtwarzanie ról opiekunów w rodzinie czy pedagogów w szkole. Problem zaczyna się wówczas, gdy w świecie dorosłych zaczynają dominować wzorce patologiczne – kult przemocy, pogarda dla innych, wartościowanie oparte jedynie na zasobności portfela i wiele innych podobnych schematów, które zdominowały dzisiejsze media i kanały internetowe, bo się po prostu znakomicie sprzedają

Przemoc, wyłudzenia, kradzieże...

Jakie wzorce kopiują dziś małoletni

Przestępczość wśród nieletnich jest problemem, z którym społeczeństwa borykają się pod każdą szerokością geograficzną. Nie jest to także zjawisko nowe, ale nowe i niepokojące są tendencje, które pojawiają się wśród małoletnich, wiodąc ich na drogę konfliktu z prawem. Można zaryzykować tezę, że bezprecedensowy postęp technologiczny sprawił, że to młode pokolenia tworzą dziś awangardę dominujących zjawisk społecznych. Innymi słowy – to dzieci często dziś sprawniej niż ich rodzice poruszają się w obecnym świecie, w którym coraz większy udział komponentu wirtualnego deprecjonuje to, co stare i dobrze poznane dla starszych pokoleń. Rodzice i opiekunowie coraz częściej tracą nie tylko kontakt ze swoimi dziećmi, ale też rozeznanie co do tego, czym właściwie żyje młody człowiek, za którego wychowanie i ukształtowanie przecież odpowiadają. Warto zastanowić się nad wzorcami, które otrzymują młodzi ludzie z wirtualnego świata – nad autorytetami, które tworzą dla nich codziennie media społecznościowe – analizując kilka przypadków przestępstw, których dopuścili się nieletni w ostatnich miesiącach w Polsce. To także obraz zmieniającego się świata, w którym opiekunowie i wychowawcy mierzą się z coraz większymi trudnościami.

KULT PRZEMOCY

Jeden z najbardziej szokujących przykładów kopiowania świata dorosłych dostarczyli policjanci z chorzowskiej komendy. Funkcjonariusze z sekcji kryminalnej w ostatniej chwili nie dopuścili, by odbyła się nielegalna „gala" MMA, w której walczącymi z sobą zawodnikami miały być... dzieci. Policjanci ustalili i namierzyli miejsce pobytu organizatorów. Mężczyźni zostali już przesłuchani, a za zorganizowanie nielegalnych walk odpowiedzą teraz przed sądem. Nieletnimi uczestnikami również zajmie się sąd, w ich przypadku – rodzinny.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Policjanci otrzymali anonimową informację o planach zorganizowania takiego wydarzenia i choć informacja wydawała się wręcz niewiarygodna, to na szczęście postanowili ją sprawdzić. Jak się szybko okazało, informacja była prawdziwa. Przeglądając portale społecznościowe mundurowi natknęli się na oficjalną stronę wydarzenia. Choć początkowo wszystko wyglądało jedynie na żart, kolejne ustalenia niestety potwierdziły, że do bójek między dziećmi miało dojść całkiem na serio. Co istotne, śledczy ustalili, że podobno walki odbywały się już wcześniej. Wtedy organizacja wydarzenia była bardziej spontaniczna, ale jego sukces sprawił, że dwóch 18-latków i jeden 17-latek postanowili zorganizować „profesjonalną" galę dla nieletnich amatorów MMA. Na jednym z portali społecznościowych utworzyli jej oficjalny profil, na którym zamieszczali bieżące informacje. Na szczęście dzięki zdecydowanej reakcji chorzowskich policjantów, którzy w ostatniej chwili udaremnili nielegalne walki, nie doszło do żadnej tragedii. Nie uchroni to jednak zarówno organizatorów, jak i uczestników przed odpowiedzialnością. Dorosłym organizatorom grozi nawet trzyletni pobyt w więzieniu, a każdy z nieletnich indywidualnie będzie odpowiadał za swoje czyny przed sądem rodzinnym.

13-LATEK W ROLI ZŁODZIEJA

Inny przykład zaangażowania dzieci w nowe trendy przestępczości pochodzi z warszawskiej dzielnicy Ochota. To tam policjanci zatrzymali 13-latka, który podawał się za wnuczka pokrzywdzonego i uczestniczył w oszustwie, którego *modus operandi* można nazwać „na wypadek". Okradzionym w wyniku tego oszustwa miał być 67-latek, który mógł stracić aż 120 tys. zł.

Znów zaczęło się od informacji, która dotarła do policjantów. Brzmiała ona, że przy ul. Wiosny Ludów w Warszawie dzieją się dziwne rzeczy, a mianowicie właśnie może mieć miejsce próba wyłudzenia znacznej sumy pieniędzy. Kryminalni po przyjeździe na miejsce zastali 67-latka, który akurat prowadził rozmowę z oszustami. Tłumaczyli oni 67-latkowi, że jego siostrzeniec rzekomo spowodował wypadek i teraz grozi mu więzienie. Jedynym ratunkiem dla sprawcy wypadku, by mógł uniknąć więzienia, jest wpłacenie kaucji.

Oszuści po godzinie rozmowy z pokrzywdzonym wydali mu polecenie wyjścia przed posesję i przekazania pieniędzy prokuratorowi, który jest zaangażowany w sprawę. Tymczasem na chodniku do 67-latka podszedł... 13-letni chłopak, który odebrał torbę. Następnie nastolatek zaczął szybkim krokiem oddalać się w kierunku taksówki, która znajdowała się nieopodal. Kryminalni natychmiast po przekazaniu torby przystąpili do zatrzymania. Nieletni był zaskoczony, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. 13-latek po zebraniu materiału dowodowego został doprowadzony do sądu rodzinnego, gdzie postawiono mu zarzut popełnienia czynu karalnego oraz postanowiono o umieszczeniu go w schronisku dla nieletnich na okres trzech miesięcy.

Z INFORMATYKI MIELI SZÓSTKI

Funkcjonariusze Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu zatrzymali dwóch braci, którzy w okresie przed-



Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 97a9d6b8b0

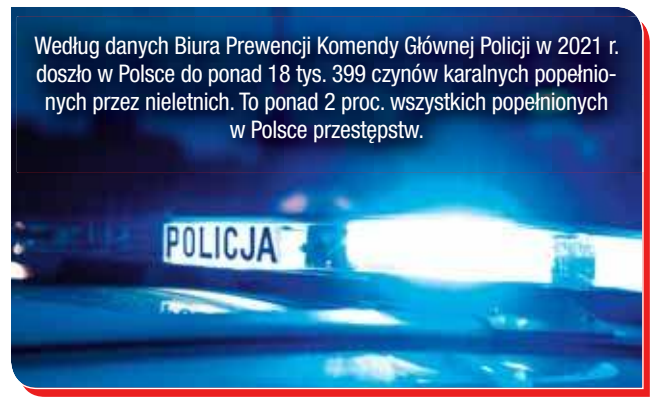
świątecznym postanowili zamówić za pośrednictwem jednej z popularnych platform sprzedażowych – na konto przypadkowych osób – przesyłki, a potem przechwycić je z paczkomatów. Przygotowali się do tego procederu, planując dokładnie każdy krok, jednak nie przewidzieli, że ich działania w sieci zostaną zauważone przez policyjnych specjalistów z tej dziedziny. Funkcjonariusze udowodnili młodym wrocławianom ponad 60 oszustw. Z uwagi na wiek sprawców tych czynów karalnych o ich dalszym losie będzie decydował sąd rodzinny i nieletnich.

Praca policjantów wydziału do walki z cyberprzestępczością polega głównie na ujawnianiu przestępstw popełnianych w internecie. Swoje umiejętności i specjalistyczny sprzęt wykorzystują do tego, by wytropić sprawców czynów zabronionych. Praca ta ma charakter przede wszystkim operacyjny, dlatego większość cyberprzestępców nie orientuje się nawet, że staje się obiektem zainteresowania policjantów tej specjalności. Tak też było w opisywanym przypadku z Wrocławia. Policjanci wpadli na trop osoby, która działając za pośrednictwem jednego z popularnych serwisów sprzedażowych, wyłudzała zakup towarów na koszt innych użytkowników tej platformy.

Kiedy policjanci sprawdzili szczegóły tych wyłudzeń, okazało się, że sprawca najpierw łamał zabezpieczenia do kont użytkowników zarejestrowanych na platformie, po czym logował się do nich bez autoryzacji, uzyskując tym samym dostęp do wszystkich danych tego użytkownika. Następnie zmieniał dane kontaktowe, podając własny numer telefonu i adres do skrzynki internetowej. Kolejnym krokiem było zamawianie rozmaitych produktów bez wiedzy właściciela konta, za które należność była pobierana z konta bankowego faktycznego właściciela. Przesyłki z kolei były kierowane do paczkomatów na terenie Wrocławia. Policjanci bardzo szybko wpadli na trop osób oszukujących w ten sposób. Ich zatrzymanie było tylko kwestią czasu. Pierwsza osoba związana z tym przestępczym procederem została zatrzymana już w piątek, zaraz po tym jak odebrała przesyłkę. Ku zaskoczeniu funkcjonariuszy był to 16-letni mieszkaniec Wrocławia. Kolejne czynności wykonane przez policjantów doprowadziły do zatrzymania jego 14-letniego brata. Wiadomo również, że podobnie działało kilkoro ich rówieśników. Nastolatkom wydawało się, że opracowali plan doskonały, by przed świętami zdobyć interesujące ich podarunki, jednak przecenili swoje umiejętności.

Przesyłki przechwycone w paczkomatach młodzi wrocławianie gromadzili w swoim mieszkaniu, pod łóżkiem, by nie zostały zauważone przez rodziców. Znalezione w ich mieszkaniu przedmioty zostały zabezpieczone przez policjantów.

Obaj bracia noc po zatrzymaniu spędzili w policyjnej izbie dziecka. Następnego dnia zostali przesłuchani, usłyszeli zarzuty popełnienia czynu karalnego, a całość materiałów zgromadzonych w tym postępowaniu została przekazana do sądu. Sprawami osób nieletnich zajmują się wydziały rodzinne i nieletnich, które mogą w takim przypadku orzec środek wychowawczy adekwatny do popełnionego czynu. Wachlarz możliwych do zastosowania środków zaczyna się od upomnienia, a kończy na skierowaniu nieletniego do ośrodka szkolno-wychowawczego, a nawet w określonych przypadkach do zakładu poprawczego.



Według danych Biura Prewencji Komendy Głównej Policji w 2021 r. doszło w Polsce do ponad 18 tys. 399 czynów karalnych popełnionych przez nieletnich. To ponad 2 proc. wszystkich popełnionych w Polsce przestępstw.

15-LETNI „POLICJANT”

W ręce kryminalnych z katowickiej komendy policji wpadł 15-latek podejrzany o udział w oszustwach metodą „na policjanta”. Wpadł na gorącym uczynku, gdy odbierał kopertę, w której miało być blisko 17 tys. zł. Przezorna seniorka zadzwoniła jednak na policję, a do koperty włożyła ulotki i gazety. Śledczy ustalili, że zatrzymany nastolatek jest także zamieszany w inne oszustwa podobną metodą.

Katowiccy policjanci zostali zaalarmowani o możliwej próbie oszustwa metodą „na policjanta”. Do 60-letniej mieszkanki Katowic zadzwonił mężczyzna podający się za jej bratanka, który chciał wyłudzić od niej prawie 17 tys. zł. Kobieta już kilka razy odbierała podobne telefony, co bardzo ją zdenerwowało. Postanowiła natychmiast powiadomić katowickich policjantów i pomóc w schwytaniu przestępców. Do koperty zamiast gotówki włożyła ulotki reklamowe i gazetę, które miała w domu. Następnie, już pod nadzorem policjantów, pojechała w umówione z przestępcą miejsce w celu przekazania „pieniędzy”. Kiedy 15-latek odbierał kopertę, został zatrzymany przez policjantów z katowickiej komendy.

Nastolatek trafił do policyjnej izby dziecka, gdzie okazało się, że jest uciekinierem z młodzieżowego ośrodka wychowawczego. Policjanci z wydziału do walki z przestępczością przeciwko mieniu szybko ustalili, że zatrzymany 15-latek jest również zamieszany w dwa inne wyłudzenia pieniędzy od seniorów. Śledczy sprawdzają, czy nie ma on na swoim koncie również innych przestępstw. ●

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Jak uzyskać pomoc z Funduszu Sprawiedliwości

Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Fundusz Sprawiedliwości jest państwowym funduszem celowym, ukierunkowanym na udzielanie bezpłatnej pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem, świadkom oraz osobom im najbliższym, osobom pozbawionym wolności, zwalnianym z zakładów karnych i aresztów śledczych oraz osobom im najbliższym, jak i przeciwdziałanie przyczynom przestępczości. Chociaż Fundusz Sprawiedliwości został utworzony już w 1997 r., to dopiero w ostatnich kilku latach zaczął pełnić znaczącą funkcję poprzez dynamiczny wzrost środków będących w dyspozycji Funduszu. Jeszcze w latach 2013–2017 miejsca świadczenia pomocy na udzielanie bezpłatnego wsparcia osobom pokrzywdzonym przestępstwem otrzymywały mniej niż 20 mln zł do podziału, w 2018 r. było to 25 mln zł, a w 2019 r. niemal 76 mln zł! Pieniądze te pochodzą ze świadczeń zasądzanych od sprawców przestępstw, a więc to sprawcy finansują pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem

Środki Funduszu Sprawiedliwości przeznaczane są na takie cele jak:

- pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem, świadkom oraz osobom im najbliższym. Jest to przede wszystkim pomoc prawna, psychologiczna i materialna,
- pomoc postpenitencjarna dla osób pozbawionych wolności, zwalnianych z zakładów karnych i aresztów śledczych oraz dla ich najbliższych, udzielana przez zawodowych kuratorów sądowych oraz Służbę Więzienną,
- działalność podejmowana lub powierzona przez Dysponenta Funduszu, mającą na celu wsparcie i rozwój systemu pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem i świadków oraz pomocy postpenitencjarnej, a także przeciwdziałanie przyczynom przestępczości, polegające w szczególności na:
  - promowaniu i wspieraniu inicjatyw oraz przedsięwzięć służących poprawie sytuacji osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz skutecznej readaptacji skazanych,
  - podejmowaniu przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym i informacyjnym, w tym dotyczących przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz jej zapobiegania,
  - pokrywaniu kosztów związanych z organizowaniem i prowadzeniem kształcenia, studiów podyplomowych, kursów dokształcających,
  - podejmowaniu, organizowaniu i zlecaniu badań naukowych, prac rozwojowych, współpracy z innymi jednostkami w tym zakresie, dotyczących sytuacji oraz potrzeb osób pokrzywdzonych przestępstwem, świadków, osób skazanych, a także przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz sposobów jej zapobiegania,
  - promowaniu systemu pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem i świadkom oraz pomocy postpenitencjarnej,
  - upowszechnianiu wiedzy na temat praw osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz alternatywnych metod rozwiązywania konfliktów, w szczególności mediacji w sprawach rodzinnych, nieletnich i karnych,
  - działaniu wspierającym rodziny zagrożone dysfunkcyjnością, w szczególności w zakresie profilaktyki i terapii uzależnień oraz współuzależnień i rozwiązywania konfliktów w rodzinie.

PLACÓWKI FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI SĄ W CAŁEJ POLSCE

Osoby pokrzywdzone przestępstwem nie mogą zostać same!

Po pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości można się zgłosić bezpośrednio do jednego z Okręgowych Ośrodków lub Lokalnego Punktu Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, tworzących ogólnopolską Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym, lub telefonicznie za pomocą Linii Pomocy Pokrzywdzonym pod nr. telefonu 222 309 900, lub przez skrzynkę pocztową info@numersos.pl.

Koszt połączenia z numerem jest analogiczny do połączenia z każdym numerem stacjonarnym (wg stawki operatora). Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. zamieszczono wykaz kilkuset placówek rozsianych po całej Polsce. ●

TAK WSPIERA FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

- Pieniądze od sprawców przestępstw ratują pacjentów już ponad 150 szpitali w całej Polsce, do których trafił sprzęt medyczny wart ponad 57 mln zł. Będą ratować pogrążonych w śpiączce chorych w utworzonej przez fundację Ewy Błaszczyk Klinice Budzik dla dorosłych, na której budowę Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył ponad 44 mln zł. Niosą ratunek w walce z koronawirusem, na którą Fundusz przekazał niebagatelną kwotą 25 mln zł.
- Pieniądze od sprawców przestępstw wspierają w ratowaniu ludzkiego zdrowia i życia strażaków ochotników, którzy z Funduszu Sprawiedliwości otrzymali w latach 2017–2022 już ponad 190 mln zł na zakup nowoczesnego sprzętu. Chronią przed wypadkami na drodze dzieci, do których trafiły 3 mln kamizelek odblaskowych.
- Fundusz Sprawiedliwości to także kilkaset miejsc świadczenia pomocy w całym kraju, tworzących ogólnopolską Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym, gdzie ofiary przestępstw codziennie otrzymują bezpłatne wsparcie prawne, psychologiczne i materialne. Nigdy wcześniej skala pomocy nie była tak wielka. Korzystają z niej dziesiątki tysięcy osób, których dotknęła tragedia – zostały pozbawione przez przestępców środków do życia, straciły zdrowie w wypadku, padły ofiarą przemocy domowej.

STOWARZYSZENIE AKADEMIA SPORTU Artura Siódmiaka

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 13/0123/F



Właśnie dostał oscarową nominację za rolę w filmie „Aftersun". Chwilę wcześniej ogłoszono, że zagra główną postać w kontynuacji megahitu „Gladiator" Ridleya Scotta. 26-letni Irlandczyk Paul Mescal to dziś w Hollywood gorące nazwisko

Zwyczajny chłopak

Fot. DFree/Shutterstock

eprasa.pl 97a9d6b8b0



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Pomogła mu... pandemia i irlandzki futbol. Urodzony w prowincjonalnym miasteczku Paul Mescal raptem trzy lata temu zadebiutował na małym ekranie, a dziś robi oszałamiającą karierę. Pojawia się w głośnych projektach, zdobywa uznanie widzów i krytyków. Do współpracy zapraszają go nie tylko reżyserzy, lecz także producenci mody i muzycy (nakręcony w sierpniu 2020 r. teledysk do utworu „Scarlet" The Rolling Stones z 1973 r. miał ponad 2,7 mln wyświetleń).

KLUCZ DO SUKCESU

Co jest takiego w tym chłopaku? Ani – obiektywnie rzecz biorąc – nie jest szczególnie atrakcyjny, ani błyskotliwy czy oryginalny. Faktycznie, jest wysportowany, ale czy to wystarczyło, by Ridley Scott zdecydował się powierzyć mu główną rolę w kontynuacji megahitu, który z Russela Crowe'a uczynił bożyszcze dawnych i współczesnych igrzysk?

Z pewnością Mescal znalazł się w odpowiednim czasie (pandemicznego zamknięcia) i miejscu, czyli w serialu, który pozwalał na ucieczkę z lockdownu. Trafił do historii przemawiającej do każdego, kto w perspektywie lub pamięci ma doświadczenia licealnego – często rozciągniętego na okres studiów – wchodzenia w dorosłość.

W wizerunku aktora, a przede wszystkim w perypetiach ekranowej postaci, która przyniosła mu międzynarodową rozpoznawalność, mogłoby się przejrzeć wielu podobnych mu młodych ludzi. To był klucz do pierwszego sukcesu, który Mescal potrafił przełożyć na kolejne.

OD CÓRKI DO CÓRKI

Przepustką do międzynarodowej kariery stał się wspomniany serial „Normalni ludzie" – rozpisana na kilka lat historia Connella i Marianne, którzy (choć wszystko ich różni) jeszcze w liceum zostają parą, a potem przechodzą kolejne uczuciowe etapy.

Po serialu szczególnie istotne okazały się dla Mescala trzy niezależne produkcje.

Dzięki „Córce" – reżyserskiemu debiutowi aktorki Maggie Gyllenhaal – trafił na duży ekran, pracując m.in. z Olivią Colman i Dakotą Johnson. W mrocznym dramacie „God's Creatures" był synem Emily Watson. Jednak to pełnometrażowy debiut szkockiej reżyserki Charlotte Wells pt. „Aftersun" przyniósł mu najważniejszą jak dotąd rolę – młodego ojca, który w latach 90. ub.w. wyjeżdża z 11-letnią córką na wakacje do tureckiego kurortu.

Wspólnie spędzany czas, rejestrowany nieporadnie amatorską kamerą, zbliża bohaterów, żyjących na co dzień z dala od siebie. Urlopowy relaks nie jest jednak w stanie przykryć problemów i napięć, z którymi boryka się rodzic grany przez Mescala.

PRZYSZŁOŚĆ I PRZESZŁOŚĆ

„Aftersun" właśnie trafia do polskich kin, a Paul Mescal zdążył już nagrać pierwszą z dziewięciu sesji niezwykłego projektu.



Fot. mat. prasowe

Kolejnego w filmografii Richarda Linklatera, twórcy realizowanego przez 12 lat, głośnego obrazu „Boyhood". „Merrily We Roll Along" to adaptacja broadwayowskiego musicalu Stephena Sondheima, opowiadająca o trójce przyjaciół walczących o sukces w branży rozrywkowej. Ma być kręcona przez... 20 lat!

Teraz przed Mescalem rola dorosłego Lucjusza, wnuka Marka Aureliusza i siostrzeńca Kommodusa (w „Gladiatorze" grał go Joaquin Phoenix).

W filmie, którego akcja ma się rozgrywać ok. 200 r. n.e., przyda się aktorowi zarówno siła, sprawność i praktyka zespołowej gry w kontaktowym (czyli znacznie brutalniejszym niż piłka nożna) gaelickim futbolu, jak i doświadczenie bliskiego planu w „Normalnych ludziach". Już tam oko kamery potrafiło wydobyć z dość prostej urody Mescala subtelność, a on sam udowodnił, że umie również grać emocjonalnie. Przede wszystkim jednak nieobca jest mu nieustająca praca nad warsztatem, dzięki czemu coraz ciekawiej i pełniej buduje ekranowych bohaterów. Pokazał to w „Aftersun".

GRA ZESPOŁOWA

Urodził się w 1996 r. jako jedno z trojga dzieci nauczyciela i policjantki. Marzył o karierze sportowej, ale przytrafiła mu się kontuzja. Miał już wtedy wyjście awaryjne.

Mówi, że jest po wielokroć szczęściarzem. Jako obiecujący zawodnik irlandzkiego futbolu (połączenie koszykówki, piłki nożnej, rugby i siatkówki) nie trafiłby na scenę, gdyby nie obowiązkowe zajęcia teatralne. Miał 16 lat, gdy zagrał pierwszą rolę – w „Upiorze w operze". Potem szkolny doradca zawodowy odwiódł go od planów wstąpienia do armii. Mescal dostał się do prestiżowej The Lir National Academy of Dramatic Art w Dublinie. Studia ukończył dokładnie w momencie, gdy BBC Three ogłosiło casting do „Normalnych ludzi" – hitu pandemii, który otworzył mu drzwi do kolejnych projektów. Także teatralnych. Zagrał m.in. w „Wielkim Gatsbym" i „Portrecie artysty z czasów młodości", a ostatnio w „Tramwaju zwanym pożądaniem".

Mówi, że nie planował aktorstwa, ale odnalazł się w nim, bo to wyjątkowa gra zespołowa, dająca poszczególnym graczom duże poczucie odrębności i jednocześnie niezwykle wciągająca.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Powstanie ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad maluchami

Nowe otwarcie programu Maluch+ to nowe zasady podziału środków i większy budżet – aż 5,5 mld zł – dzięki czemu ma powstać ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech. – Zależy nam na tym, by w każdej gminie działały instytucje zapewniające opiekę nad najmłodszymi dziećmi – wskazuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. Do 19 lutego br. trwa nabór wniosków do rozszerzonej edycji programu



Fot. Mateusz Włodarczyk

Program Maluch+ jest ważnym elementem wsparcia rodzin w wychowywaniu dzieci. Jest realizowany od 2011 r., ale to za rządów Zjednoczonej Prawicy nabrał rozpędu.

Od 2016 r. powstało ponad 140 tys. miejsc opieki nad maluchami. Na koniec 2015 r. było niespełna 3 tys. placówek, które oferowały zaledwie 84 tys. miejsc opieki. Dziś funkcjonuje ponad 8 tys. żłobków i klubów dziecięcych, w których jest ponad 228 tys. miejsc opieki nad maluchami.

5,5 MLD ZŁ NA ROZWÓJ SIECI OPIEKI NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

– Ogłoszenie nowej edycji programu to włączenie szóstego biegu w procesie rozwoju usług przeznaczonych dla rodzin z małymi dziećmi. To jednocześnie kolejny krok w budowie prawdziwie przyjaznej polityki państwa wobec rodzin – wskazuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Budżet programu Maluch+ to 5,5 mld zł. Dzięki zwiększonym środkom powstać ma ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech.

Program zawiera trzy źródła finansowania: budżet państwa, środki unijne z Krajowego Planu Odbudowy i środki z Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego. Dofinansowanie będzie można uzyskać na tworzenie nowych miejsc i ich funkcjonowanie przez 36 miesięcy. W ramach programu nie jest wymagany wkład własny.

ALGORYTM PODZIAŁU ŚRODKÓW

Pierwszeństwo w ramach programu Maluch+ mają gminy. Każda gmina ma zagwarantowane zgodnie z algorytmem środki na utworzenie miejsc opieki zarówno w nowych, jak i już istniejących instytucjach, a także środki na dofinansowanie przez 36 miesięcy funkcjonowania utworzonych miejsc opieki.

Co ważne, każda gmina – znając potrzeby swoich mieszkańców – może wnioskować o większe środki, niż wynikałoby to z algorytmu.

Jeżeli gminy nie zawnioskują o wskazane dla nich algorytmem środki, niewykorzystane pieniądze będą mogły zostać rozdysponowane wśród innych podmiotów uprawnionych do prowadzenia instytucji opieki nad dziećmi do lat trzech. Pierwszeństwo zawsze będą miały jednak gminy.

Na przeprowadzenie inwestycji gminy będą miały trzy lata. To większa elastyczność realizacji zadania. Pozostałe podmioty będą miały na to dwa lata.

WYSOKOŚĆ DOFINANSOWANIA

Kwota dofinansowania na tworzenie nowego miejsca opieki ze środków Krajowego Planu Odbudowy w dwóch typach instytucji (żłobkach i klubach dziecięcych) wynoszą odpowiednio:

- dla jednostek samorządu terytorialnego do 35 862 zł (bez VAT),
- pozostałe podmioty – 12 410 zł (z VAT).

W przypadku środków z Funduszy Europejskich dla Rozwoju Społecznego dofinansowanie na tworzenie nowego miejsca opieki w żłobkach, klubach dziecięcych i u dziennych opiekunów wynosi dla wszystkich 12 410 zł.

Kwota dofinansowania na funkcjonowanie przez 12 i 24 miesiące jednego miejsca to ok. 837 zł miesięcznie.

WAŻNE TERMINY!

Wniosek należy złożyć drogą elektroniczną do 19 lutego 2023 r. Następnie do 17 marca urzędy wojewódzkie będą miały czas na ocenę wniosków. Ogłoszenie wyników przez Ministra Rodziny i Polityki Społecznej odbędzie się do 28 kwietnia 2023 r.

Materiał powstał przy współpracy z

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 60/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Na scenie trzeba być przekonującym

W teatrze była Antygoną, Balladyną, Salomeą i Kasandrą. W serialu „W labiryncie" złodziejką-prostytutką. – By racje bohatera były przekonujące, rola musi być poprowadzona do końca. Katharsis widza jest czymś, dla czego warto grać – mówi *Anna Chodakowska*, aktorka Teatru Narodowego, świętująca 50-lecie pracy artystycznej, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem



Fot. Andrzej Wiktor

W jaki sposób trafiła pani do warszawskiej PWST?

Anna Chodakowska: Całe życie byłam wolnym człowiekiem – dyletantem. Pracę maturalną napisałam na wolny temat, która została bardzo dobrze oceniona. Nie wiedziałam, co mam wybrać, na jakie pójść studia. I złożyłam papiery do akademii sztuk pięknych.

Dzisiaj pani jeszcze rysuje?

Nie. To jest jak ze śpiewaniem, gdy się tego nie rozwija, nie gra stale koncertów, to zanika. Ale moje prace, które zaniosłam do ASP, zostały przyjęte. Tak mnie to przeraziło, że nie poszłam na egzamin teoretyczny. Nie chciałam kompromitować ojca, że komisji naopowiadam jakiś głupot w rodzaju pomylenia Paganiniego z Mussolinim albo z Modiglianim. Te studia przeszły mi koło nosa, ale by nie tracić czasu, będąc już po maturze, poszłam do średniej szkoły muzycznej. Więc dzięki temu byłam objęta tylko zajęciami muzycznymi i w trzy lata zaliczyłam pięć lat teorii i cztery lata gry na fortepianie. Moje śpiewanie było na tyle obiecujące, że po tych trzech latach moja pani profesor chciała mnie wysłać na akademię muzyczną. Jednak szybko doszłam do wniosku, że nawet po skończeniu studiów muzycznych będę mogła śpiewać najwyżej w chórze.

To było po prostu za mało?

Tak, a poza tym zawsze żywiłam przekonanie, że jeśli mam już coś robić, to ma być to ważne dla danego gatunku. I zdecydowałam się zdawać do warszawskiej PWST. Dwa razy zdawałam i dwa razy się nie dostałam, m.in. brakowało mi punktów za pochodzenie społeczne. Komisja, pamię-

eprasa

tając mnie z egzaminu z poprzedniego roku, tak się tym przejęła, że obiecała mi miejsce rektorskie, których liczbę specjalnie dla mnie poszerzono. Przez całe wakacje denerwowałam się strasznie w oczekiwaniu na decyzję. Inni takiego problemu nie mieli, ale to był socjalizm, a mój tatuś niestety nie był osobą ustosunkowaną politycznie. Ale już po pierwszym roku, gdy robiono największy odsiew, otrzymałam nagrodę rektorską. A pamiętam, że chciano po pierwszym roku wyrzucić nawet Piotra Fronczewskiego, bo wtedy uznano, że nie robił postępów. Wyrzucanie ze szkoły było nieubłagane i uważam, że dobrze, choć profesorowie mylili się od czasu do czasu. Teraz nastały czasy, że młodzież może skarżyć profesorów do sądu np. za nepotyzm. Denerwują się, gdy profesor mówi im: „Źle to zagrałeś". A ja studiowałam w czasach, gdy ktoś mówił mi: „Pani Aniu, grała to pani jak dupa wołowa". Rozumiałam, że grałam źle, ale nie miałam nikomu za złe, że ktoś tak do mnie powiedział, przeciwnie – bawiło mnie to.

50 lat temu wystawiono „Antygonę" Sofoklesa jako spektakl dyplomowy PWST. To był pani debiut.

Byliśmy na czwartym roku, a wraz ze mną m.in. Halina Rowicka, Ewa Borowik, Mietek Hryniewicz, Wiktor Zborowski. Naszym rektorem był wtedy Tadeusz Łomnicki, który zaprosił Adama Hanuszkiewicza do współpracy. To Adam zdecydował, że zagramy w „Antygonie". Ostatecznie, by zdecydować, kto zagra Antygonę, zorganizował przesłuchanie do świetnej muzyki skomponowanej przez Macieja Małeckiego, który napisał piękną wokalizę Antygony. Adam więc zaczął przesłuchiwać dziewczyny, a ja zgłosiłam się jako pierwsza. Wiedziałam, co jest zapisane w nutach, pomogła mi w tym wspomniana szkoła muzyczna, i zaśpiewałam a capella. Widziałem, jak Adam zmienia się na twarzy, i w tym momencie okazało się, że zaproponował mi główną rolę.

To był wielki sukces. W nowo otwartym nietypowym miejscu znanym jako Teatr Mały.

Miejsce było fantastyczne i idealne dla tej inscenizacji. Scena dającą bezpośredni kontakt z publicznością. To był mój totalny debiut, nie miałam wtedy pojęcia o aktorstwie, choć miałam pewne przeczucia. Poczułam wtedy, że chyba dobrze zrobiłam, że zostałam aktorką. W kluczowych momentach publiczność przechodziła wraz ze mną katharsis. Gdy pojawiała się chwila ciszy, słychać było pochlipywanie w chusteczkę i wzruszenie, ludzie przejmowali się tym tekstem.

Teraz nastały czasy, że młodzież może skarżyć profesorów do sądu np. za nepotyzm. Denerwują się, gdy profesor mówi im: źle to zagrałeś. A ja studiowałam w czasach, gdy ktoś mówił mi: Pani Aniu, grała to pani jak dupa wołowa. Rozumiałam, że grałam źle, ale nie miałam nikomu za złe, że ktoś tak do mnie powiedział, przeciwnie – bawiło mnie to

Już na starcie osiągnęła pani to, o co chodzi w antycznej tragedii.

To bardzo ważne, bo przemiana wewnętrzna widza jest czymś, dla czego warto grać. Nie jest przecież tak zawsze, gdy ktoś nie jest dostatecznie przekonującym. Marek Kondrat, gdyby to usłyszał, dostałby ataku śmiechu, bo on akurat uważa, że aktor jest tylko od grania i nie ma do spełnienia żadnej misji. Dzięki temu spektaklowi trafiliśmy do Teatru Narodowego, bo większość z nas Adam wziął od razu na etaty. Ludziom spektakl bardzo się podobał, a ja byłam chyba przekonująca w tej roli.

Czy później również się tak zdarzało?

Tak, choćby w „Śnie srebrnym Salomei" wystawionym w 1978 r. Słowacki – w moim odczuwaniu poezji – jest autentycznie metafizyczny. W tym tekście są poruszone ważne i trudne problemy, jest w nim też sporo ironii. A tematyka dziś bardzo aktualna – gdy autor „Snu..." powraca na Kresy, do wydarzeń z XVIII w. i rzezi polskiej szlachty przez chłopów ukraińskich. Jest też pokazany Polski dwór i relacje między nim a ukraińskim chłopstwem przeradzające się w teatr okrucieństwa. Prorok Wernyhora w pewnym momencie mówi: „Ukrainy nie będzie". Co dla mnie w dzisiejszej sytuacji wciąż jest dojmujące.

Pytanie – jak to dzisiaj wystawić?

Zdaje się, że teraz tego nie należy wystawiać, ale poczekać, aż się bardziej zrozumiemy. Trzeba sobie powiedzieć całą prawdę, nie upierać przy swoim – to wymaga czasu. Dotyczy to też Polaków. Na pewno wtedy łatwiej będzie się bratać. To warunek podstawowy. Oczywiście dzisiaj, gdy wybuchła wojna, jesteśmy wobec ich tragedii w porządku, a wszyscy są w szoku. Połączyły nas wspólne interesy i wspólne zagrożenie. Putin ma patologiczne widzenie świata, które spotęgowała chęć odtworzenia ZSRS.

Nigdy tego nie ukrywał. Rosja to państwo rewizjonistyczne.

Dlatego bardzo przeżyłam katastrofę w Smoleńsku, którą uważam za zamach. Oni do tego dążyli, a wokół tej sprawy mieliśmy do czynienia z wielką dezinformacją. Dlatego martwię się też o młodzież i jej świadomość historyczną. Czasem mam wrażenie, że jej te sprawy niewiele obchodzą. Mają tylko swoje smartfony wyczerpujące ich intelektualne możliwości.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Dlaczego aktorzy tak chętnie komentują politykę? Pytam głównie o tych, którzy po zwycięstwie prawicy wieszczyli koniec świata.

W ten sposób chcą pokazać własny punkt widzenia, który – o czym nie zawsze wiedzą – nie jest ich własnym punktem widzenia, ale formacji politycznej, którą popierają. Może czują się zniewoleni w wolnym kraju albo ich rozumienie patriotyzmu jest zupełnie inne od naszego? Działania UE wobec Polski, to – jak widać – robienie wszystkiego, byle nie rządziła tu prawica. I tutaj się pomylą, bo moim zdaniem będzie przeciwnie. Nie ma też żadnego powodu, by wycofywać religię ze szkół. Młodzież musi wiedzieć, do czego może odnieść swoje wybory życiowe, musi wiary doświadczyć. Nawet literatura tkwi korzeniami w Biblii, bo bez religii nie ma mowy o zrozumieniu z niej czegokolwiek.

Adam Hanuszkiewicz objął stanowisko dyrektora sceny narodowej po dymisji Kazimierza Dejmka i aferze z „Dziadami" w 1968 r., zdjętymi przez władze. Jego Kreon wyjątkowo akcentował racje władzy w starciu z racjami sumienia. Pani się z tym nie zgadza?

Kreon z zasady jest czynnikiem reprezentującym racje władzy, a Antygona uczucia sumienia i racje Boga. Kreon nie może w tym starciu zwyciężyć, bo ludzie najczęściej przyjmują racje boskie i stają po stronie uczuć, empatii. Hanuszkiewicz tak grał, bo był piekielnie zdeterminowany. W teatrze jest zasada, że aby coś było przekonujące, to tego rodzaju racje muszą zostać poprowadzone do końca. Jeśli nie są wyśrubowane, to nie ma konfliktu. „Współkochać przyszłam, nie współnienawidzić" – mówi Antygona, rzucając swój ostatni argument i próbując przezwyciężyć przenikający wszystko wielki, tragiczny agon aktualny dla wszystkich walczących o swoje racje. Grałam to bardzo uczuciowo, jakby pokonana przez niego opadłam z fizycznych sił. Ale mówiąc tę kwestię, ludzie skupiali uwagę na mnie, a Kreon-Hanuszkiewicz ich już nie obchodził. On nie układał się z władzą, choć oczywiście nie grał takich rzeczy, które zdjęłyby go ze stanowiska. To był ciężki czas. Pamiętajmy, że akurat Dejmek był partyjny.

Zmiotły go walki frakcyjne w PZPR?

Nawet nie, upadł, bo nie spodziewał się, że to będzie prowokacja, w którą nieświadomie zostali wciągnięci studenci. W taki oto sposób z powodu jednego przedstawienia Dejmek stał się bohaterem politycznym. Pamiętajmy, że w partii do samego końca był również Jerzy Grotowski i gdyby nie ten fakt, nikt nie pozwoliłby mu kierować Teatrem 13 Rzędów w Opolu. Tadeusz Łomnicki też był przecież w PZPR, nawet może z przekonania i być może, gdyby został ministrem kultury, byłoby to z korzyścią dla niej samej. Wojciech Siemion, również partyjny, przez wiele lat dyrektor Starej Prochowni, był wybitnym interpretatorem poezji, który w tym dystansował Gustawa Holoubka czy Zbigniewa Zapasiewicza. Adam tymczasem nie był w partii, przyszedł do Teatru Narodowego jako poważany reżyser, pierwszy dyrektor Teatru Telewizji. Robił tam świetne spektakle, które przez wiele lat szły na żywo.

Była pani jego aktorką. Kolejna trudna sztuka romantyczna i rola Balladyny. Znów sukces?

Grałam to 368 razy nawet po trzy razy dziennie. W pewnym momencie spektakle odbywały się co drugi dzień, włączając poniedziałki i wszystkie urlopy. Byłam młoda, nie buntowałam się, a poza tym mi się to podobało. Po każdym spektaklu byłam – jak to się mówi – „dętka", ale zadowolona z siebie.

> Nie ma też żadnego powodu, by wycofywać religię ze szkół. Młodzież musi wiedzieć, do czego może odnieść swoje wybory życiowe, musi wiary doświadczyć. Nawet literatura tkwi korzeniami w Biblii, bo bez religii nie ma mowy o zrozumieniu z niej czegokolwiek

To nasza klasyka, ale u Hanuszkiewicza interpretacje były pełne oryginalnych pomysłów inscenizacyjnych, np. słynna motorynka Honda Z 50 Monkey, którą zasuwała Goplana – Bożena Dykiel. Nie było wątpliwości, czy tak można?

Te motorki były fenomenalnym pomysłem. Nie spodziewałam się nawet, że tak dobrym. Hanuszkiewicz chciał się chyba przypodobać młodej publiczności. To działało. A do tego komiksowa scenografia, ale nie znaczy, że to było komiksowo zagrane. „Balladyna" to baśniowa ballada z elementami folkloru z czasu prehistorycznej Polski, miała też swoją wymowę polityczną, bo była realizacją historyczno-mitycznego obrazu „z chłopa król".

Do „Antygony" wróciła pani 20 lat później, tym razem także w roli reżysera. Skąd ten pomysł?

To był pomysł Leszka Mądzika, scenografa, współzałożyciela Sceny Plastycznej KUL. Wspólnie pracowaliśmy przy „Kassandrze" Christy Wolf wystawianej w latach 90. w Teatrze Studio. To świetna adaptacja powieści znanej autorki z byłej NRD, opowiadająca o Troi, w której zakulisowo rządzą strażnicy, co wywołuje zachwianie pozycji króla Priama. Kassandra przepowiada apokaliptyczny upadek Troi, ale nikt jej nie wierzy. Najważniejszym doświadczeniem, które z tej roli wyniosłam, jest przekonanie, że między „wiedzieć, widzieć, czuć" a „doświadczyć" najwyżej stoi właśnie doświadczenie. Znowu grałam osobę, która przechodzi katharsis. Warto

eprasa.pl 97a9d6b8b0

wspomnieć, że rzecz działa się w wodzie, w której staliśmy w czasie całego spektaklu. W specjalnym basenie zainstalowanym na scenie z wodą do wysokości 20 cm, co było zasługą wspomnianego Leszka Mądzika.

W tym teatrze pracowała pani u Jerzego Grzegorzewskiego. Co poza „Kassandrą" jest dla pani najważniejsze z tego okresu?

Rola Grety w „Pułapce" Tadeusza Różewicza. On kochał i nienawidził Grzegorzewskiego. Z jednej strony bardzo podobało mi się to, co on robił w teatrze, a z drugiej był też krytyczny. Podobało mu się, że jest taki niekonsekwentny. Wcześniej, w latach 70., jeszcze w Teatrze Małym, grałam w „Białym małżeństwie" także autorstwa Różewicza, które reżyserował Tadeusz Minc. Tam dopiero było katharsis wpisane w sztukę, w której główna bohaterka Bianka mająca dość świata patriarchalnego obnażyła się przed swoim narzeczonym, mówiąc: „Jestem twoim bratem", wrzuciła łachy do ognia. Inaczej mówiąc, oświadczyła, że nie jest już gotowa do małżeństwa, że zniszczona została przez swoją kulturę. To jest materiał na katharsis. Moje rozbieranie się do naga nie podobało się Adamowi Hanuszkiewiczowi, który kazał mnie omotać w bandaż jak mumię, a to mogło być w odbiorze wieloznaczne, zależne od wyobraźni widza.

Prymas Stefan Wyszyński protestował, Różewicz wywołał wtedy pewien skandal, przecież atakował tradycyjny porządek. Dzisiaj wszyscy go przelicytowali i chyba nie ma szans w konkurencji z teatrem zdobytym przez lewicę. To powszechne zjawisko?

Chyba powszechne, bo każdy chce się wyróżnić. Ale to raczej szybko schodzi z afisza, bo nie przyciąga publiczności. Jest to w jakiś sposób powielanie pomysłów, tendencji, które na Zachodzie dawno wybrzmiały. Wyważanie otwartych drzwi razem z futryną.

A skąd pomysł na Edwarda Stachurę? Płyta „Msza wędrującego" bardzo popularna w latach 80. Ile tysięcy razy grała pani ten monodram?

Na pewno to ponad 3 tys. występów. Najpierw ten program był poszerzony o fragmenty powieści, np. „Siekierezadę". Zresztą teksty Stachury recytowałam jeszcze przed jego tragiczną śmiercią. Pamiętam nawet spotkanie przed występem w Starej Prochowni, gdy go trochę prowokacyjnie zapytałam: „Panie Edwardzie jak ja mam ten wiersz powiedzieć?". Chciałam dowiedzieć się, co odpowie. A on do mnie: „Aaa! Niech pani mówi, jak chce". A potem z Krzysztofem Bukowskim doszliśmy do wniosku, że warto zrobić koncert pt. „Msza wędrującego". Płyta powstała jako nagroda Polskich Nagrań po naszym sukcesie na festiwalu piosenki aktorskiej we Wrocławiu. Gram to do dziś dnia, z tym samym muzykiem Romanem Ziemlańskim, ale ludzie są trudniejsi w odbiorze, bo nie są zakochani w Stachurze. Graliśmy to także w Teatrze Kamienica. Jacek Wakar napisał w recenzji, że mimo że jestem już starsza, to ten materiał jest wciąż ciekawy.

Teatr ten to dzieło życia Emiliana Kamińskiego. Jak go pani wspomina?

To był bardzo dobry kolega: dowcipny, pogodny, który potrafił jechać ryzykownym żartem. Choć miał czasem na głowie potworne rzeczy, gdy chciano zabrać teatr. Pracowaliśmy razem, nawet grałam w jednej ze sztuk tam wystawianych. „Mleko" greckiego autora w reżyserii Sebastiana Chondrokostasa było w przeciwieństwie do większości sztuk granych w Kamienicy raczej dla rozrywki, poważną sprawą o relacji granej przeze mnie matki do jej nieuleczalnie chorego syna. Niestety, koszty jej wystawiania spowodowały, że zaczął tracić pieniądze i sztuka została zdjęta, choć miała dobre przyjęcie. Nie był po prostu w stanie tak podnieść cen biletów, by się mu wszystko bilansowało. Emilian był również znany z bardziej konserwatywnych przekonań politycznych.

Serial „W labiryncie" przyniósł pani rozpoznawalność i sympatię ogólnopolskiej publiczności. Jak pani to wspomina?

Bardzo dobry serial. Pierwszy tego rodzaju w Polsce. Do dzisiaj serial ma fankluby na portalach społecznościowych, których prowadzący profile proszą mnie np. o komentarze, wypowiedzi, a minęło 30 lat. On wciąż podoba się ludziom w zupełnie różnym wieku, choć przecież nie jest zrealizowany w HD.

Jak pani do niego trafiła?

Zadzwonił do mnie kolega z liceum Wojciech Niżyński i zaproponował mi rolę Renaty, mówiąc: „Zagrasz mi rolę cioteczki Jilly [postać podstępnej intrygantki z popularnego w latach 80. serialu „Powrót do Edenu"], bo zrobiło się za szlachetnie i wymyśliłem postać siostry tej naszej blondynki Ewy Glinickiej, która będzie jej przeciwieństwem". I od razu się zgodziłam. Najpierw była złodziejką-prostytutką, ale po jakimś czasie postanowiono postać Renaty ustabilizować życiowo i stała się kwiaciarką resocjalizowaną przez pracę. W takim serialu gra się cudownie, ale jednak musiałam się wycofać, bo trudno było łączyć pracę w teatrze z trwającymi cały dzień zdjęciami w filmie. Tak wysokie tempo prowadzi do samospalenia. Zaproponowałam mu w końcu, by Renacie coś się stało, uległa jakiemuś wypadkowi. Widzom było ciężko rozstać się z nią, często zaczepiali mnie na ulicy, wołając: „Hej! Pani Renato, ja z panią na koniec świata". Musiałam oponować, że nazywam się Anna. Choć czasem w sklepach ludzie bez żadnego oporu ustawiali mnie przed sobą.

Wcześniej pani tego nie doświadczała?

Nie, teatr tak nie działał, choć chodziło do niego więcej ludzi niż teraz. Może dlatego, że nie było więcej ofert, bo ogólnie nic się nie działo. Teatr był dla ludzi ważny.

Pomaga pani zwierzętom.

Miałam zawsze mnóstwo kotów, teraz mam tylko trzy. Poza tym wszystko karmię dookoła, a w szczególności ptaki, np. wrony. Lubię, gdy są zadowolone, rozkrakane. Wydaję na zwierzęta trzy czwarte tego, co wydaję na siebie.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

3 MIŁOŚCI

Wielomorze



ROBERT TEKIELI

Cywilizacja zachodnia – Europa, Polska – są zagrożone równoczesną ofensywą rosyjskiego imperializmu i nieustanną presją cichego neomarksistowskiego Kulturkampfu. Toczy się wojna z instytucjami gwarantującymi indywidualną wolność i niepodległość wspólnot narodowych. Ba, cały świat wartości wywiedziony z Objawienia jest poddany opresji ze strony dwóch antycywilizacji. Obie nihilistyczne kultury – ta z Zachodu i ta ze Wschodu – nienawidzą Kościoła katolickiego, silnej rodziny i państwa narodowego, obu marzy się władza nad całym światem. Walczymy z dwoma cywilizacjami śmierci.

Czytam obecny raport z pola walki, nową książkę Andrzeja Nowaka zatytułowaną „Wojna i dziedzictwo", lecz nie mam tyle nadziei, co jej autor. Wątpię, by udało się znaleźć na Zachodzie wystarczająco wielu sojuszników w – jak pisze – „realnie istniejących wciąż narodach Europy i Ameryki". Według mnie tych kulturowych sojuszników, ludzi czerpiących z chrześcijaństwa i dziedzictwa antyku jest już tam zbyt niewielu. Nie istnieje europejski patriotyzm, a człowiek Zachodu wstydzi się swojej cywilizacji. Na duchowe wyzwanie oświecenia może odpowiedzieć jedynie katolicyzm, który przejdzie znów przez katakumby – ten Kościół ubogi, o którym w 1969 r. pisał proroczo kard. Ratzinger. Jestem więc optymistą. Apokaliptyczne jękolenia, które dochodzą mnie z wszystkich stron, uznaję za przejaw umysłowej słabości. Bo Apokalipsa zaczęła się już z chwilą Wniebowstąpienia. I – choć tutaj oczywiście lepiej nic nie mniemać, niż mniemać cokolwiek – będzie raczej za milion lat niż za trzy tygodnie.

Świat znalazł się w punkcie zwrotnym – wracam do „Wojny i dziedzictwa". Na Ukrainie toczy się wojna, której wynik zdecyduje o politycznej przyszłości całej Europy. Czy imperialna Moskwa znów wygra tak jak w 1709 r. pod Połtawą i na gruzach Berlina w 1945 r.? Czy Putinowi tak jak Piotrowi I i Stalinowi uda się zdominować Europę Wschodnią, a tym samym otworzyć sobie drogę ataku na Berlin i Paryż? Czy zdoła się on zbliżyć do urzeczywistnienia odwiecznych kremlowskich marzeń o panowaniu nad Europą i w końcu nad światem? Czy też Moskwa przegra na ukraińskich stepach, jak przegrała 100 lat temu pod Warszawą, gdy Polakom udało się zatrzymać pochód rosyjskiego imperializmu?

Słyszymy: to nie jest wojna Rosjan, to wojna Putina, on oszalał, przecież Rosja to taki kulturalny kraj... Andrzej Nowak przypomina: kultura rosyjska to nie tylko Lermontow, Czechow i „Jezioro łabędzie", ta kultura jest nie tylko czy-

Rosja to inna, gorsza cywilizacja, ufundowana na antyreligii. Bo sataniczne moskiewskie carosławie nie ma wiele wspólnego z chrześcijaństwem

sta i niewinna jak Tatiana z „Eugeniusza Oniegina". Istnieje też druga, dominująca strona rosyjskiej kultury i to na niej jest budowany fundament wojny, którą Rosja prowadzi od wieków ze światem. W każdej sekundzie Prokofiew i Szostakowicz tworzą swoje kantaty na cześć Stalina, Mandelsztam pisze obrzydliwy wierszyk o polskich legionistach, Brodski objawia swoją duszę raba w wulgarnym wierszu „Na niepodległość Ukrainy". Wszyscy oni wykrzykują: „Będę niewolnikiem, ale niewolnikiem cara wszechświata!". I jest nim, i Sołżenicyn z dumą przyjmujący order z rąk Putina – zbawcy wielkości Rosji, i kompozytor-pedofil Piotr Iljicz Czajkowski ozdabiający wystrzałami armatnimi swoją uwerturę o zwycięstwie nad Europą w 1812 r. A Dugin, Sołowjow, Putin wcale nie u sroki pod ogonem znajdują swoje argumenty na rzecz tezy o konieczności ostatecznej walki z Zachodem. „Takie argumenty – pisze Nowak – można znaleźć u Puszkina w jego największych dziełach: »Jeńcu kaukaskim« (sławiącym podbój Azji), »Jeźdźcu miedzianym«, głoszącym konieczny triumf imperium nad jednostką, czy zwłaszcza w antypolskiej trylogii lirycznej, zagrzewającej wojsko Mikołaja I do skutecznego rozdeptania polskiego buntu w 1831 r. Można takie argumenty znaleźć u Dostojewskiego, niemal w każdej z jego powieści, przesyconych kompleksami i nienawiścią do Zachodu, ale szczególnie w jego »Dzienniku pisarza«, wprost wyrażającym wolę dominacji nad światem i ostatecznego wytępienia »katolicko-polskiej hydry«".

Wyostrzę tezę prof. Nowaka: Rosja to inna, gorsza cywilizacja, ufundowana na antyreligii. Bo sataniczne moskiewskie carosławie nie ma wiele wspólnego z chrześcijaństwem.

A ciemna strona rosyjskiej kultury, dodaje autor „Dziejów Polski", stanowi „potężną broń w walce o umysły wiernych wyznawców wiary w świętą Ruś czy cara-katechona na całym świecie". Broń skuteczną: widzimy potem, jak mentalni niewolnicy Kremla chodzą po bożym świecie boso, ale w onucach, głoszą powstańczy

eprasa.pl 97a9d6b8b0



obłęd, widzą w Putinie zbawcę mającego uratować świat przed jarzmem atlantyckiej despocji i realizowanego przez elity Zachodu „postkapitalistycznego projektu likwidacji człowieczeństwa". Projekt likwidacji człowieczeństwa, zakwestionowania istnienia prawdy, zastąpienia piękna przez brzydotę jest dziś realizowany, ale stepowa antycywilizacja jest ostatnim adresem, pod którym należy szukać ratunku.

Ważne są uwagi Andrzeja Nowaka o demografii. W latach 1654–1655 Moskwa najechała tereny dzisiejszej Litwy i Białorusi i uprowadziła jedną czwartą ludności Wielkiego Księstwa Litewskiego, potem na mniejszą skalę powtórzył to Stalin. W 2022 r. Rosjanie uprowadzili w kierunku Sachalina ponad milion mieszkańców wschodniej Ukrainy, deportacje nadal trwają. „Ruski mir", „słowiańska wspólnota", jest potrzebna jako demograficzne zagłębie. Rosja nie będzie mogła przedłużyć swojego istnienia jako imperium, jeżeli nie wchłonie Ukrainy, stoi bowiem wobec zasadniczego wyzwania dla swojego projektu imperialnego. Brakuje jej nie tyle czołgów i rakiet, ile piechoty. I co o wiele ważniejsze, musi odsunąć od siebie widmo wewnętrznej islamizacji, która dokona się w ciągu 20, może 30 lat – dziś co piąty mieszkaniec Federacji Rosyjskiej to muzułmanin.

Ukraina i Białoruś są niezbędne ze względów demograficznych, Europa w całości jest potrzebna jako zapasowa siła technologiczna, ekonomiczna, by Rosja przestała być młodszym bratem Chin. Oto całkowicie logiczne rozumowanie strategiczne Putina i jednocześnie na zimno realizowany plan Rosji.

Od chwili gdy KGB przejęło władzę na Kremlu, Rosja wyrżnęła 1/5 ludności Czeczenii, w 2007 r. w Monachium Putin ogłosił deklarację wojny z Zachodem, w 2008 r. najechał zbrojnie na Gruzję i oderwał od niej część terytorium. W 2014 r. dokonał pierwszego rozbioru Ukrainy. Przez dwie dekady Rosja zbroiła się, dążąc do uzależnienia energetycznego Europy.

Putin ma w Europie silnych sojuszników. Niemcy i Francja chcą wrócić z Rosją do „realnych interesów", które można robić z silnymi kosztem słabszych. Wspólnym celem europejskich imperializmów jest wypchnięcie USA z naszego kontynentu i utrzymanie w kolonialnych ryzach „dzikich" krajów między Moskwą a Berlinem. Co ważne jest szczególnie dla Niemiec, pisze Andrzej Nowak – bo do utrzymania imperialnej pozycji Niemiec w Unii, wobec Francji także, jest konieczne zachowanie ich dominacji nad tym, co nazywa się w Berlinie Mitteleuropą. Ostatecznie Niemcy są gotowi podzielić się tą dominacją z Rosjanami.

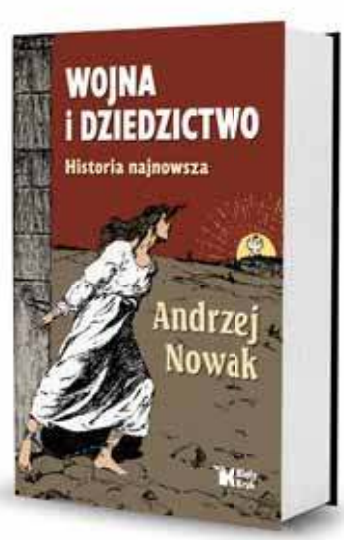
Pamiętajmy: gdyby sen Macrona i Putina o śmierci NATO się spełnił, Ukrainy już by nie było, a Putin negocjowałby spokojnie granice swojego imperium z Paryżem i Berlinem. Małe narody nie powinny przecież zakłócać interesów między naturalnymi panami świata, jedynymi uprawnionymi do Wielkiej Gry w geopolitykę – również amerykańscy „realiści" spod znaku Kissingera głoszą, że Rosji należy się strefa dominacji w Europie Wschodniej.

Poruszyłem tylko kilka wątków z wielobarwnej osnowy tez, analiz, w końcu – sensów tej książki. Uważam podobnie jak Andrzej Nowak, że poza walką duchową również wysiłek polityczny, szczególnie gdy chodzi o projekt Wielomorza, jest dla Polaków wielkim i jeszcze nieprzegranym wyzwaniem. Możemy dziś ocalić również tę wolność w porządku doczesnym.

3 marca, w pierwszym po wybuchu wojny felietonie, pisałem o scementowanym wdzięcznością i wspólnymi interesami pakcie Polski z wolną Ukrainą, o „80 mln zdeterminowanych ludzi". Dwa tygodnie później o „unii Obojga Narodów, o europejskiej potędze, którą jest 80 mln zjednoczonych Ukraińców i Polaków, wolnych, kochających wolność". „Krok i mamy nową Wspólnotę Węgla i Stali Ukrainy, Polski, Litwy, Łotwy i Estonii". „Dziś świat tak przyspieszył, że łatwo mogę sobie wyobrazić za parę lat federacyjny organizm państwowy".

Te wszystkie postulaty są aktualne, o ile chcemy reprezentować swoje interesy na międzynarodowej arenie, a nie być reprezentowani przez Rosję, Niemcy czy Stany Zjednoczone. Prof. Nowak przypomina: jak w 1920 r. decydował się nie tylko los Polski, lecz także los układu wersalskiego, tak dziś od losu Kijowa zależy nowy porządek globalny. Albo imperializmy, albo wolność i demokracja. Walka idzie bowiem o „utrzymanie imperialnego podziału na strefy wpływów – podziału na zwałach trupów". Dalej mamy mieć do czynienia „nie tyle z porządkiem międzynarodowym na globalną skalę, ile z porządkiem między-imperialnym".

Putin i Scholz, wchodząc w sojusz – tak jak chciał to zrobić 100 lat temu z Niemcami Lenin – odkładają na później kwestię, czy na zgliszczach Europy „powstanie nowa hegemonia germańska", czy też – jak wtedy chciał Kreml – „komunistyczny związek europejski". Kto kogo ogra? I Moskwa, i Berlin są przekonane, że zdominują euroazjatycki projekt budowany wzdłuż osi Paryż–Berlin–Moskwa. Niemiecki pomysł wydaje się sprytniejszy. Bo nie musi być albo-albo: hegemonii germańskiej może bowiem służyć nowy komunistyczny związek europejski zarządzany przez brukselskich komisarzy. Naszym zadaniem jest nie dać się znowu wymazać z mapy.



Fot. Shutterstock, materiały prasowe

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Adamski





Po prostu Neapol

Streaming

Jeżeli poruszyła was zeszłoroczna „Córka" Maggie Gyllenhaal, to „Zakłamane życie dorosłych" powinno co najmniej was zaciekawić. Odkryłem ten serial przypadkowo na Netfliksie, który ma specyficzną politykę zakopywania artystycznie ciekawych produkcji, mających zyskać rozgłos dzięki opiniom widzów w mediach społecznościowych i szeptanej propagandzie. Popularność tego serialu wzięła się nie z drogiej kampanii reklamowej czy przedpremierowych recenzji, ale właśnie z opinii zwykłych widzów.

Akcja „Córki" (film znalazł się na mojej liście Top 10 2022 r.) została przeniesiona z Włoch do Grecji, a jej bohaterami są Anglicy i Amerykanie, ale autorka książki, na podstawie której powstał film, Elena Ferrante jest na wskroś włoską pisarką. Ferrante to pseudonim autorki (niektórzy podejrzewają, że pisarza albo grupy pisarzy, choć to mało prawdopodobna teoria), w której krwiobiegu płynie neapolitańskość. Ferrante jest znana z neapolitańskiego cyklu („Genialna przyjaciółka", „Historia nowego nazwiska", „Historia ucieczki" i „Historia zaginionej dziewczynki"), który przybliżył współczesnemu odbiorcy specyfikę tego niezwykłego miasta. Miasta pełnego kontrastów. Miasta rozerwanego między rewolucje, katolicyzm, kult Diega Armanda Maradony i rządy kamorry, tak wybitnie pokazanej w serialu „Gomorra" (2014–2021).

„Zakłamane życie dorosłych" jest historią z gatunku young adult, ale w reżyserii związanego z Neapolem Edoarda De Angelisa nabiera wyjątkowej głębi i wychodzi ponad utarte schematy kina dla nastolatków. Akcja jest osadzona w Neapolu lat 90. i skupia się na życiu Giovanny (zjawiskowy debiut Giordany Marengo). Dziewczyna jest jedynaczką z tzw. dobrego domu, w którym prym wiedzie lewicowy (a nawet komunizujący) wykładowca wyższej uczelni Andrea (Alessandro Preziosi). Dom jest pełen książek, rozmów o socjalistycznej rewolucji i... tytułowych kłamstw. Giovanna przechodzi okres głębokiego buntu. Ma problemy z nauką, zachowaniem i coraz bardziej otwarcie pokazuje pogardę dla swojego życia w bogatej dzielnicy Neapolu. Nastolatka słyszy w pewnym momencie, że fizycznie i mentalnie upodabnia się do swojej tajemniczej ciotki, która została odseparowana od rodziny. Zaintrygowana, nawiązuje relacje z siostrą ojca Vittorią (Valeria Golino), która w przeciwieństwie do brata wciąż żyje w najpodlejszych dzielnicach Neapolu. Giovanna wchodzi w świat, przed którym jej lewicowi rodzice chcieli ją uchronić. Cóż, kawiorowa i kawiarniana lewica lubi brud ulicy tylko na papierze, nieprawdaż?

Dlaczego Vittoria i Andrea zerwali z sobą relacje? Co spowodowało, że Andrea, mający usta pełne frazesów o walce w imieniu prześladowanego proletariatu, brutalnie wyrwał swoje korzenie i rozsiadł się wygodnie w fotelu lewicowego intelektualisty? Czy będąca emanacją neapolitańskiej ulicy ciotka obnaży kłamstwa, w których Giovanna wyrasta, czy sama jest pozerką niemogącą znieść sukcesu swojego brata? Edoardo De Angelis bardzo sprawnie prowadzi nas przez emocjonalne i fizyczne dojrzewanie Giovanny, ale jednocześnie nie gubi tego, co czyni opowieść Ferrante tak ciekawą. To jest historia Neapolu, który jest nie tylko miastem. Jest stanem duszy i umysłu. Paolo Sorrentino opowiedział o tym w „To była ręka Boga". Możesz wyjechać z Neapolu, ale Neapol nie wyjedzie z ciebie – mówią nam zarówno Sorrentino, jak i twórcy „Zakłamanego życia dorosłych".

Giovanna zostaje nawet wciągnięta w środowiska katolickie, które również doskonale symbolizują odrębne podejście neapolitańczyków do wiary. Zbliżając się do Chrystusa, rzuca wyzwanie ojcu ateiście, ale prędko okazuje się, że jej wspólnota jest bardzo modernistyczna i chce dokonać rewolucji w duchu marksizującej teologii wyzwolenia. Bez karabinu, ale z Jezusem w czerwonych

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

szatach „pierwszego komunisty". Tajemnice i kłamstwa zamykają się w bransoletce, pamiętającej czasy starego, konserwatywnego Neapolu, która dla Giovanny i kilku innych bohaterek serialu jest pożądanym amuletem, totemem, a także kajdankami. Jest to więc również historia szukania wolności i własnej drogi życiowej. Wolności nie tylko od narzucanych ideologii, religii, lecz także koncepcji kobiecości.

Giovanna zmaga się z dwiema wizjami macierzyństwa. Jej biologiczna matka (Pina Turco) i ciotka, stająca się duchową matką, zostały skrzywdzone przez tego samego mężczyznę. Teraz własny ból przenoszą na Giovannę, która podskórnie wie, że potrzebuje własnej drogi emancypacji. De Angelis z wielką czułością prowadzi na ekranie kobiety, które są emanacją gorącej i bosko-diabelskiej neapolitańskiej duszy. Młodziutka i filmowo nieopierzona Marengo i Golino – jedna z diw włoskiego kina, która w latach 90. podbijała Hollywood – tworzą energetyzujący duet. Mieszanka słodko-gorzkiej dojrzałości i punkowej niewinności stoi za psychologiczną głębią opowieści, w której każdy ma swoje moralne i etyczne bruzdy. Wszystko na dodatek jest zanurzone w nostalgicznych latach 90. z walkmanami z dudniącym nie tylko włoskimi szlagierami, lecz także Ace of Base czy Massive Attack.

To zaskakujące, jak wiele treści może zostać podane w zaledwie sześcioodcinkowym miniserialu o dorastaniu nastolatki. Burzliwe dojrzewanie seksualne i mentalne, macierzyństwo, wojna klasowa, neomarksizm i katolicyzm, wieczna emigracja mieszkańców biednego południa Italii do bogatej północy oraz destrukcyjna siła małych kłamstewek i wielkich kłamstw. Sacrum i profanum. Wezuwiusz i mozzarella. Po prostu Neapol!

ZAKŁAMANE ŻYCIE DOROSŁYCH
SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIKSIE

O wiele więcej niż adaptacja gry

Nie grałem nigdy w The Last of Us, więc długo oczekiwaną ekranizację oceniam bez naleciałości fana kultowej i przełomowej gry. Oceniam ten serial za to jako miłośnik kina postapokaliptycznego, więc moje oczekiwania były pewnie nie mniej mocne niż graczy. Od pierwszej minuty dałem się wciągnąć w tę opowieść i celowo dawkuję sobie seans, oglądając jeden odcinek na tydzień. To jeden z seriali, który warto celebrować inaczej niż przez „binge watching". Zachwyca już brawurowe otwarcie z atakującym mieszkańców Teksasu tajemniczym grzybem w 2003 r. Zack Snyder z czasów remake'u „Świtu żywych trupów" byłby dumny. Potem zostajemy rzuceni wprost do Ameryki 2023 r. rządzonej przez wojskową juntę. Boston zamieniony w twierdzę, zamachy dokonywane przez partyzantów, a w centrum – niemogący uleczyć żalu po stracie dziecka – twardziel Joel o twarzy charyzmatycznego Pedro Pascala (tym razem w masce innej niż w serialu „Mandalorian") i 14-latka (Bella Ramsey), która nie zna świata wolnego od epidemii i dyktatury, a może stać się szansą na jego przywrócenie. Jest aktorska chemia między tym dwojgiem, choć część graczy narzeka, że Ramsey zupełnie nie przypomina pyskatej Ellie z gry. Relacja Joela z Ellie staje się dla niego sposobem na pogodzenie się z własną żałobą, a Ellie staje się szansą na pokonanie „pożeracza ciał". „The Last of Us" wykracza jednak poza tę świetnie skonstruowaną dwójkę bohaterów. W trzecim odcinku, będącym zresztą oddzielną telewizyjną perełką, świetnie jest rozwinięta postać Billa (Nick Offerman), która wpisuje się w poczet najciekawszych bohaterów postapokaliptycznych opowieści.



Zawsze gdy odpalam kolejne „postapo", mam wrażenie, że widziałem już wszystko w swoich ulubionych obrazach świata będącego w ostatnim stadium rozkładu. „12 małp" Gilliama, „Ludzkie dzieci" Cuarona, oparta na Cormacu McCarthym „Droga", „28 dni później" Boyle'a, „Mad Maxy" Millera i oczywiście zombiwarianty od George'a A. Romero oraz z serialu „The Walking Dead", który wycisnął (od pewnego momentu w irytujący sposób) do cna wszystko, co najważniejsze w kinie postapokaliptycznym – co można pokazać więcej?

Szukanie człowieczeństwa w świecie, w którym trzeba zabijać umarłych i bać się żywych, panuje wieczna żałoba i który wydobywa najgorsze i najlepsze ludzkie cechy – o tym są najlepsze opowieści o pożerających ludzkość wirusach/bakteriach/grzybach/kosmitach. W pierwszych odcinkach „The Last of Us" niczego nowego nie uświadczycie, ale stare prawdy tego filmowego gatunku są podane na tyle klimatycznie i ciekawie, że trudno w ten świat nie wejść każdym zmysłem. Mroczna opowieść o samotnym rodzicielstwie w świecie zombi jest bardzo dobrze napisana przez (wraz z twórcą gry Neilem Druckmannem) autora genialnego serialu „Czarnobyl" Craiga Mazina. Widać wpływ tego autora na strukturę opowieści. Jest znakomicie rozciągnięta między horror, klasyczną dystopię i przypowieść o rodzicielstwie. Wszystko jest doprawione odpowiednią dawką nostalgii.

THE LAST OF US SERIAL DOSTĘPNY NA HBO MAX



Powrót do ojczyzny

W chłodny grudniowy poranek przed bazyliką św. Brygidy w Gdańsku zebrały się osoby, dla których ważna jest pamięć o polskich patriotach oraz o ich postawie i osiągnięciach. Do ojczyzny wrócił człowiek, dzięki któremu Westerplatte jest w polskich rękach

Uroczysty pogrzeb Mieczysława Jałowieckiego i jego małżonki Zofii Anieli z Romockich Jałowieckiej 5 grudnia 2022 r. był ponownym pochówkiem małżeństwa. Pierwotnym miejscem ich spoczynku był podlondyński cmentarz w Beckenham. Po 60 latach od swojej śmierci wybitny polski patriota powrócił do ojczyzny, w której z honorami został pochowany na Cmentarzu Centralnym Srebrzysko w Gdańsku.



ŻYCIE DLA POLSKI

Mieczysław Jałowiecki, arystokrata i dyplomata, był pierwszym delegatem polskiego rządu w Gdańsku oraz aktywnym orędownikiem sprawy polskiej w tym mieście przed wybuchem II wojny światowej. Piastując funkcję generalnego delegata Ministerstwa Aprowizacji w Gdańsku, organizował pomoc żywnościową dostarczaną z USA. Od 1919 r. zajmował się wykupem z niemieckich rąk wielu ważnych nieruchomości na terenie Gdańska, w tym na półwyspie Westerplatte. Zorganizował także biuro paszportowe wydające wizy do Polski. Był członkiem komisji do spraw gdańskich przy polskiej delegacji biorącej udział w konferencji pokojowej w Paryżu. W 1924 r. za swoją działalność dla ojczyzny został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1939 r. wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł 10 marca 1962 r. i został pochowany na lokalnym cmentarzu w Beckenham.

Organizacja ponownego pochówku Jałowieckich w Gdańsku była zadaniem wieloetapowym, realizowanym przy zaangażowaniu kilku podmiotów. Kilka miesięcy trwały starania Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku o przeprowadzenie procedury repatriacyjnej, umożliwiającej sprowadzenie szczątków do Polski. Całe zadanie było współfinansowane ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Decyzją prawnuka Mieczysława Jałowieckiego nowym miejscem pochówku małżeństwa został Gdańsk. Nie był to wybór przypadkowy. Z miastem tym jest związany niezwykle ważny okres życia Jałowieckiego. To on, wykorzystując swoją wiedzę, umiejętności, kontakty i spryt, doprowadził do tego, że nieruchomości na Westerplatte znalazły się w polskich rękach. Mieczysław Jałowiecki wykazał się niezwykłym zmysłem strategicznym – już wtedy był świadomy wartości terenu Westerplatte. Jak zauważył, „kto ma Westerplatte, ten panuje nad wejściem do portu gdańskiego". Gdańsk więc był najbardziej naturalnym wyborem na nowe miejsce wiecznego spoczynku Mieczysława Jałowieckiego.

PRZYWRÓCIĆ PAMIĘĆ

Po sprowadzeniu szczątków do ojczyzny zaangażowane w przedsięwzięcie strony przystąpiły do realizacji jego ostatniego etapu. Datą wieńczącą prace jest 5 grudnia 2022 r., kiedy to zgromadzeni w kościele goście, uczestnicy pogrzebu, mogli oddać cześć Mieczysławowi Jałowieckiemu podczas uroczystej mszy w bazylice św. Brygidy. Na mocy zgody wydanej przez prezydent Gdańska szczątki państwa Jałowieckich spoczęły w alei zasłużonych gdańskiego cmentarza Srebrzysko.

Wysiłki Muzeum II Wojny Światowej, a także zaangażowanie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz współpraca z ambasadą RP w Londynie i władzami Gdańska umożliwiły zorganizowanie uroczystości pogrzebowej godnej zasług Mieczysława Jałowieckiego. Uczestniczyło w niej kilkaset osób. Pogrzeb miał charakter państwowy, a o uroczystą oprawę zadbała kompania honorowa i Orkiestra Reprezentacyjna Marynarki Wojennej.

Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, realizując to zadanie, nie tylko przywróciło ojczyźnie wybitnego polskiego patriotę. Spełniało również swoją misję, przypominając Polakom, gdańszczanom o zasługach Mieczysława Jałowieckiego, który w powszechnej świadomości pozostawał przez lata zapomniany.

Katarzyna Łuczak
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

Fot. Agnieszka Stawrosiejko/MIWS; MUZHP.PL

eprasa.pl 97a9d6b8b0

POLSKIE DAVOS

Polskie przedsiębiorstwa i narodowi czempioni na Światowym Forum Ekonomicznym



Andrzej Duda, prezydent RP

Polska ogniskowała uwagę i mocno istniała na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. To bardzo ważne, bo to promocja naszego kraju, budowanie polskiego wizerunku i pokazywanie, że się liczymy.



Mateusz Morawiecki, premier

Działając na rzecz pokoju, działamy nie tylko po to, by ocalić suwerenność, niepodległość, integralność terytorialną Ukrainy. Działamy po to, aby ocalić całą Europę, aby Europa nie musiała się czuć jak oblężona twierdza i zastanawiać się, kto może być następną ofiarą kolonializmu, imperializmu i dominacji rosyjskiej.



Marek Dietl, prezes Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie

W kwestii atrakcyjności inwestycyjnej Polski trzeba mieć świadomość, że w obecnej sytuacji nie można podjąć decyzji inwestycyjnej, nie biorąc pod uwagę aspektu bezpieczeństwa, a wymiar biznesowy ustępuje geopolityce. Z jednej strony inwestorzy obawiają się skutków rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Z perspektywy Hongkongu, Singapuru czy Nowego Jorku Polska znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie działań wojennych. Z drugiej strony stała obecność wojsk amerykańskich w Polsce znacząco podnosi atrakcyjność inwestycyjną.



Jacek Sasin, wicepremier, minister aktywów państwowych

Jesteśmy zainteresowani, żeby budować jak najszybciej i w jak największym wymiarze energetykę jądrową, bo to ma być w przyszłości fundament polskiego miksu energetycznego wraz z energią odnawialną, w zakresie której też odnosimy wielkie sukcesy. Energia jądrowa będzie w przyszłości głównym elementem polskiego miksu energetycznego – powiedział w Davos.



Wojciech Dąbrowski, prezes PGE Polska Grupa Energetyczna

Udział PGE w projekcie budowy elektrowni jądrowej jest realizacją polityki budowy źródeł niskoemisyjnych i inwestycji w odnawialne źródła energii, aby jak najszybciej produkować energię tańszą, a jednocześnie stabilną i zapewniającą polskim gospodarstwom domowym akceptowany poziom cen, a polskiej gospodarce trwałą konkurencyjność na świecie.



Aleksandra Agatowska, prezes PZU Życie

Byliśmy jedną z pierwszych dużych korporacji w Polsce, które wprowadziły na stałe hybrydowy model pracy – trzy dni w biurze, dwa w domu. To wielkie wyzwanie dla wszystkich kierujących zespołami, ale odpowiednio prowadząc tę zmianę, można utrzymać, a nawet zwiększyć efektywność i motywację ludzi.

WORLD ECONOMIC FORUM

eprasa.pl-97a9d6b8b0

Jesteśmy gotowi do odbudowy Ukrainy!

Debaty z udziałem przedstawicieli Banku Pekao S.A. w Davos były skupione wokół Ukrainy oraz energetyki, a także zapewnienia dalszego wzrostu gospodarczego Polski.

Bank Pekao S.A. już po raz czwarty był współgospodarzem Domu Polskiego w Davos zorganizowanego w trakcie Światowego Forum Ekonomicznego. Projekt Domu Polskiego ma na celu zaprezentowanie światowym liderom Polski i jej kluczowej pozycji w regionie. Bank Pekao S.A. był w Domu Polskim organizatorem debaty na jeden z tematów najbardziej żywiołowo dyskutowanych w Davos, czyli Ukrainy. Przedstawiciele banku brali też udział w innych dyskusjach na temat energetyki czy inwestycji.

Od czterech lat w Davos w czasie forum powstaje Dom Polski (Polish House), stworzony po raz pierwszy w 2019 r. z inicjatywy Banku Pekao S.A. i PZU. Tegoroczne hasło Domu Polskiego to „Poland – bridge to freedom" (Polska most do wolności) podkreślające skalę pomocy humanitarnej Polski dla ukraińskich uchodźców oraz geostrategiczną pozycję kraju, który łączy wschodnie i zachodnie gospodarki, a także otwiera drzwi do biznesowego potencjału regionu.

W raporcie z października 2022 r. analitycy Banku Pekao S.A. ocenili, że udział w odbudowie Ukrainy może przynieść Polsce znaczne korzyści, oszacowane na 3,6–3,8 proc. PKB. Perspektywy są niesamowicie korzystne zwłaszcza dla Polski, ale tę wojnę trzeba najpierw wygrać i to podkreślali wielokrotnie przedstawiciele Ukrainy w Davos

Właśnie tematowi Ukrainy była poświęcona debata „Rebuilding Ukraine. Mapping out the needs of Ukrainian business sector" (Odbudowa Ukrainy. Mapa potrzeb ukraińskiego sektora biznesowego), zainicjowana przez Bank Pekao S.A. Jej uczestnikami byli prezes Banku Pekao S.A. Leszek Skiba, wiceprezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju Alain Pilloux, partner zarządzający w ukraińskim oddziale McKinsey Ołeksandr Krawczenko, prezes Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie Marek Dietl i doradca ekonomiczny prezydenta Ukrainy Alexander Rodnyansky.

Debatę Banku Pekao S.A. poprzedziło przemówienie wicepremiera i ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, który nawiązując do hasła Domu Polskiego, wskazywał, że Polska z jednej strony jest mostem do wolności, przez który mają płynąć na Ukrainę niezbędne środki do prowadzenia wojny i wsparcia narodu ukraińskiego, a z drugiej – jest mostem, przez który Ukraińcy mogą przemaszerować do realizacji swoich euroatlantyckich i europejskich aspiracji.

Tę dyskusję zdominowały kwestie finansowania Ukrainy zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu, w tym właściwe zaplanowanie odbudowy zniszczonego przez wojnę kraju, tak by odbudowa przebiegała sprawnie i mogła się jak najszybciej rozpocząć. Prezes Banku Pekao S.A. Leszek Skiba wskazywał, że by tak się stało, Ukrainie jest potrzebny stabilny, nowoczesny i wolny od korupcji sektor bankowy.

– Po wygranej wojnie Ukraina musi mieć mocny sektor bankowy, który będzie fachowo alokować i inwestować pieniądze, wspierać wzrost gospodarczy i tworzenie miejsc pracy – komentował prezes Banku Pekao S.A. A w innej z debat z jego udziałem wskazywał na znaczne możliwości współpracy między Polską a Ukrainą i jednocześnie potrzebę zmian w polskiej gospodarce także

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 14/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Fot. Polish House

w obliczu zmian na Ukrainie – Polska powinna awansować w łańcuchach dostaw, zwiększyć marże i innowacyjność gospodarki. Konkurencja ze strony odbudowującej się Ukrainy będzie nas do tego dodatkowo motywować – mówił Leszek Skiba.

Uczestnicy debaty, której na miejscu w Davos przyglądali się przedstawiciele ukraińskich instytucji, firm i think tanków, w tym mer Lwowa Andrij Sadowy, zgodzili się, że odbudowa kraju z tak wielkich zniszczeń będzie wyzwaniem wymagającym znacznych nakładów i wcześniejszego strategicznego planowania.

Jerzy Kwieciński, wiceprezes Banku Pekao S.A., podczas panelu otwierającego wszystkie dyskusje w Domu Polskim zatytułowanego „Why Poland. Capturing the opportunity in the era of shift from globalization to regionalization" (Dlaczego Polska. Wykorzystanie szansy w dobie przejścia od globalizacji do regionalizacji) zadeklarował wsparcie polskiego banku dla wszystkich firm, które już dziś wyrażają chęć uczestniczenia w tym przedsięwzięciu.

– Polska stanowi swoisty pomost między Zachodem a Wschodem. Historycznie państwa odgrywające rolę takiego łącznika czerpały z tego powodu wielkie profity. Dostrzegamy to właśnie w tym momencie – gdy miliony przybywających do Polski Ukraińców rozwiązują nasz problem z brakiem rąk do pracy – dodał.

Bank Pekao S.A. uczestniczył także w innych debatach i dyskusjach panelowych, w których rozmówcy najwięcej uwagi poświęcili kwestii bezpieczeństwa energetycznego Europy, również Polski, po napaści Rosji na Ukrainę.

Przedstawiciele Banku Pekao S.A. podkreślali też gotowość banku do finansowania inwestycji w projekty związane z energetyką odnawialną, jak magazyny energii, biogazownie, farmy fotowoltaiczne. A w niedługim czasie wielkich inwestycji związanych z wiatrakami na morzu czy energetyką jądrową.

Obecność w Davos była również dla Banku Pekao S.A. okazją do spotkania z obecnymi oraz potencjalnymi klientami i kontrahentami oraz promocji banku jako jednej z największych instytucji finansowych w Polsce i regionie.

Maksymilian Wysocki

Materiał powstał przy współpracy z Bankiem Pekao S.A.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Most dla Ukrainy to szansa dla Polski

To lekcja z historii i zadanie na najbliższą przyszłość. Powiedzenie „Nigdy nie pozwól, by dobry kryzys się zmarnował" przypisuje się Winstonowi Churchillowi, który wypowiedział je w połowie lat 40., gdy świat zbliżał się do końca II wojny światowej. A Winston Churchill wiedział co nieco o kryzysie – pełnił funkcję premiera Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej. Prawdę znają i stosują do dziś choćby co bardziej zręczni inwestorzy giełdowi. Jest to też najważniejsze przesłanie płynące z licznych debat w Domu Polskim w Davos podczas tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego

Każda inwestycja w polską gospodarkę to dziś jasny sygnał, że strach przed rosyjskimi rakietami nie jest silniejszy od ducha i siły woli wolnego świata. Wierzę, że wolny świat wygra starcie z rosyjskim agresorem. Wierzę, że ważną rolę odegra w tym Polska, która jak żaden inny kraj wie, jaka jest cena wolności – mówiła Aleksandra Agatowska, prezes PZU Życie, podczas uroczystego otwarcia Domu Polskiego w Davos, witając gości na czele z wicepremierem i ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem.

Decydenci, ekonomiści i liderzy biznesu, którzy dyskutowali w Davos, zgodnie wskazywali na zmianę trendu i odwrót od globalizacji. Ogromne zakłócenia w łańcuchach dostaw podczas pandemii, a teraz wojny na Ukrainie, sprawiły, że zachodnie koncerny, które wcześniej przenosiły produkcję lub centra usługowe np. do krajów Azji Południowo-Wschodniej czy Chin, dziś przenoszą fabryki i biura na rynki bliższe tym, które uważają za bazowe, zwłaszcza do państw bliskich politycznie, powiązanych sojuszami wojskowymi, gospodarczymi (tzw. nearshoring). Czy Polska może na tym skorzystać i przyciągnąć nowe inwestycje zagraniczne? Czy nasz kraj może stać się regionalnym hubem produkcyjno-usługowym? Co musimy zrobić, by taki scenariusz się spełnił? O tym m.in. rozmawiano podczas

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 42/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

panelu „Dlaczego Polska? Wykorzystanie szansy w dobie przejścia od globalizacji do regionalizacji", otwierającego serię spotkań i dyskusji w Polskim Domu w Davos. Debatę poprowadził dr Grzegorz W. Cimochowski, partner, szef Działu Doradztwa Biznesowego KPMG w Polsce, który przypomniał na wstępie właśnie wspomniane wcześniej słowa Winstona Churchilla.

Tomasz Kulik, członek zarządu i dyrektor finansowy (CFO) Grupy PZU, zaznaczył, że choć „przyfrontowe" położenie Polski może być odbierane w obecnej sytuacji jako pewne ryzyko, to jednocześnie może okazać się dla nas błogosławieństwem, zwłaszcza w kontekście przyszłej odbudowy Ukrainy oraz wzrostu jej znaczenia dla Europy, co oznacza również odbudowę ukraińskiej infrastruktury, nowe inwestycje modernizacyjne. Polska w tej sytuacji będzie naturalną bazą wypadową dla inwestorów zainteresowanych ukraińskim rynkiem. Jak wskazywał Tomasz Kulik, we wcześniejszych dekadach zagraniczny kapitał do Polski przyciągały głównie niskie koszty pracy i jednocześnie dostępność wykwalifikowanych pracowników. Choć ten pierwszy aspekt stracił na znaczeniu w miarę wzrostu zamożności naszego społeczeństwa, to Polska ma nadal wiele atutów, by być perspektywicznym rynkiem dla zagranicznych inwestycji.

– Teraz nasze przewagi musimy budować w oparciu o cyfryzację i innowacje. Dziś Polska jest poligonem testowym dla wielu międzynarodowych firm, zwłaszcza z sektora IT. Jeśli będziemy konsekwentnie ograniczać stopień cyfrowego wykluczenia, to zarówno prywatne, jak i publiczne inwestycje w innowacje mogą wyzwolić olbrzymi potencjał naszych doskonałych kadr, co w epoce powszechnej digitalizacji i automatyzacji może rozpocząć nową, złotą erę Polski w roli atrakcyjnego miejsca do lokowania inwestycji i rozwijania biznesu – ocenił CFO Grupy PZU. – Żeby to osiągnąć, musimy kontynuować proces ograniczania barier dla swobody prowadzenia działalności gospodarczej, dbać o stabilność i przewidywalność systemu podatkowego – wyjaśnił.

NIE TYLKO O WOJNIE. PRACOWNIK NADAL W CENTRUM UWAGI

W Domu Polskim w Davos polscy i zagraniczni eksperci wiele mówili o najbardziej gorących dziś tematach strategicznych: bezpieczeństwie energetycznym, transformacji w kierunku odnawialnych źródeł energii i energetyki jądrowej, perspektywach dla Ukrainy i regionu Europy Środkowo-Wschodniej po wojnie, sposobach na przezwyciężenie kryzysu gospodarczego. Ale nie zabrakło dyskusji także o innych globalnych zjawiskach, zmieniających w istotny sposób świat biznesu.

Podczas panelu „Jakie są najlepsze strategie pozyskiwania talentów w nowej erze społecznej, demograficznej i kulturowej" prowadzący go prof. Marcin Piątkowski, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie i starszy ekonomista Banku Światowego, wskazywał, że obecne trendy nakładają wielką presję na pracodawców. Wśród największych wyzwań stojących przed nimi wymienił m.in. starzenie się społeczeństw i wzbierającą falę osób odchodzących z rynku pracy, wejście na rynek pokolenia Z o zupełnie innych oczekiwaniach, postęp technologiczny wymuszający ciągłe podnoszenie lub zmianę kwalifikacji, upowszechnienie pracy zdalnej. Wszystko to tworzy bardzo dynamiczne środowisko, w którym nowe pomysły na przyciągnięcie lub utrzymanie najzdolniejszych pracowników stają się pilną potrzebą firm.

O tym, jak wygrać walkę o talenty, dyskutowały prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska, Silvia Console Battilana – współzałożycielka (wraz z noblistą w dziedzinie ekonomii) i prezes firmy informatyczno-konsultingowej Auctionomics, Ana Birchall – wcześniej wicepremier i szefowa kilku resortów w rumuńskim rządzie, a obecnie przedstawicielka producenta energii jądrowej Nuclearelectrica, oraz Vera Futorjanski, założycielka i prezes firmy doradczej Veritas Ventures z Dubaju.

– W Grupie PZU kobiety zajmują ponad 60 proc. stanowisk, w tym ponad 55 proc. menedżerskich. Blisko 70 proc. naszych pracowników jest rodzicami. Pracują u nas osoby należące co najmniej do czterech różnych pokoleń – mówiła Aleksandra Agatowska. Podkreśliła, że Grupa PZU w praktyce stworzyła zróżnicowane i inkluzywne środowisko pracy, ale nie przez wprowadzanie sztucznych parytetów. – Nie faworyzujemy wybranych grup, lecz zachęcamy każdego pracownika do korzystania z równych szans rozwoju, które mają u nas wszyscy. To jest właściwa droga, a nie specjalne traktowanie kobiet – mówiła prezes PZU Życie. Podkreślała, że dziś dla przyciągnięcia lub zatrzymania w firmie najlepszych pracowników, a także jak najlepszego wykorzystania ich potencjału w sytuacji, gdy biznes przechodzi wielkie zmiany m.in. z powodu cyfryzacji, trzeba mocno stawiać na edukację – ciekawą i praktyczną ofertę szkoleń, warsztatów, inspirujących spotkań z liderami w różnych dziedzinach. Równie ważna jest troska o dobrostan pracowników, m.in. ich zdrowie fizyczne i psychiczne. Stąd liczne działania w obszarze wellbeing, które podejmuje największy polski ubezpieczyciel.

W debacie o obecnych i przyszłych trendach na globalnym rynku pracy pojawił się również temat upowszechnienia się pracy zdalnej po pandemii. Tu nie będzie odwrotu – zgodziły się panelistki. – Byliśmy jedną w pierwszych dużych korporacji w Polsce, które wprowadziły na stałe hybrydowy model pracy – trzy dni w biurze, dwa w domu. To wielkie wyzwanie dla wszystkich kierujących zespołami, ale odpowiednio prowadząc tę zmianę, można utrzymać, a nawet zwiększyć efektywność i motywację ludzi – zapewniała Aleksandra Agatowska, wskazując, że w badaniach zaangażowania pracowników Grupa PZU notuje wyraźną przewagę nad konkurencją.



Fot. Materiały prasowe

Maksymilian Wysocki

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Bezpieczeństwo energetyczne kluczowym tematem dyskusji w Davos

Podczas szczytu ekonomicznego w szwajcarskim Davos decydowały się losy światowej gospodarki na najbliższe lata. Wśród tematów nie brakowało rozważań nad bezpieczeństwem energetycznym. Rozmowy na temat budowy polskiej elektrowni jądrowej budowanej wspólnie przez PGE Polską Grupę Energetyczną, ZE PAK i koreański KHNP stały się jednym z ważniejszych wydarzeń w Domu Polskim. Słowa prezesa PGE Wojciecha Dąbrowskiego – „bez atomu nie będziemy w stanie sprostać rosnącym potrzebom odbiorców energii" – stały się motywem przewodnim rozmów na temat rozwoju energetyki jądrowej w Polsce

Światowe Forum Ekonomiczne co roku gromadzi liderów – ekonomistów, polityków, przedstawicieli biznesu, społeczników czy finansistów. W Domu Polskim prezentują się polskie, narodowe przedsiębiorstwa, które mają okazję przedstawić najważniejsze kierunki rozwoju polskiej gospodarki.

– Od kilku lat intensywnie pracujemy nad dywersyfikacją źródeł energii. Zwieńczeniem tego procesu będzie stworzenie systemu opartego m.in. na nowoczesnych, bezpiecznych elektrowniach atomowych. W ten sposób Polska osiągnie pełną suwerenność i dostęp do stabilnego źródła energii zaspokajającego potrzeby naszej dynamicznej gospodarki – mówił podczas spotkania dotyczącego rozwoju energetyki jądrowej w Polsce prezydent Andrzej Duda. – Nie ma wątpliwości wśród rozsądnych i trzeźwo myślących ekspertów, że nie można korzystać wyłącznie z odnawialnych źródeł energii bez wykorzystania energii pochodzącej z atomu. To jest dzisiaj konieczność dziejowa, wymaganie przyszłości – wskazał prezydent.

Współpraca polskiego czempiona – PGE – z Koreą Południową należy do kluczowych elementów naszej polityki energetycznej, nic więc dziwnego, że w spotkaniu dotyczącym budowy elektrowni jądrowej udział brali zarówno prezydent RP, jak i minister aktywów państwowych, wicepremier Jacek Sasin. – Choć inicjatywa ma charakter biznesowy, to cieszy się olbrzymim zainteresowaniem i poparciem polskiego rządu, czego dowodem jest udział w projekcie naszego narodowego czempiona energetycznego, będącego jedną z kluczowych spółek skarbu państwa – mówił Jacek Sasin.

To istotne słowa, bowiem jeszcze w październiku 2022 r. prezesi PGE, ZE PAK, a także koreańskiej KHNP podpisali list intencyjny zakładający opracowanie planu budowy elektrowni jądrowej, która miałaby stanąć w Pątnowie i miałaby wykorzystywać technologię APR-1400.

– Myśląc odpowiedzialnie o przyszłości Polski, musimy stawiać na przewidywalne źródła, które przez najbliższe kilkadziesiąt lat zapewnią nam bezpieczeństwo energetyczne. Stąd zaangażowanie PGE Polskiej Grupy Energetycznej w ten projekt – mówił prezes PGE Wojciech Dąbrowski.

Budowa elektrowni jądrowej jest nie tylko włączeniem atomu do polskiego miksu energetycznego, lecz także krokiem na rzecz zwiększenia naszego bezpieczeństwa. Kryzys energetyczny, wysokie ceny surowców i agresja Rosji – to wszystko negatywnie



Fot. Materiały prasowe

wpływa na bezpieczeństwo naszego kraju i regionu i takie działania są jak najbardziej uzasadnione. – Dzisiaj polskie źródła wytwarzania energii są jeszcze oparte na węglu, ale to jest kwestia przejściowa. W perspektywie kilkunastu lat będziemy odchodzili od węgla przede wszystkim ze względów ekonomicznych, gdyż wydobycie tego surowca jest coraz droższe. Polityka klimatyczna nakłada też na nas ogromne wydatki na emisję CO_2. Tylko w tym roku PGE Polska Grupa Energetyczna wyda na nie ponad 20 mld zł. Z tego wynika potrzeba budowy źródeł niskoemisyjnych i inwestycje w odnawialne źródła energii – mówił Wojciech Dąbrowski.

Polska elektrownia jądrowa będzie się wpisywać w tzw. zieloną transformację, dzięki czemu nasz kraj szybciej będzie w stanie spełnić unijne normy. Produkcja energii w realizowanej przez PGE, ZE PAK i KHNP elektrowni jądrowej uruchomiona zostanie w 2036 r. – PGE jest liderem zielonej energetyki w Polsce – podkreślał w Davos Wojciech Dąbrowski, wskazując, że oprócz atomu także budowane przez PGE morskie farmy wiatrowe odmienią oblicze naszego miksu energetycznego.

Zmiany w miksie, konsekwentne zazielenianie polskiej energetyki z zachowaniem bezpieczeństwa energetycznego są tym, czego Polska potrzebuje dzisiaj, by skuteczniej doganiać swoich europejskich partnerów. Tak można podsumować dyskusje prowadzone z udziałem i w obecności przedstawicieli PGE, którzy do Domu Polskim w Davos przywieźli w tym roku prawdziwie dobrą energię.

Arkady Saulski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 59/0123/F
Reklama | 36/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

TYGODNI DO ZDROWIA
PO COVID-19

Program Narodowego Funduszu Zdrowia

Mały wysiłek, wielkie efekty

COVID-19 może zostawić trwały ślad w organizmie. By przyspieszyć powrót do pełnego zdrowia, warto skorzystać z przygotowanego przez Narodowy Fundusz Zdrowia programu „8 tygodni do zdrowia po COVID-19". Program pomoże nam poprawić samopoczucie fizyczne i psychiczne, zredukować stres, wyregulować sen, a w efekcie wzmocni siły witalne.

Kardiolog i specjalista leczenia powikłań po COVID-19, dr n. med. Michał Chudzik wskazuje, że do częstych problemów po infekcji koronawirusem należy uczucie nieustannego zmęczenia oraz kłopoty ze snem. Powikłania te mogą bardzo pogorszyć nasze samopoczucie psychiczne.

> – ***Dla zachowania dobrostanu psychicznego niezbędny jest zdrowy, nieprzerywany i odpowiednio długi sen*** – podkreśla dr Chudzik.

Prawdopodobnie przyczyną zaburzeń jest niedobór tlenu w organizmie. Nasz układ oddechowy w czasie infekcji pracował mniej wydajnie. Powoduje to wzrost stężenia szkodliwych wolnych rodników i innych substancji prozapalnych. A w konsekwencji gorsze funkcjonowanie kluczowych układów, w tym komórek nerwowych, które są wrażliwe na niedobory tlenowe.

– *Zmiany w mózgu po COVID-19, opisywane potocznie, jako zespół zmęczenia, obejmują oprócz zmęczenia również zaburzenia poznawcze, zaburzenia pamięci, koncentracji, uwagi czy kłopoty z wypowiadaniem słów – mamy wrażenie, że nie pamiętamy słów* – dodaje lekarz Anna Plucik-Mrożek.

Jak zminimalizować ryzyko depresji?

U osób, które przed zachorowaniem na COVID-19 cieszyły się pełnią sił witalnych i intelektualnych, tak nagły spadek wydolności fizycznej, koncentracji, poczucie zmęczenia i bezsenność mogą prowadzić do złego samopoczucia psychicznego. Bywa, że lęk i niepewność wywołane nagłą zmianą przeradzają się nawet w depresję. Na szczęście można temu zapobiegać.

Dr psychologii Tomasz Prusiński wskazuje, że w okresie rekonwalescencji warto zmniejszyć liczbę planowanych zadań. Nie należy jednak sztucznie opóźniać powrotu do pracy zawodowej. Trzeba tylko zadbać o higienę psychiczną, nie przeciążać się i eliminować z codzienności tyle czynników stresowych, ile to możliwe.

– *Zastosujmy proste działania w ciągu każdego dnia* – doradza Tomasz Prusiński.

> ***– Rano, tuż po przebudzeniu, zamiast zrywać się na równe nogi, zróbmy rozciąganie kręgosłupa, wystarczy, leżąc, poprzeciągać się jak kot.***

A następnie pobudzić dłonie i stopy. Możemy zaciskać pięści, stukać dłonią w podeszwę stopy albo ją pomasować. Później, kiedy już dojedziemy do pracy, na naszym stanowisku posiedźmy wygodnie pięć minut bez ruchu, świadomie rozluźniając ciało. Nie róbmy nic przez chwilę. W pracy, kiedy kogoś słuchamy, to zanim się odezwiemy, policzmy w myślach do 10. W czasie mówienia kontrolujmy oddech. Te wszystkie działania pomogą przerwać spiralę codziennego stresu.

Relacje kluczem do dobrostanu

Ważne są też relacje w rodzinie, bo zapewniają dobrą atmosferę, mniejszy stres, dobre samopoczucie. Rodzina to podstawowa wartość każdego człowieka, można powiedzieć, że jest naszym filarem. Dlatego utrzymywanie dobrych relacji z najbliższymi jest tak ważne.

Tomasz Prusiński zachęca, byśmy z rodziną spędzali jak najwięcej czasu. Jeśli jesteśmy zapracowani, wykorzystajmy na budowanie bliskości małe domowe rytuały, jak wspólne przygotowanie śniadania, weekendowe spacery i wycieczki rowerowe, spotkania na imprezach rodzinnych. Nie marnujmy czasu, w którym możemy być razem: celebrujmy święta, rocznice, urodziny i imieniny. To bardzo wzmacnia relacje i sprawia, że jesteśmy sobie bliżsi.

Eksperci są na wyciągnięcie ręki

Chcesz poczuć się lepiej, ale nie wiesz, jak w prosty sposób poprawić swój nastrój? Warto wypróbować program „8 tygodni do zdrowia po COVID-19", przygotowany przez Narodowy Fundusz Zdrowia wspólnie z ekspertami.

Wystarczy urządzenie z dostępem do Internetu – telefon, telewizor czy laptop. Po wejściu na stronę **akademia.nfz.gov.pl** można przejść bezpośrednio do programu „8 tygodni do zdrowia po COVID-19". Na stronie znajdziemy między innymi plany treningów oddechowych, koncentracji, zmniejszających zmęczenie. Psycholog podpowiada, dlaczego warto się zatrzymać, jaki wpływ na zdrowie ma prawidłowy oddech, skąd czerpać wewnętrzną motywację, jaki wpływ na trening mają zaburzenia lękowe? Pamiętajmy – zmiana na lepsze jest na wyciągnięcie ręki!

Treningi i porady ekspertów są dostępne na stronie internetowej **akademia.nfz.gov.pl**

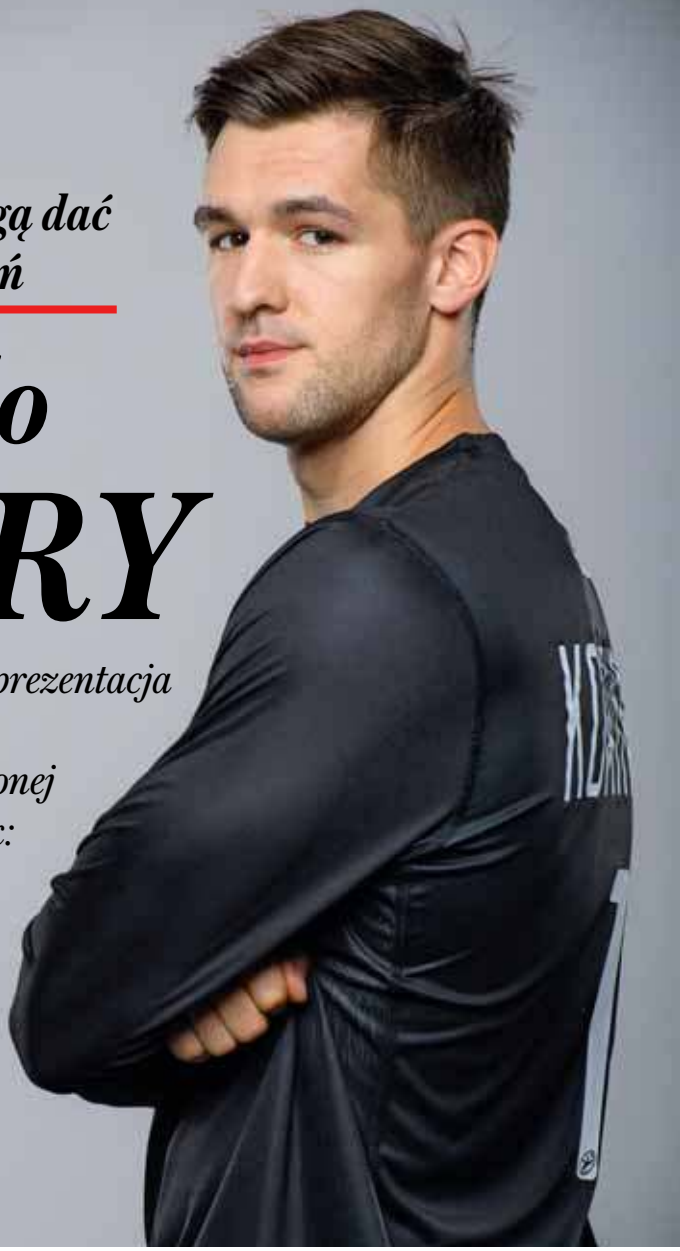
Zeskanuj kod **Akademia NFZ**

NFZ Narodowy Fundusz Zdrowia | Ministerstwo Zdrowia | Zdrowe Życie

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Polscy szczypiorniści jeszcze mogą dać nam dużo radości i wzruszeń

Mały krok do DUŻEJ GRY



Ile jeszcze będziemy musieli czekać na to, by reprezentacja Polski w piłce ręcznej mężczyzn nawiązała do sukcesów, które były udziałem kadry prowadzonej przez Bogdana Wentę z takimi gwiazdami, jak: Karol Bielecki, Mariusz Jurasik, Sławomir Szmal, bracia Bartosz i Michał Jureccy czy Marcin i Krzysztof Lijewscy? Czy okres, kiedy Wenta prowadził kadrę, był opus magnum polskiego szczypiorniaka, czy też zobaczymy jeszcze kiedyś Biało-Czerwonych w ścisłym finale wielkiej imprezy?

Zakończone wczoraj mistrzostwa świata w piłce ręcznej, które odbywały się w Polsce i Szwecji, można oceniać dwojako z punktu widzenia wyniku sportowego. Przede wszystkim przed rozpoczęciem turnieju nikt nie odważyłby się typować Polaków jako jednych z faworytów do miejsc medalowych mimo współorganizowania turnieju. Sztab szkoleniowy naszego zespołu sam wyznaczył cel, którym był awans do ćwierćfinału, i biorąc pod uwagę fakt, że los postawił na naszej drodze takie potęgi jak Francja i Hiszpania, był to cel bardzo ambitny, bo przynajmniej jedną z tych drużyn musieliśmy wyprzedzić, by znaleźć się w najlepszej ósemce mistrzostw świata. Założonego celu nie udało się zrealizować – oprócz Francji i Hiszpanii lepsza od polskiego zespołu okazała się także Słowenia. Trudno więc o satysfakcję z ogólnego wyniku, którym były miejsca 13.–16. w gronie 32 drużyn. Uplasowaliśmy się w połowie stawki i teraz rzecz w tym, by zdecydować, czy patrzeć na przyszłość tej drużyny oczami pesymisty, który widzi szklankę do połowy pustą, czy też optymisty, który widzi, że jest ona w połowie napełniona. Bo wbrew niezadowalającemu wynikowi sportowemu polski kibic ma, i to wcale niemałe, powody do optymizmu.

GDY ZA BARDZO CHCESZ…

Przede wszystkim mecze Polski ze wspomnianymi potęgami – jak Francja czy Hiszpania – były dość wyrównane. Z Francją przegraliśmy zaledwie dwoma bramkami, co oznacza w świecie piłki ręcznej „o włos", a Hiszpanów być może nawet przed porażką z polskim zespołem uratował bramkarz. Zdecydowanie najgorszym występem Biało-Czerwonych była potyczka ze Słowenią. Mówiło się o nim od miesięcy jako najważniejszym spotkaniu fazy wstępnej turnieju dla naszej drużyny, który bezwzględnie musimy wygrać, jeśli chcemy zachować szanse na upragniony ćwierćfinał. Polscy szczypiorniści ewidentnie nie udźwignęli presji tego spotkania. Przegrali je bardziej z sobą niż z rywalem, który wykorzystał bezlitośnie fakt, że nasi chcieli „za bardzo" i w efekcie nic im tego dnia nie wychodziło. Dotkliwa porażka ze Słowenią przesądziła też o tym, że kolejny mecz z teoretycznym outsiderem grupy, czyli Arabią Saudyjską, urósł do rangi spotkania o awans do kolejnej fazy turnieju. Polacy chcieli ewidentnie pokazać, że należą do tej części świata piłki ręcznej, która bez problemu i z bardzo wysoką przewagą ogrywa ekipy takie jak Arabia i znów… ta chęć zbudo-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 16/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

wała presję, która uczyniła mecz wyrównanym, ale ostatecznie wygranym przez nasz zespół niewielką przewagą.

KONCERT NA LUZIE

Gdy Polacy stracili cień szansy na awans do ćwierćfinału po porażce z Hiszpanią, już zupełnie bez presji i na luzie ograli wysoko Czarnogórę, a w ostatnim meczu turnieju Iran. Zakończyliśmy zatem mistrzostwa świata dwoma zwycięskimi meczami, pokazując pełnię swoich możliwości i umiejętności zwłaszcza w meczu z Czarnogórą. Nie trzeba być wybitnym psychologiem sportu, by zauważyć, że naszym trudniej grało się w meczach, które musieli wygrać lub do których przystępowali w roli faworytów. Gdy w głowach kiełkowała myśl, że wygranej nikt nie oczekuje, jak w pierwszym meczu z Francją, oglądaliśmy na parkiecie zgrany team, mający wiele pomysłów i przećwiczonych schematów na skuteczne akcje ofensywne i szczelną obronę. Podobnie rzecz miała się w meczu z Hiszpanią, ale tam jednak ów cień szansy sprawił, że nasi atakujący zawodzili w sytuacjach sam na sam z hiszpańskim bramkarzem. Gdy awans stał się nierealny, a presja wyniku zmalała niemal do zera, Polacy dali pokaz swoich umiejętności.

Powyższe wnioski można wyciągnąć nie tylko z wyników, lecz także samych wypowiedzi naszych piłkarzy ręcznych, których zawsze było stać na szczerą ocenę swojej gry zarówno po wygranych, jak i przegranych meczach.

– Patrzę cały czas z optymizmem na naszą kadrę – mamy potencjał. Widać było zwłaszcza w meczach z Francją i Hiszpanią, że jesteśmy blisko, choć czegoś ciągle nam brakuje, ale można to dopracować i poprawić w najbliższych miesiącach i latach, zwłaszcza że nie mamy wcale najstarszego zespołu. Jesteśmy w sile wieku, a kilku młodych zawodników pokazało się z bardzo dobrej strony – mówił po meczu z Iranem bramkarz Mateusz Kornecki.

Jednym z tych młodych graczy, którzy indywidualnie mogą czuć się wygrani w związku z tym, co pokazali na mistrzostwach, jest z pewnością Piotr Jędraszczyk. – Pokazaliśmy, że jesteśmy drużyną – mówił Jędraszczyk po wygranej z Czarnogórą.



Fot. Materiały prasowe

Nasi zawodnicy umiejętnościami nie odstają zatem wcale daleko od ścisłej światowej czołówki, mają przecież kontakt ze szczypiorniakiem na najwyższym światowym poziomie dzięki rozgrywkom klubowym i tak naprawdę od wejścia do gry o pozycje medalowe dzieli ich niewiele. Być może jeden lepszy turniej w wykonaniu polskiej reprezentacji wystarczyłby do przełamania mentalnej bariery i nawiązania do sukcesów kadry Bogdana Wenty. Najbliższą okazją do tego przełamania będą mistrzostwa Europy, które za rok odbędą się w Niemczech. Na drodze do nich w marcu czekają nas dwa mecze z Francją, w których także – bez presji wyniku – będą mogli powalczyć nasi piłkarze ręczni i udowodnić sobie, że są blisko najlepszych zespołów świata. Bez presji, gdyż do turnieju finałowego w Niemczech awansują dwa najlepsze zespoły z każdej grupy eliminacyjnej, a w naszej oprócz Francji grają jeszcze Włosi i Łotysze, z którymi powinniśmy sobie poradzić.

POWTÓRZYĆ ZABIEG MAŁYSZA

Polska szkoła sportowa zna przypadki, kiedy talent i umiejętności przegrywały z blokadą mentalną. Chyba najsłynniejszym i najbardziej pamiętnym przykładem takiej sytuacji jest Adam Małysz, który w 2000 r. chciał rzucić skoki po dwóch słabszych sezonach i wrócić do zawodu dekarza. Wówczas trener Apoloniusz Tajner zatrudnił Jana Blecharza, profesora z Zakładu Psychologii Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Jego praca z Małyszem sprawiła, że po kilku miesiącach z pogrążonego w kryzysie sportowca Adam stał się dominatorem światowych skoczni. Czy podobna terapia mogłaby odblokować głowy naszych szczypiornistów?

– Nasz główny problem na tym turnieju siedział w naszych głowach, bo nie wierzę, że brakuje nam umiejętności, a zwłaszcza zawodnikom z Kielc i Płocka, którzy na co dzień grają przecież w Lidze Mistrzów. Mamy w składzie także zawodników z Bundesligi, także myślę, że wystarczy tylko odblokować głowy, a jak to zrobimy, to możemy walczyć z każdym – podsumowuje Piotr Jędraszczyk.

ORLEN NAJWIĘKSZY SPONSOR POLSKIEGO SPORTU ORLEN

eprasa.pl 97a9d6b8b0

ALICJA MAJEWSKA, PIOSENKARKA, I WŁODZIMIERZ KORCZ, KOMPOZYTOR

Nie znam takich liczb

Co mogło wyniknąć z kilkusetkilometrowej podróży, jednej kolacji w hotelu, dwóch śniadań, a do tego kilkunastu rozmów przeprowadzonych w domu Alicji Majewskiej i jednej wspólnej z Włodzimierzem Korczem?

„Cyfrowe dyktafony pokazują długość nagrania: 35 godzin 44 minuty i 33 sekundy" – podsumowuje Artur Andrus we wstępie do książki, która płynie wartko, dowcipnie i anegdotycznie (często zahaczając o kulisy) przez pół wieku znajomości i 46 lat współpracy ikonicznego duetu.

„Koneserzy kolejnego dnia, czyli Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz według Artura Andrusa" to pozycja zaskakująca. Dzięki osobowości przepytującego, jego talentom, niekonwencjonalnej dociekliwości i poczuciu humoru czytelnik może ruszyć w wyjątkową trasę – do zapisanej w pamięci przeszłości, dowcipnie, na bieżąco komentowanej przez Andrusa i dopełnianej wspomnieniami bliskich duetowi artystów, do ich wspólnej pasji i relacji, która rozwijała się przez blisko pół wieku i trwa nadal.



Ważną rolę w podsumowaniu tej nie tylko twórczej podróży odgrywa płyta, która powstawała równolegle z książką: 10 piosenek z tekstami Artura Andrusa do muzyki Włodzimierza Korcza w wykonaniu Alicji Majewskiej. Utwory – podobnie jak materiał przedstawiony czytelnikom – są zarazem odmienne od dokonań, z którymi kojarzymy duet, a do tego współgrają z takimi przebojami jak „Być kobietą", „Odkryjemy miłość nieznaną" (z przywołanym fragmentem łacińskiej sentencji „*Navigare necesse est, vivere non est necesse*", „Żeglowanie jest koniecznością, życie nie jest koniecznością"), „Jeszcze się tam żagiel" czy uwielbianym nie tylko przez fanów serialu „07 zgłoś się" – „Przed nocą i mgłą".

46 lat współpracy. 46 lat, jak mówią oboje, niezgadzania się, przekomarzania i niezwykłej przyjaźni. Co wiedzą o sobie nawzajem? Odpowiedzi są często nieoczywiste, a przede wszystkim – zabawne.

Choćby takie: „W.K.: Urodziłaś się we Wrocławiu, chociaż dzieciństwo spędziłaś w... Długo myślałem, że to są Wolbierzowice. Bo to się słyszy, jak się mówi »w Olbierzowicach«. Teraz już wiem – Olbierzowice. Zresztą potem byliśmy tam kilka razy. […] Nie bądź taka skromna […], owacje po występie były nie mniejsze niż przed. Mnie to wzrusza. A.M.: No, mamy szczęście. To może krupnik podgrzeję".

By zilustrować charakter niektórych dialogów, Artur Andrus przywołuje też m.in. taką scenkę: „Wsiadamy do samochodu. Mam im towarzyszyć w podróży ze Szczecina do Poznania. Umawiamy się, że wykorzystamy ten czas na rozmowę. Prowadzi Włodek, na fotelu pasażera Alicja, z tyłu ja. Żeby dobrze nagrać



wszystko, co się wydarzy przez tych kilka godzin, w miejscu na napoje, pomiędzy przednimi siedzeniami, ustawiam dyktafon. Alicja wsiada, wskazuje urządzenie i pyta: – To jest mikrofon? – Tak, nie pij z tego – odpowiada Włodek".

„Mimo że pracują z sobą już ponad 45 lat, niczego nie podsumowują, nie zamykają – podkreśla Andrus. – Kiedy podczas jednej z naszych rozmów pojawia się wątek trasy koncertowej, która ma się odbyć w 2023 r., Alicja mówi: »Włodek, ja sobie uświadomiłam, że ty wtedy będziesz miał 80 lat, a ja 75«, i oboje wybuchają gromkim śmiechem. »Przecież ja w ogóle nie znam takich liczb«" – puentuje Korcz.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.p...8b0



SŁODKO-SŁONY

Smakołyki z perełkami

ANNA MONICKA

Pierwszy raz o manioku przeczytałam u Sienkiewicza bodajże, który opisując w „W pustyni i w puszczy" krajobrazy, wspominał o widokach ciągnących się z Góry Lindego. Były tam olbrzymie osty o kwiatach wielkości ludzkiej głowy, gigantyczne wrzosy, jałowce, figowce oraz pola manioku i palmy kokosowe. Jako kilkulatka wyobrażałam sobie te wszystkie cuda, gdy przed zaśnięciem jechałam na słoniu przez Afrykę. Gdy byłam starsza, poznałam smak świeżych fig i daktyli czy mleczka kokosowego i wiórków, z których można zrobić przepyszne ciastka czy czipsy, ale na maniok, który w Afryce jest odpowiednikiem naszych ziemniaków (znacznie bardziej pożywnym), przyszło mi poczekać kilka dobrych lat.

Otóż dostałam kiedyś od znajomych paczkę różnych zamorskich frykasów i przypraw, przywiezionych z wakacyjnej wyprawy, a wśród nich torebkę z dziwnymi białymi kulkami, czyli tapiokę – wyrabianą właśnie z manioku. Nie miałam pojęcia, jak ją wykorzystać. Dopiero gdy zaczęła się u nas moda na bubble tea i kuchnię orientalną, a mango i mleczko kokosowe przestały być poszukiwanymi delikatesami, bo można je kupić nawet w sieciówkach, dowiedziałam się, jak pyszne desery przyrządza się z białych granulek. Pyszne i zdrowe, bo pełne witamin, minerałów, błonnika, a przy tym lekkostrawne, łagodne dla żołądka. Mogą je jeść i wrzodowcy, i osoby walczące z cukrzycą.

Trzeba je tylko umiejętnie przygotować. Choćby tak: pół szklanki tapioki trzeba zagotować w litrze mleka kokosowego osłodzonego np. syropem klonowym albo z agawy (ale może też być zwykły cukier), od czasu do czasu mieszając – kulki muszą zrobić się przejrzyste. Trwa to ok. 20 minut. W tym czasie można doprawić tapiokę wanilią, kardamonem, cynamonem. Przelewamy do pucharków, a na górze układamy owoce – genialnie smakuje z pokrojonym mango lub musem z tego owocu (możesz go kupić w puszce albo zrobić w domu: mango trzeba podsmażyć na patelni z odrobiną imbiru i miodu, a potem zmiksować). Ale możesz też zrobić sos z mrożonych truskawek czy wiśni. Na koniec udekoruj miętą i borówką amerykańską.

Fot. Shutterstock, Ian Gardiner/iNaturalist Canada



WILCZYM OKIEM

Skrzelopływka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyroda mimo zadziwiającej niekiedy odporności i zdolności regeneracji bywa również czasem zaskakująco wrażliwa. Że jest to tylko pozornym truizmem, pokazuje historia skrzelopływki, będąca jakby przykładem tzw. efektu motyla, w którym jedno wydawałoby się nic nieznaczące działanie odbija się w innym miejscu wielkim echem.

Skrzelopływka bagienna (*Branchinecta paludosa*) to osobliwie wyglądający, obdarzony dużą liczbą par odnóży, lekko przezroczysty skorupiak należący do rzędu bezpancerzowców. Jest zoologiczną ciekawostką: występuje w niewielkich, słodkich zbiornikach okolic podbiegunowych, a jednocześnie jako relikt epoki lodowej również w Tatrach. Obecnie jedynym znanym jej stanowiskiem jest słowacki Wyżni Mały Furkotny Stawek. Do 1968 r. skrzelopływki bagienne żyły także w położonym po polskiej stronie Tatr, na wysokości niemal 1700 m n.p.m., Dwoistym Stawie Gąsienicowym. Jednak po tym feralnym dla nich roku nigdy więcej już ich w naszych górach nie odnaleziono.

Niewiele wcześniej bowiem ktoś wpadł na pomysł poprawienia przyrody i wprowadzenia do tego tatrzańskiego stawu pstrąga potokowego. Trudno powiedzieć, czy w latach 60. pomyślano o tym, żeby do zarybień użyć pstrągów z populacji tatrzańskich, czy też wpuszczono pstrągi potokowe np. z rzek pomorskich, o odmiennych wymaganiach, innej puli genowej, mogących przynieść z sobą nowe choroby itp. Nikt nie pomyślał też, że wpuszczono je do stawu, w którym wcześniej nie występowały, w sposób naturalny w Tatrach pstrągi żyją jedynie w potokach i w Morskim Oku.

Oceniając jakiś czas później wyniki zarybień, odkryto zaskakującą rzecz. Pstrągów nie było. Dlaczego? Okazało się, że Dwoisty Staw Gąsienicowy, chociaż jest głęboki na dziewięć metrów – wystarczająco więc, by nie zamarznąć do dna – z natury jest nieszczelny. Zimą więc pod pokrywą lodu woda wypływa. Skrzelopływce to odpowiadało, ponieważ do prawidłowego rozwoju jaja tego skorupiaka muszą przemarznąć dokładnie w takich warunkach. Pstrągom oczywiście brak wody zaszkodził. Zanim jednak wyginęły, zdążyły wyjeść doszczętnie całą populację skrzelopływki.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Niemiecko-rosyjskie związki

Jak to możliwe, że Niemcy, członek NATO, mogły budować i umacniać rosyjską potęgę wojskową wymierzoną w wolny świat

Często przywołuję słowa Dory Kacnelson z Drohobycza, wielkiej przyjaciółki Polski, zakochanej w twórczości Adama Mickiewicza, wypowiedziane 25 lat temu w warszawskim oddziale Związku Literatów Polskich. Powiedziała wówczas: „Mogę powiedzieć to, czego wy z różnych powodów nie możecie albo nie jesteście w stanie powiedzieć – otóż układ Ribbentrop-Mołotow obowiązuje nadal". Za te słowa dostała oklaski, chociaż jeszcze wtedy Niemcy nie rządziły jak dziś całą Europą za pomocą Unii Europejskiej, a Putin dopiero się rozkręcał, ukazując prawdziwe oblicze „rosyjskiego miru".

To prawda. Nie ma żadnego dokumentu ani śladu wydarzenia zaprzeczającego tezie, że wspomniany układ przestał obowiązywać czy został przez obie strony albo przez jedną z nich wypowiedziany, uznany za nieistniejący, nieaktualny. A skoro tak, to można domniemywać, że w jakiejś formie nadal obowiązuje, tym bardziej że związki Niemiec i Rosji – o różnym charakterze – nadal są silne. Oczywiście zrozumiałe jest, że Niemcy, jak i Rosja nie lubią powracać do sierpnia 1939 r., kiedy to zaczął obowiązywać układ o nieagresji wraz z tajnym protokołem z 23 sierpnia. Oba totalitarne państwa dokonały czwartego rozbioru Polski w przekonaniu, że bronią europejskich interesów w duchu partnerstwa, współpracy i porozumienia. Ten sam ton współpracy obu państw dominował w wystąpieniu Władimira Putina na Westerplatte w 2009 r., w trakcie obchodów 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Putin niejednokrotnie przekonywał, że pokój w Europie był zawsze wtedy, gdy Rosja i Niemcy zgodnie z sobą współpracowały, a praprzyczyną II wojny światowej był traktat wersalski i upokorzenie, którego oba kraje doznały po I wojnie światowej.

Czy dziś, po wyrażeniu przez Niemców zgody na przekazanie Ukrainie czołgów Leopard 2, w efekcie silnych międzynarodowych zabiegów, w tym niezwykle skutecznej polskiej dyplomacji, możemy powiedzieć, że układ Ribbentrop-Mołotow przestał obowiązywać? Czy po wielu latach ścisłej współpracy gospodarczej między Rosją a Niemcami, której symbolem stały się dwie rury gazociągu Nord Stream, drogi obu państw definitywnie się rozeszły? Czy globalistyczne plany wspólnego zagospodarowania Europy jako wielkiego obszaru euroazjatyckiego schowano do lamusa? Na twierdzącą odpowiedź jest jeszcze za wcześnie, bowiem niemiecko-rosyjskie związki obejmowały także współpracę wojskową, o czym opinia publiczna wie najmniej.

Chodzi o rosyjskie centrum szkoleniowe w Mulino niedaleko Niżnego Nowogrodu. Jest to ultranowoczesny ośrodek szkoleniowy dla wojsk, w tym pancernych, wzorowany na niemieckim centrum szkolenia wojsk lądowych w Altmarku w Saksonii-Anhalt. Mulino to poligon o powierzchni 500 km², naszpikowany elektroniką, symulatorami, systemami łączności, mogący szkolić w ciągu roku do 30 tys. żołnierzy. A wszystko to dzięki prywatnym firmom z Niemiec, w tym gigantowi zbrojeniowemu Rheinmetall AG. Tu także jak w przypadku Nord Stream akcentuje się wyłącznie komercyjny charakter tego przedsięwzięcia. A warto wiedzieć, że to właśnie Rheinmetall produkuje czołgi Leopard 2, a giełdowe ceny akcji tego koncernu tuż po informacji o zgodzie na reeksport maszyn i wyposażenia skoczyły w ubiegłym tygodniu do 208 euro. Jak to możliwe, że Niemcy, członek NATO, mogły budować i umacniać rosyjską potęgę wojskową wymierzoną w wolny świat, którego miał za zadanie bronić wraz nimi pakt północnoatlantycki?



Niemcy działają planowo i dwutorowo, nie zamykając sobie drogi do współpracy z Rosją, która zresztą traktuje Niemcy podobnie – ciągle jako najważniejszego partnera w Europie. Rosyjski Gazprom, posiadający 51 proc. akcji w szwajcarskiej spółce Nord Stream AG, razem ze swoim udziałowcami, czyli niemieckimi firmami energetycznymi Wintershall Dea AG i PEGI/ON oraz holenderską firmą Nederlandse Gasunie i francuskim dostawcą energii Engie, planują już odbudowę zniszczonych wybuchem nitek gazociągu Nord Stream 1 i Nord Stream 2. Ta inwestycja zbyt dużo kosztowała udziałowców, by przestała istnieć. Dlatego możliwa jest w bliższej czy dalszej przyszłości kontynuacja polityki wobec Rosji zgodnie z dewizą „business as usual".

Ważna jest też równowaga państw w Unii Europejskiej. W żadnym przypadku Polacy nie mogą zaakceptować dominującej pozycji Niemiec w UE. A stanie się tak, jeśli jesienne wybory wygra opozycja. Wszelkie plany centralizacji Unii, począwszy od likwidacji zasady *liberum veto* na rzecz powszechnego głosowania większościowego, będą zagrożeniem dla Polski i państw Europy Środkowej. A wtedy znowu staje się realne niemiecko-rosyjskie zbliżenie.

www.wojciechreszczynski.pl

Fabryka trądu



Aleksander Nalaskowski

I tak z niezależnego, niezawisłego, transparentnego i na wskroś demokratycznego Parlamentu Europejskiego, będącego gębą i sercem Unii, zaczęło zalatywać nieświeżym oddechem, a w końcu i okropnym fetorem. Okazało się, że niezależność, niezawisłość i transparentność to w europarlamencie już tylko trupy w stanie rozkładu. Tak naprawdę chodzi o pieniądze, i to niemałe. Ujawnienie kilku europosłów łapówkarzy to tylko wierzchołek góry lodowej. Wywodzą się oni z formacji lewicowych, które nigdy do uczciwych nie należały, a w którymkolwiek kraju dorwały się do władzy, to kładły go na gospodarcze i społeczne łopatki. Nieźle przy tym żyjąc. Oczekiwanie, że to się skończyło, jest skrajnym naiwniactwem. Nie po to powstawała światowa lewica, by hołdować jakkolwiek pojmowanej uczciwości.

Bezczelność i dwulicowość towarzyszki Kaili, towarzysza Panzeriego czy towarzysza Tarabelli albo Cozzoliny oraz kilku innych ważnych eurodeputowanych z frakcji, do której należą także Miller i Cimoszewicz, nie ma granic, a te, które przekroczono, są i tak wystarczająco niewyobrażalne. Tak jak niewyobrażalna jest hipokryzja tych, którzy skarżyli w Brukseli na Polskę.

Od dawna zastanawiam się, co się musiało stać z ludzką inteligencją, ludzkim mózgiem, ludzkim poczuciem elementarnej prawdy, by – jak w przypadku niektórych polskich europosłów – tak chcieć zaszkodzić własnemu krajowi, by jak Radek Applebaum prosić o rzucenie Polski na kolana, by kłamać przeciwko Polsce jak Biedroń i łkać nad jej nietolerancją. Jakiego gada przypomina mózg takich europosłów? Odpowiedź może być prostsza, niż myślimy. Nie musiało dojść do żadnej degeneracji umysłów tych szczwaczy na Polskę. Ich umysły funkcjonują poprawnie, lecz trzeba się liczyć z działaniem siły dotąd lekceważonej, niebranej pod uwagę – z działaniem pieniędzy.

Możemy tu bajać o marokańskich szpiegach i egzotycznych lobbystach z walizami pełnymi gotówki, ale nawet jeśli mówimy o rozmaitych Ahmedach czy Muhamadach, to i tak mówimy o Iwanach i Siergiejach. Nie pytajmy więc, kto przyniósł, ale kto posłał forsę. Bo dla mnie nie ulega wątpliwości, że to robota rosyjskich służb i gra na skompromitowanie UE, a także na jej konflikty wewnętrze. Rosjanie szybko się zorientowali, że Parlament Europejski to doskonała przestrzeń inicjowania konfliktów, wzmacniania uprzedzeń i manipulacji. A wszystko, co nie służy Europie – służy ruskim. A kto bardziej osłabia pozycję Polski za granicą niż jej niektórzy reprezentanci? Nie na wszystkich są haki, którymi można ich szantażować, by zmusić do plucia na ojczyznę, ale dla wielu znajdą się pieniądze, żeby głośno krzyczeli o niepraworządności. Mówiąc wprost – nie wykluczam, że część polskich europosłów została zwyczajnie kupiona. Jest to tak samo logiczne, jak tragiczne. Ale to tylko moje przypuszczenie.

To nie jest już wiarygodne i transparentne gremium. Funkcjonuje w nim rosyjskie podziemie, niesłychana korupcja i stronniczość

Prędzej czy później okaże się, że Parlament Europejski to ogromna machina korupcyjna, w której wiele jest na sprzedaż za gotówkę, za zaszczyty i funkcje albo na raty. Skala korupcji może nas kiedyś absolutnie porazić.

Ciekawym też stawek. Ile kosztuje szczeknięcie na Polskę, ile dłuższe ujadanie, a ile ujadanie zwieńczone atrakcyjnym skowytem? Czy ktokolwiek bada wpływ obcego kapitału korupcyjnego na konkretne głosowania deputowanych? Czy ktokolwiek bada trajektorię przepływu pieniędzy w zależności od sprawy procedowanej na forum PE? Czy jakieś służby próbują ustalić stopnień udziału polskich eurodeputowanych w korupcyjnym procederze?

Gdyby Parlament Europejski miał rzeczywiście europejskie poczucie godności, to w tej chwili podałby się w całości do dymisji, wyznaczając termin nowych wyborów. To nie jest już wiarygodne i transparentne gremium. Funkcjonuje w nim rosyjskie podziemie, niesłychana korupcja i stronniczość. Żeby tego nie widzieć, trzeba mieć chyba bielmo na oczach.

Trzeba też koniecznie anulować wszystkie rezolucje i decyzje podjęte przez europosłów, uznając je naznaczonymi znamieniem korupcji. Zwłaszcza te akty, które skierowano przeciwko Polsce.

Nie chcę być złym prorokiem, ale mocno podejrzewam, że podobny wstrząs czeka nas w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Sądzę, że to tylko kwestia czasu. Ponadto zbadaniu powinien być poddany niesławny wniosek o zamknięcie kopalni w Turowie. Tutaj też czuję lekki swąd.

Jak widać, kwestia korupcji w Unii Europejskiej i jej najważniejszym organie jest nader rozwojowa. Obyśmy doczekali wyświetlenia źródeł zaprzaństwa i stopnia uzależnienia PE od Rosji.

eprasa.pl 97a9d6b8b0



Rodzice kontra globalistyczna herezja

Przyznam, że czytając list, byłem pełen podziwu dla merytorycznego poziomu i dyplomatycznego języka autorów

JAN POSPIESZALSKI

Presja ma sens. Mamy oto kolejne potwierdzenie, że nie należy rezygnować z walki, szczególnie gdy sprawa dotyczy bezpieczeństwa naszych dzieci. Okazuje się, że głos świeckich w Kościele się liczy (...ach, jakie to synodalne).

W dniach, gdy polscy przywódcy w Davos zabiegali o wsparcie dla Ukrainy, konferując z Klausem Schwabem i globalistami spod ciemnej gwiazdy, trwała wymiana korespondencji między polskimi rodzicami a koordynatorem generalnym Światowych Dni Młodzieży – Lizbona 2023, bp. Américo Aguiarem.

Wszystko zaczęło się w lipcu, gdy dotarłem do informacji, że Światowe Dni Młodzieży – Lizbona 2023 mają być podporządkowane celom zrównoważonego rozwoju. Nagrałem więc wideo, wskazując, że globalistycznej agendy ONZ nie da się ochrzcić. Te informacje zaniepokoiły grono rodziców, którzy napisali list do bp. Aguiary, jednocześnie adresując go do Watykanu i do Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży przy Konferencji Episkopatu Polski.

Przyznam, że czytając list, byłem pełen podziwu dla merytorycznego poziomu i dyplomatycznego języka autorów. Rodzice zwrócili uwagę, że agenda ONZ i cele zawierają wiele zobowiązań, na które nie mogą zgodzić się ludzie wierzący. A są to przede wszystkim:

• zobowiązanie państw sygnatariuszy (w ramach celu 3.7 i 5.6) do zapewnienia powszechnego dostępu do niegodziwych metod zdrowia reprodukcyjnego, tj. aborcji,

• wprowadzenie powszechnej edukacji seksualnej (cele 3.7, pośrednio 4.7), w wersji wulgarnej i promującej permisywizm moralny bez poszanowania norm moralnych i praw rodziców,

• zalecenie (cel 3.7) powszechnego dostępu do antykoncepcji i innych niegodziwych form ograniczania płodności,

• promowanie tzw. równości płci (gender equality), wprowadzenie pojęcia „gender", interpretowanego jako tzw. płeć kulturowa, którą każdy ma prawo zmienić.

Oprócz tego rodzice z niepokojem odnotowali partnerstwo ŚDM z Global Tree Initiative, promującą, oparty na buddyzmie i innych pogańskich ideach, radykalny ekologizm, który jest traktowany jako nowa globalna religia.

Zwięzłe pismo zawierało dosadną analizę problemu oraz dodatkowy kilkustronicowy załącznik z odniesieniem do źródeł. Tego samego dnia przyszła odpowiedź z Lizbony, lecz w najmniejszym stopniu nie rozwiała niepokoju rodziców. Bp Aguair zapewniał:

„Agenda (ONZ) jest oknem, jest otwarciem nadziei, by wszystkie narody świata były gotowe do przebycia pewnej drogi razem [...]. Nowa ekonomia to pilna sprawa i widzimy w wyzwaniach oraz marzeniach, które młodzi ludzie chcą realizować w swoim życiu. [...] musimy marzyć, walczyć i być poetami, by spełnić marzenia [...]. Naszą propozycją jest Chrystus Żywy i do tego spotkania jest potrzebne, byśmy byli zrównoważeni we wszystkich kwestiach, w odniesieniu do wszystkiego".

Ponieważ w liście nie było odpowiedzi na postawione zarzuty, rodzice (trudno się dziwić) poczuli się zlekceważeni. Mimo to napisali drugi list, w którym ponownie wyjaśniają cierpliwie biskupowi, czym różni się globalistyczna, antychrześcijańska agenda zrównoważonego rozwoju od nauczania Kościoła katolickiego.

Także tym razem korespondencja została wysłana do Watykanu i do Konferencji Episkopatu Polski. Choć nie ma na razie odpowiedzi z Lizbony, problem został poważnie potraktowany przez polskich biskupów. Sprawa była omawiana na spotkaniu Rady KEP ds. Duszpasterstwa Młodzieży, a jeden z obecnych tam biskupów napisał list z podziękowaniem i wyrazami wsparcia. Do rodziców dotarł także list od biskupa z Zachodu, który gratuluje im postawy, ubolewa nad zamętem w Kościele i krytykuje papieża Franciszka za zbratanie się z ONZ.

Na koniec zacytuję fragment listu rodziców: „Nie oczekujemy zbawienia i uratowania ludzkości poprzez działania ONZ, rządów i człowieka jako takiego. Te działania są potrzebne, jeśli są moralnie godziwe i słuszne. Ale jesteśmy pewni, że jedyną drogą, która prowadzi i odmienia człowieka, jest sam Zbawiciel Chrystus Pan, w którego wiara daje nadzieję na poprawę doczesnego losu, ale przede wszystkim nadzieję na życie wieczne".

Znów postawa świeckich Polaków wyznacza standardy, choć wszystko to razem ponure. Przynajmniej możemy się cieszyć, że podejmujemy walkę.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Humanitaryzm historyka Mściszewskiego



Jerzy ***Jachowicz***

Najnowsza książka znanego historyka starszego pokolenia Donalda Mściszewskiego „Polski apartheid" zdobyła uznanie Świeckiego Towarzystwa Historycznego, które nominowało tę pracę do rocznej nagrody Złoty Laur 2023.

W swojej pracy poświęconej najnowszym dziejom Polski Donald Mściszewski postawił nowatorską tezę. Według niej sytuacja polityczna w Polsce ostatniego 10-lecia przypomina jako żywo model władzy panującej w przeszłości w Republice Południowej Afryki, nazywany kiedyś apartheidem. Opiera się on na doktrynie społeczno-politycznej, której fundamenty stanowią: segregacja społeczeństwa na dwie wielkie grupy oraz dyskryminacja jednej z nich przez drugą. Związaną z władzą. Badacz poświęcił wiele miejsca na charakterystykę grup. Zarzucił zarazem obecnej władzy skłonność do szkodliwego podtrzymywania tego modelu, prowadzącego wprost do rasizmu. Oczywiście nie ze względu na kolor skóry. Z grubsza rzecz biorąc, linia podziału przebiega między powiązanymi z władzą uprzywilejowanymi prostakami, zamieszkałymi w rozproszonych, słabo zaludnionych obszarach wiejskich lub małomiasteczkowych a wykształconymi, dyskryminowanymi elitami, żyjącymi w metropoliach i dużych miastach. Ci pierwsi, nazywani dla uproszczenia rolnikami lub głęboką prowincją, spychają drugą grupę w otchłań braku podstawowych praw, upokorzeń i zwykłego, ludzkiego cierpienia. A państwo na skrajny margines Europy.

W ostatnim rozdziale zatytułowanym „Pojednanie" Donald Mściszewski zarysował przyszłość Polski. Swoją wizją nawiązał do najlepszych tradycji humanitaryzmu politycznego, pisząc, że jeśli władzę zdobędą wcześniej dyskryminowani, powinni dążyć do elementarnego pojednania z przeciwnikami politycznymi. Warunkiem jednak jest ich rozliczenie takie samo, jakie miało miejsce w RPA po upadku apartheidu.

Podczas posiedzenia kapituły Złotego Lauru jeden z jej członków zapytał, jak stowarzyszenie zamierza uzasadnić swoją nominację. – Nie pamięta pan, jak ponad 10 lat temu autor książki oficjalnie oznajmił, że w swoich badaniach „nie będzie się biskupom kłaniał"? – odparł przewodniczący.

Dotyk soulu



Adam ***Ciesielski***

Fonograficzną ciekawostką sezonu jest „Dotyk" – album Renaty Lewandowskiej, utalentowanej piosenkarki o soulowym zacięciu, która debiutowała w latach 70. XX w. Zniecierpliwiona jednak powolnym tempem kariery, rzuciła estradę, wyemigrowała do USA, gdzie z powodzeniem realizowała się w projektowaniu wnętrz.

Wokalny talent ujawniła w 1964 r. jako uczennica liceum plastycznego w Częstochowie. Jej wzorem była usłyszana w radiu Aretha Franklin. Pasje artystyczne rozwijała w latach 1966–1972, studiując w warszawskiej ASP, śpiewając w buzujących muzyką klubach studenckich Hybrydy i Medyk. Obdarzona silnym, melodyjnym głosem została dostrzeżona przez show-biznes. Kompozytor Juliusz Loranc wprowadził ją do swojego zespołu Quorum. Z nim dziewczyna zaśpiewała w 1970 r. nagrodzony w Opolu przebój Józefa Sikorskiego i Wojciecha Młynarskiego „Ach, co to był za ślub", wydany wkrótce na małej płycie. Z kolejną formacją Loranca – Grupą I – Renata w 1974 r. na festiwalu opolskim zaśpiewała jego hit – „Radość o poranku" do słów Jonasza Kofty.



Renata Lewandowska „Dotyk", Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia/ Astigmatic Rec./The Very Polish Cuts-Outs

Szkoda, że obu tych rozpoznawalnych numerów nie ma na wydanym teraz debiutanckim, a faktycznie wspomnieniowym krążku artystki, która ponad 40 lat temu zrezygnowała ze śpiewania na rzecz wyuczonego zawodu architekta i nie ma dziś zamiaru wracać na estradę.

Czy repertuar na płytę, wybrany z archiwów Polskiego Radia, trafnie eksponuje jej soulowe predyspozycje? Piosenka „Dotykiem chcę dziś poznać wszystko" (muzyka Jerzy Suchocki, słowa Ryszard Marek Groński) – na pewno tak, ale co do innych utworów nie mam już takiej pewności. Zwłaszcza gdy mimo wysiłków mistrzów masteringu, natarczywa hałaśliwość części archiwaliów zaciera walory wokalne bohaterki.

A co do soulu w polskim wydaniu. Lewandowska nie była przecież jedyną jego przedstawicielką. Duch tej muzyki unosi się nad wieloma interpretacjami bliskich jej pokoleniowo znakomitych wykonawczyń, takich m.in. jak Krystyna Prońko czy Grażyna Łobaszewska.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Plenerowe rozświetlenia

W zimowy wieczór warto się wybrać do ogrodów pałacu w Wilanowie



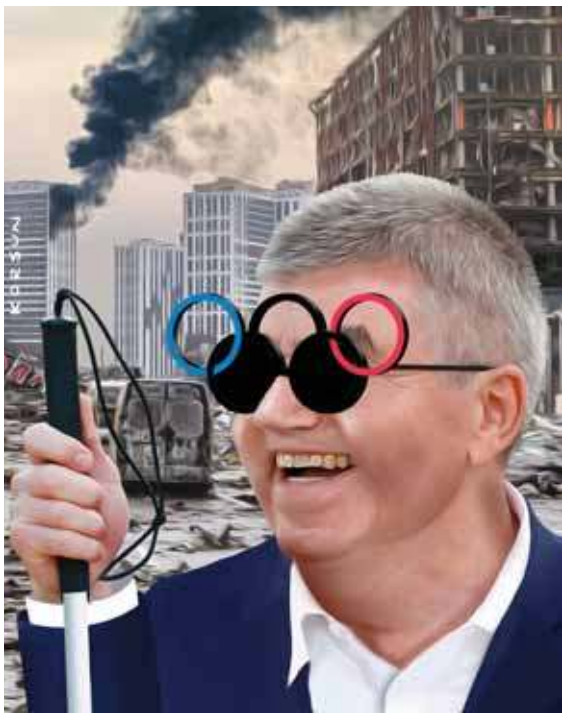
Ryszard Makowski

Tutaj słynne „więcej światła" przypisywane umierającemu poecie Goethemu zupełnie się nie sprawdza. Czego jak czego, ale światła tu nie brakuje. Nie czuć kryzysu energetycznego. Za to przemierzając królewskie alejki, czuć zachwyt iluminacją. Długo by wymieniać elementy błyszczące kunsztem pomysłodawców. Dech zapierają labirynt mitologiczny i ogród różany, który zastąpił ogród tulipanowy. Pozostał pokaz muzyczno-świetlny na tarasie dolnym barokowego ogrodu. Na fasadzie pałacu jest wyświetlana opowieść o wydrze króla Jana III Sobieskiego. Najlepiej opisać to w gwarze radiowej: „Szkoda, że państwo tego nie widzą".

Jak to dobrze, że są ludzie z wyobraźnią i chce im się coś zrobić. Parędziesiąt minut w bajkowej atmosferze to superantidotum na niepewne czasy. Fajna ta Warszawa..., ale zaraz... przecież to muzeum podlega MKiDN. Eureka! To dlatego jest tutaj tak brawurowa ekspozycja. Świąteczne przystrojenie na Krakowskim Przedmieściu czy na pl. Zamkowym świeci jakby z przymusu. Uboższe niż w poprzednich latach, ale Warszawa to biedne miasto i trzeba docenić wysiłek ratusza. Normalnie wizytowe ulice stolicy, a także Stare Miasto są wieczorami ponurawo ciemne. Głupio przed turystami, ale kto by się tym przejmował. To jest miasto interesów i nie może być jasno pod latarnią. Analiza porównawcza ekspozycji świetlnych pozwala domniemywać, jakie to miasto mogłoby być piękne, gdyby tutaj decydowali ludzie z wizją, a nie polityk, który ma wyższe ambicje niż bycie prezydentem jakieś Warszawy.

eprasa.pl 97a9d6b8b0

***Michał Korsun prezentuje:* Thomas Bach, prezes MKOl nie widzi wojny na Ukrainie**



ref. Shutterstock

***Wycinki z* przeszłości**

UKŁONY

„Sprawa to nie tak dalece błaha, jakby się powierzchownie zdawać mogło. Nie tylko kodeks światowy, lecz i logika życia nadaje nam pod tym względem pewne stałe zasady. Tak np. starzec, który uprzedza w ukłonie młodzieńca należącego do jego sfery, uchybi tym samym powadze swego wieku. Kobieta pierwsza składająca ukłon mężczyźnie zawsze przybiera rolę petentki. Istnieją ludzie, którzy zbyt widocznie wyczekują na nasz pierwszy ukłon i tych słusznie nazywają pysałkami. Człowiek z dobrym wychowaniem wie, iż podobne postępowanie nie należy do dobrego tonu.

Mężczyzna pierwszy powinien sięgać po kapelusz przy spotkaniu nawet z niżej położonym, jeśli ten idzie w towarzystwie kobiety, a już szczególnie matki, żony lub córki. W miejscu publicznym, np. w sali koncertowej, nie przystępuje się do znajomego, jeśli ów jest z żoną, której nie byliśmy przedstawieni. W tym razie ukłon głową wystarcza.

Damie podajemy rękę tylko wtedy, gdy ta nas samą do tego upoważnia. Oduczamy dziatwę od wyciągania dłoni do naszych poważniejszych znajomych. Ta zbyteczna śmiałość i familiarność razi i składa złe świadectwo o wychowaniu rodziców”. ***(mk)***



Kalendarz Gebethnera i Wolffa na 1914 r., ilustracja z „Tygodnika Narodowego” z 1913 r.

Nocą styczniową, czyli ja to pamiętam?



***Leszek* Długosz**

Obrazek z dzieciństwa

W niedzielne popołudnie po uszy, z wypiekami
Pokoleniowo zaczytani
– Szła praca od podstaw
Przy lampce cicho syczącej
Wieczorem późnym, w teatrze cieni
Tuż pod Grottgera rycinami
Doprawdy skąd czytelnia taka?
Czytało się pokoleniowo
Babka Głowacka, po Prusie ambicje
I parantele
Dziadek przy oknie z oczkiem w ręku
Przy „Lalce”, to z „Dziurdziami”
Matka z westchnieniem w kuchni
Nad „Wierną rzeką” odpoczywająca
Ja bardziej kosmopolitycznie
Pomiędzy Maćkiem z Bogdańca
A Indianami
Brat z kolegami urwał się na wojnę...
O błogie wakacyjne lektury
Wśród podwórkowej Amazonii
Pod szumiącymi nawami lipca
Słodkie stronice plamione plackiem jagodowym
Gejzerami sezonowych soków...
Ale bywało
– Straszno, złowrogo
Nocą styczniową
Za domu ledwie cienką ścianą
Za ledwie krótką ścianą chwili
Nocą styczniową
– Śnieg, mróz, na trwogę puszczyk huka
I pędzą konie, kolby tłuką
Otwierać
To kozacka sotnia
Na Sybir, Matko Przenajświętsza,
Nie pozwól i nie dopuść
Dzieci ochroń...
Mój Boże... to pamiętam?
Malec – koluszko w tym łańcuchu
Wpięty pomiędzy opowieści starszych
– Na jakim krańcu świata
Po ilu wiorstach czasu
Ja to pamiętam?
Nie chodźcie nocą przez Żółtą Górkę
Tam trupy...
Duchy z powstania jeszcze straszą...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 97a9d6b8b0



OD A DO ZYBERTOWICZ

Droga Kuriera

Mój tata martwił się: „Jak Jan Nowak-Jeziorański odejdzie, to już nikogo takiego nie będziemy mieli na Zachodzie". Czy miał rację?

To musiało być w okresie mojej podstawówki, w czasie stanu wojennego. Mój śp. tata zamykał się wieczorem w małym pokoju i nasłuchiwał Radia Wolna Europa. Potem przy okazji obiadu u babci zawzięcie politykowano. Jeszcze jako dziecko nieraz słyszałam w domu, że komuna musi upaść.

Te obrazki pojawiły się w mojej głowie 22 stycznia 2023 r., gdy wybieraliśmy się z mężem na galę zorganizowaną przez Muzeum Powstania Warszawskiego z okazji wręczenia Medalu Kuriera z Warszawy.

Jan Nowak-Jeziorański, legendarny kurier i emisariusz Komendy Głównej AK oraz rządu RP w Londynie, jest znany chyba wszystkim Polakom. Nawet młodym, wszak mogli oglądać film Władysława Pasikowskiego „Kurier" z 2019 r. I pewnie z tego filmu też wiedzą, że późniejszy dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa nie umiał jeździć na rowerze. Na szczęście miał moc innych talentów niezbędnych w walce o niepodległość. Dobrze wiedział, jak ważne są nasze stosunki euroatlantyckie.

Pierwszym laureatem okazał się Daniel Fried, ambasador USA w Polsce w latach 1997–2000. To amerykański dyplomata, który chyba pokochał Polskę równie mocno jak wolność. Fried blisko współpracował z Nowakiem-Jeziorańskim, a pod koniec lat 80. XX w. jako specjalista od spraw polskich był jedną z pierwszych ważnych osób amerykańskiego Departamentu Stanu, która przewidziała upadek komunizmu w Polsce. Miał też wpływ na to, jak na ówczesne wydarzenia reagowała administracja prezydenta George'a H.W. Busha. W latach 1990–1993 był radcą politycznym Ambasady USA w Warszawie. Co kluczowe, ambasadorem w Warszawie był w okresie negocjacji dotyczących przystąpienia Polski do NATO, kiedy to współpracował blisko z Nowakiem-Jeziorańskim.

Po tym jak nieco dokładniej zapoznałam się z drogą życiową Frieda, trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej wpisującego się w drogę Nowaka-Jeziorańskiego. Jak podkreślił Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, „to zaszczyt dla naszego muzeum, że pierwszy Medal Kuriera z Warszawy otrzymuje człowiek, którego postawa i zaangażowanie są tak bliskie wartościom, jakimi kierowali się powstańcy warszawscy".

Przy okazji tego wydarzenia przypomniało mi się coś jeszcze. To już były pewnie lata 90. ub.w. Mój tata martwił się: „Jak Jan Nowak-Jeziorański odejdzie, to już nikogo takiego nie będziemy mieli na Zachodzie". Mieliśmy Jana Pawła II, ale jednak w kontekście starań Polski o członkostwo w NATO to Nowak-Jeziorański był nieoceniony. Czy tata miał rację? Chyba wcześniej nie zastanawiałam się nad tym. Pytanie, czy ktoś tak charyzmatyczny jak Kurier z Warszawy może być zastąpiony, wydawało się retoryczne. W dziejach nie brakuje przykładów niezastąpionych bohaterów, o unikatowych zdolnościach i szczęśliwie znajdujących się we właściwym momencie i miejscu. Ale czy gdy odchodzą, to ich dzieła także?

Przyznam, że dotąd nie patrzyłam na Daniela Frieda przede wszystkim jako bezpośredniego kontynuatora misji Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Ale gdy słuchałam jego przemówienia podczas gali wręczenia Medalu Kuriera z Warszawy, to zobaczyłam przede wszystkim nietuzinkową osobowość. Gdy Daniel Fried powiedział, że uhonorowanie go takim medalem jest zaszczytem życia, to myślę, że tak właśnie to poczuł.

Chyba tata może być spokojny.

Nasza walka o niepodległość to długi ciąg zdarzeń, konkretnych postaci, również tych bezimiennych i ich misji. Tak się złożyło, że podczas wieczoru, gdy byłemu ambasadorowi wręczano medal, w Teatrze Wielkim trwał koncert „Ku wolności" z okazji obchodów 160. rocznicy wybuchu powstania styczniowego...

Ledwo jedne misje zostają wypełnione, czekają kolejne. Odbierając nagrodę, Daniel Fried powiedział: „Nie jesteśmy wolni od niebezpieczeństwa. Putin dąży do odwrócenia upadku imperium rosyjskiego. Polska stała się państwem frontowym. Ukraina walczy o życie. Gdyby nie Jan Nowak, wojna mogłaby już dotrzeć do Polski. Kraje bałtyckie mogłyby znaleźć się pod rosyjską okupacją. Nie tylko czcijmy jego pamięć, lecz także – zwłaszcza młode pokolenie – kontynuujmy jego dzieło".

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 16/0123/F

eprasa.pl 97a9d6b8b0

E-prenumerata SIECI 50% taniej

2 audiobooki w prezencie



2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„Maluchem do raju”

O transporcie w czasach komuny, np. maluchach, które z przeciętnego Kowalskiego zrobiły króla szos.

Czas słuchania: 8 godz. 53 min.

„Brak tchu” Georga Orwella

Książka przez krytyków stawiana na równi z „Folwarkiem zwierzęcym” i „Rokiem 1984” – niepokojąco aktualna i dziś.

Czas słuchania: 11 godz. 6 min.

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 97a9d6b8b0

ORLEN

SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ PIŁKI RĘCZNEJ

DZIĘKUJEMY ZA WSPÓLNE **EMOCJE**

Mistrzostwa Świata w Piłce Ręcznej Mężczyzn
11-29 stycznia 2023



eprasa 97a9d6b8